

**DOROTA
MASŁOWSKA**

**JAK PRZEJĄĆ
KONTROLĘ
NAD ŚWIATEM,
NIE WYCHODZĄC
Z DOMU**



Dorota Masłowska

**Jak przejąć kontrolę
nad światem,
nie wychodząc z domu**

Ilustracje
Maciej Chorąży

Wydawnictwo Literackie

Spis treści

Karta redakcyjna

Jak przejąć kontrolę nad światem, nie wychodząc z domu

Bali

Thanksgiving

Seriale 1

Beksińscy

Rozpoznawalność w województwie łódzkim

Seriale 2

Przyślij przepis

Disco polo

W labiryncie ludzkich spraw

Twarzologia

Kuchenne rewolucje

Głupota

Tatarstan

Wólka Kosowska

Słoiki

Szamanka

Latem w mieście

Bajm

PUA

Lata dwutysięczne

Azja Express

Warszawa

Podziękowania

Opieka redakcyjna: ANITA KASPEREK
Redakcja: HENRYKA SALAWA
Korekta: ALEKSANDRA BYRSKA, EWELINA KOROSTYŃSKA, JACEK BŁACH
Opracowanie graficzne, projekt okładki: MACIEJ CHORAŻY
Ilustracje na stronach: [87](#), [94](#), [103–105](#) – Dorota Masłowska, na stronach: [116](#), [117](#), [119](#) – Stanisław Łubieński.
Redaktor techniczny: ROBERT GĘBUŚ
Skład i łamanie: Scriptorium „TEXTURA”

Copyright © by Dorota Masłowska, 2017
By arrangement with Agencja Literacka Syndykat Autorów
Ilustracje © by Maciej Chorąży
© Copyright for this edition by Wydawnictwo Literackie, 2017

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-05960-9

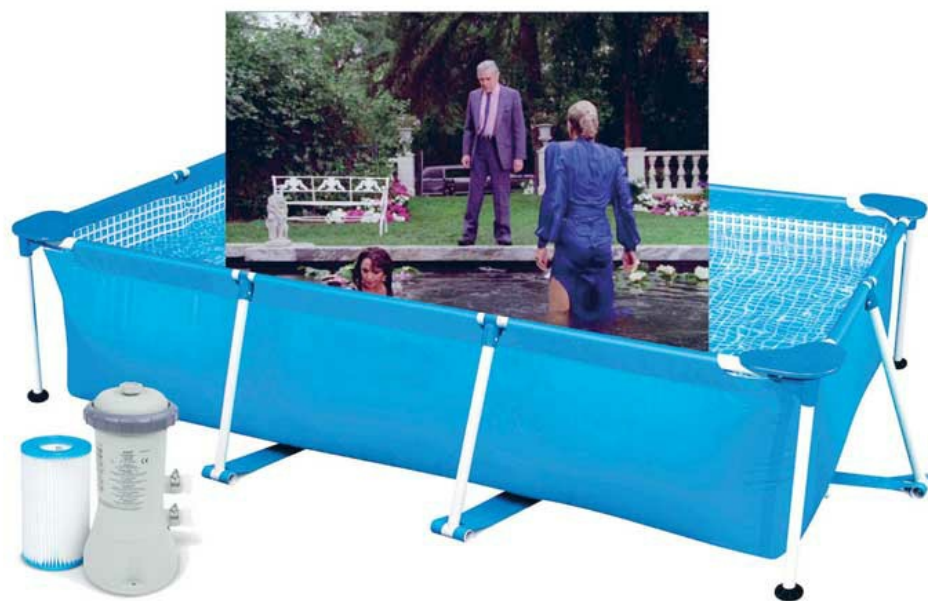
Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.
ul. Długa 1, 31-147 Kraków
tel. (+48 12) 619 27 70
fax. (+48 12) 430 00 96
bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40
e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
Księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Jak przejąć kontrolę nad światem, nie wychodząc z domu

(Czyli: może nigdy nie będę miała klikalności większej niż „ZOBACZ, KOMU NAPRAWDĘ SŁODKIE KOCIAKI PRÓBUJĄ PODKRAŚĆ JEDZENIE Z MISKI” i „TE KOBIETY MAJĄ NAPRAWDĘ ZWARIOWANE POCHWY”. Ale nikt nie zaprzeczy, że chwytliwy tytuł to połowa sukcesu).

Ten tekst otwiera zupełnie nowy cykl, w którym będę próbowała zająć się tematem spędzającym sen z powiek niejednej i niejednemu z nas. Będzie on kierowany do ludzi takich jak my, nadwrażliwych, zdziwaczałych, emocjonalnie pokiereszowanych humanistów, na których psychice niezatarte piętno odcisnęły niepowodzenia w grach zespołowych, trądzik na plecach i nieudane próby przeskakowania przez kozła. Jak przejąć kontrolę nad światem, nie wychodząc z domu? Najnowsze badania amerykańskich naukowców wykazały, że fantazje na ten temat snujemy ponad dziesięciokrotnie częściej niż zdrowi, rumiani absolwenci profilu biologiczno-chemicznego! (Choć znowuż tylko dwukrotnie rzadziej niż ci z matematyczno-fizycznego z wykładowym angielskim). Będzie też kierowany do tych, którzy na przekór modom, prądom, falom, pływom i horoskopom lubują się w nielubianym, interesują nieinteresującym. Otworzy go garść luźnych refleksji o nieco zapoznanym, ale trudnym do zatarcia w pamięci społecznej emitowanym przez TVP w latach 1991–1993 serialu *Dynastia*.



„Steven jest gejem”, „Fallon porwało UFO”, „Josephie, przynieś interkom” – to frazy, które tkwią w każdym, kto w latach pięćdziesiątych dysponował choć strzępem świadomości. Obejrzawszy ostatnio dwa sezony, spróbuję odpowiedzieć na wielokrotnie zadawane mi przez was w listach pytanie: jak serial, z którego nauczyliśmy się życia i w którym zobaczyliśmy, że naprawdę bogaci ludzie chodzą po chacie w butach, prezentuje się po trzydziestu latach (i dwudziestu od emisji w TVP)?

Cóż, zgadliście: dość potwornie.

Pierwsze dwa odcinki w odbiorze są jak pierwsze dwa sobieskie spalone pod szkołą. Akcja posuwa się głównie poprzez rozmowy o akcji; bohaterki leżą całymi odcinkami w pokojach, w sukniach bez pleców, patrząc na puste szafy i bukiety kwiatów; zbliżenia na mimikę bohaterów, z sugestywną muzyką ciągnięte są tak długo, że to, że w ich życiu wydarzyło się coś ważnego, rozumieją i ci ślepi, i ci głusi, i ci i ślepi, i głusi.

Jednak wystarczy odrobina samozaparcia. Stopniowo, odcinek za odcinkiem, gdy rozbrzmiewają dźwięki znajomej symfonii, wywołującej (u mnie) podprogowe podniecenie, i widać już z lotu ptaka znajomą rezydencję wśród lasów Colorado, mózg przestaje przypitałać się do takich bzdurnych detali. Mija godzina za godziną, życie ucieka, kartofle się palą, a ja tłukę kolejne odcinki, aż kręci mi się w głowie od oślepień, poronień, przypadków poniesienia przez konia, utraty pamięci i porwań w Peru. Biedaheroina, w dodatku dawno po terminie ważności, nadal działa!

Blake'a Carringtona już postrzegam jako własnego krewnego, szpakowatego praojca. Na pewno pamiętacie jego oczy, jednocześnie nieustępliwe i gniewne, zaraz jednak sypiące skry mimowolnej czułości? Silny i słaby, gniewny i łagodny, liberalny (sympatycznie namawia Fallon, by odwołała umówioną na jutro aborcję), ale republikański, i jak bije, to zabije, oczywiście w słusznej sprawie. (Na przykład mężczyznę, którego przyłapuje na macaniu się z jego synem! A co wy byście zrobili?) Zaś jego dwie żony, walczące wokół niego jak przysłowiowe dobro ze złem, są dla mnie jak ubrane na wesele ciotce; zadzwonię do nich, gdy nie będę wiedziała, jak sprać kawior z garsonki. („Manicheistyczne napięcie między Krystle a Alexis”, „Wpływ *Dynastii* na postawy życiowe kobiet w postkomunistycznej Polsce” – takich prac magisterskich napisano pewnie setki. Ale, obejrzawszy

ten serial, jedno wam powiem: nigdy nie bądźcie żadnymi dobrymi kobietami!!) (Nieszczęsna Krystle, ta pocziwina podobna staremu, smutnemu źrebięciu – jej jedynym zajęciem jest bycie piękną. Albo wypoczywa w ogrodzie, albo szczotkuje włosy, albo poleca zmienić wodę w wazonach; nic nie ma do roboty). (A taka Alexis? Może zła, ale przynajmniej ma swoje zainteresowania. Maluje, strzela do ptactwa i całymi dniami rąbie szampana z kieliszka. Ich wieczny konflikt od czasu do czasu przechodzi kulminację – kompletnie nierealną z perspektywy współczesnego serialu bójkę. I nie jest to żadne damskie drapnięcie pazurkami, tylko ciągnący się dziesięć minut wrestling z udziałem męskich kaskaderów o nieogolonych nogach i z włosami z paku! Z misternie opracowaną choreografią! Bohaterki tłuką sobie na głowach wazon, rzucają w siebie meblami, wybijają okna, wysysają sobie gałki oczne i doprowadzają do uszkodzeń narządów wewnętrznych). Co ciekawe, oglądana w oryginale *Dynastia* okazuje się w warstwie dialogowej dużo bardziej literacka niż w tłumaczeniu. Szczególnie negatywne postaci (takie jak na przykład Alexis czy znana z bycia uprowadzoną przez UFO Fallon) emanują czarnym humorem, choć trudno powiedzieć, kiedy i jak go posiadały. (Ostatnia przecież trudni się głównie skrobankami i jeżdżeniem samochodem bez dachu).

Zostało mi jeszcze do omówienia mnóstwo tematów, na które nie ma tu miejsca. (Masowe wykupywanie akcji Denver-Carrington przez nieznane podmioty. Czy za nagłym oślepieniem Blake’a stoi Lane Rhinewood? Czy psychoterapeuta drużyny piłkarskiej Blake’a doktor Nick Toscani pomoże wyrwać się Krystle z melancholii? Czy wszyscy na pewno domyślają się, że jest Włochem? Czy też powinien wspominać o tym co dwa odcinki i od czasu do czasu gotować na kolację makaron?) Wracając zaś do najbardziej interesującego nas tematu: rzeczywiście, tak jak słusznie pewnie już każdy zauważył, za pomocą oglądania serialu *Dynastia* prawdopodobnie można przejąć kontrolę nad światem, ale jest to bardzo trudne i wymaga wiele zachodu. Natomiast serial ten na pewno w jakiś sposób odpowiada na pytanie, jak „nie wychodząc z domu”; bohaterowie robią to rzadko i żyją, głównie opowiadając o tym, co się dzieje. I ja również, z perspektywy tygodnia spędzonego na oglądaniu odcinka za odcinkiem, cieszę się, że

miałam tylko dwa sezony.



Bali

Ostatnie rozważania ekologiczne wygenerowałam około roku 1992, kiedy za pomocą niedrogich pisaków ze sklepu wielobranżowego ARGED przygotowywałam pracę na konkurs „Sprzątanie Świata – i ty posprzątaj Ziemię”. Wtedy może nie do końca zdawałam sobie sprawę, że malując wraz z milionem innych polskich dzieci kulę ziemską i przekreślone śmieci (zresztą już wtedy wyłącznie dla odniesienia splendoru i nagrody rzeczowej), jestem obiektem wielkiego ekologicznego egzorcyzmu, który trzeba było przeprowadzić w naszym kraju po przemianie ustrojowej.

Mimo tych różnych zabiegów i wygibasów Polska raczej nie zdawała mi się nigdy miejscem, w którym – oprócz odrobiny romantycznych posapywań nad jej pięknem i druku pocztówek z bocianami – ktoś kiedykolwiek specjalnie przejmował się przyrodą. No, jak szła ta piosenka, którą nuci się zawsze podczas leśnych wędrówek... „Chodź, wyrzucimy śmieci do lasu, no chodź”, sama już nie pamiętam, jak to szło. „Wyrzuć tę paczkę po chipsach, nam już jest niepotrzebna, a zobacz, jak sarenka ją kopytkiem już trąca, starą siatką wiewióreczka sobie dziuplę mości”. „I dalejże, dalej, hop”, czy coś takiego.

Może nie będę tego jakoś specjalnie roztrząsać, bo wiadomo. Interesuję się, tak jak każdy teraz, głównie sobą, sobą, mną, i trochę kosmetykami i serialami; słowem – do drzew się nie przywiązuję, bo jestem już za bardzo przywiązana do samej siebie; natomiast ta jedna sprawa czasem mnie niepokoi. Zwłaszcza latem, nad morzem, gdy chcę iść sobie popatrzeć na góry i lasy („by zebrać siłę do walki”), a okazuje się, że z każdym kolejnym dniem wakacji rosną hałdy zgubionych skarpet, paczek po papierosach, sflaczałych meduz „lampionów szczęścia”, poplamionych likierem jajecznym wersalek, albo i zwykłych, schludnie zawiązanych worków z gospodarstw domowych. Zza których pod koniec sierpnia ledwie ledwie widać, że las jednak jest w swojej pierwotnej idei formacją roślinną.

Tak, jest dla nas Polaków ciągle jakaś adrenalina w wyjebaniu starej pralki do

lasu. Akt wrodzonej gospodarności i ufności w zdolność ukochanej ziemi ojczystej do samoodradzania się, a też i tej charakterystycznej swobody w korzystaniu z własności wspólnej. Oczywiście ma to swój ładunek poezji i zawsze w listowiu pnącym się po starej meblościance z resztkami kalkomanii, w bobrze tak zabawnie mocującym się z butelką po hoop-colii, w którą niefortunnie zatknął łebek, jest bez wątpienia drgnienie kosmosu. Ale to już potrafią docenić tylko studenci pierwszego roku reżyserii Łódzkiej Szkoły Filmowej, gdy przychodzi na koniec semestru nakręcić jakąś dołującą etiudę. Pomyśleć tylko, że ta kiść przepalonych lampek choinkowych rozświetlała jeszcze niedawno M3 przepełnione oparem zupy grzybowej i maści końskiej, że ta pusta butelka po wódce stała na półce w Biedronce, nęcąc oko zaprojektowaną na kalkulatorze etykietką.

Ale jak zwykle: swoje ganicie, cudzego nie znacie. Powiem tylko, że po moim ostatnim pobycie na Bali spodziewałam się zmiany każdego innego mojego głębokiego przekonania (choćby: węglowodany tylko osobno, białko osobno; Żydzi pieką macę z dzieci; poprzeczne pasy skracają sylwetkę), lecz nie tego.

Znacie Bali, prawda? To to, co dają zawsze na zdjęciach w katalogu TUI jako „najpiękniejsze plaże Grecji” i „Egipt, twój raj na ziemi”. Biały jak śnieg piasek, morze koloru oczu Jezusa w *Przebudźcie się*, masa fajnych babeczek, a do tego piętnaście posiłków dziennie (kuchnia lokalna i europejska), klimatyzowany autokar i opieka pilota! Nikt nie wspomina, że po zrobieniu zdjęcia fotograf godzinami musi czyścić zalegającą plażę zwłoki psów i stare klapki, oczywiście w Photoshopie. Do sprzątania zalegającego Bali syfu bowiem poza grafikami biur podróży nikt się nie garnie; ani lokalsi, którzy od rana wylegają się całymi rodzinami w swoich bidnych sklepikach, śpiąc ot tak, wprost na ladzie, obok całego asortymentu (na który składają się trzy butelki benzyny, dwie paczki herbatników i cztery zupki chińskie); ani amerykańscy surferzy; ani Ruscy wykupujący hurtem sarongi; ani stare Australijki sączące tańsze niż woda drinki i z chłopomańską czułością zagadujące obsługę w b a r d z o w y r a ż n y m a n g i e l s k i m, czy na Bali rany się dezynfekuje, a zwierzęta zabija przed zjedzeniem. Wszyscy zaś jak jeden mąż, jedząc baton czy chipsy, po prostu upuszczają opakowanie, tam gdzie stoją.

Ścieki płyną prosto do morza, a wzdłuż szos ciągną się kilometrami

dzikie wysypiska, które po prostu w pewnym momencie podpala się, ku zgrozie buszujących w nich kur. Gryzący dym z płonących plastikowych siatek i butelek stanowi więc wiodącą nutę w zapachu raj; i to mogłoby być na dłuższą metę monotonne, na szczęście dla odmiany są jeszcze spaliny.

Na brzegu wyspy rosną monstrualne blokowiska nowych hoteli na piętnaście tysięcy gości. W oceanie nieraz coś muśnie cię w nogę: czy to niezwykła tęcząca ryba, nieznanego gatunku fosforyzująca meduza, czy po prostu podarty worek? Ale te wątpliwości to przecież tylko kokieteria.

Rzeczy, które chciałam wykrzyczeć po powrocie:

– Polska, Polskunia. Jak tu schludnie, jak tu czyściutko, jak ładnie!

– Jak tu ciemniutko, jak tu zimniutko.

– RATUJMY ZIEMIĘ! Żadnych śmieci, będę kupować proso od rolników i przynosić je do domu w dłoniach (piechotą, by nie zużywać opon w rowerze).

– A wy będziecie je jeść.

Ponieważ z perspektywy balijskiego pół raj, pół śmietnika Polska zdaje się pewnego rodzaju Szwecją. No, może bieda-Szwecją. Brzydszą kuzynką Szwecji, która wyszła za mąż za alkoholika, włoski ma ciągle niezrobione i w ogóle średnio jej w życiu poszło.

Thanksgiving

Wiem, że najbardziej kochacie nowinki ze świata sztuki; spieszę więc donieść, że seria czytań polskich sztuk współczesnych w Nowym Jorku była bardzo udana. Oczywiście nie były to te landrynkowe nudy, które od razu sobie wyobrażacie, sale pełne zasłuchanych widzów, którzy porzuciwszy hamburgery, coca-colę, macanie koników pony i zakupy w telewizji komercyjnej, nagle zwrócili oczy i uszy ku organicznemu, bezglutenowemu, zawierającemu kawałki prawdziwych owoców strumieniowi polskiego dramatu z prawdziwej Polski, gdziekolwiek to jest. Ale parę osób przyszło, były dyskusje, byli dyskutujący. Oczywiście, jak to impreza niebiletowana, z obfitującym we wspaniały makaron przyjęciem zakończeniowym, promocja przyciągnęła wielu ludzi na co dzień zajmujących się jakby czym innym. Znacie ten typ, który wypija cały rząddek kubeczków wina na wernisażu; charakteryzuje go sporo czasu wolnego, permanentna gotowość do dyskusji na tematy polityczne, niezduzowana akademickim drylem swoboda skojarzeń.

Dzięki silnej reprezentacji tego środowiska omówienia sztuk zyskiwały nierzadko aspekt psychodeliczny, a łaska wzajemnego zrozumienia jeździła na doprawdy pstrym koniu. Padło kilka ekstrawaganckich punchline'ów, choć akurat parę z nich z najmniej spodziewanej strony. (Między innymi po wysłuchaniu *Małej narracji* Wojtka Ziemińskiego znany nowojorski intelektualista ogłosił, że komunizm był ustrojem, o którym jego pokolenie marzyło, i nie widzi nic złego w tym, że ludzie próbowali go wspierać). (Padła również wątpliwość, czy promocja polskiej antologii nie jest przejawem naszych zakusów kolonialnych), (!), a ostatecznie, w dyskusji podsumowującej całość, gdy zarówno moderatorzy, jak i publiczność, zmęczeni kilkudniowym maratonem, naprawdę oczekiwali niecierpliwie puenty, naprzeciw temu napięciu wyszła niemłoda kobieta, najbardziej zaciekle uczestniczka wszystkich czytań, która spytała z oburzeniem tyleż niekłamany, ile godnym lepszej sprawy: „*Why is the author so obsessed with urination?*”.

To pytanie do Pawła Demirskiego, i niech on już w swoim sercu sobie na to odpowie, gdyż ta pani dawno już pewnie siedzi na serii wykładów o roli kredensu w życiu codziennym litewskich mieszczan w XVIII wieku, bezpłatnym kursie grania szczotką do zębów na miednicy lub dyskutuje o szansach nawiązania kontaktu z inną cywilizacją z człowiekiem przebrany za pizzę, a to, że zasiała w kołach akademickich ferment wokół tematu fiksacji urynacyjnej w sztuce Pawła Demirskiego, zdaje się jej tak odległe i nierealne jak co najmniej mnie.

Bo tymczasem ja po festiwalu jadę już na moje pierwsze w życiu Thanksgiving do Beacon. Nie to, żebym była od razu taka ze Stanów; pcha mnie tam mało kusząca wizja siedzenia chorej i samej jednej w całym wieżowcu w opustoszałym mieście, w towarzystwie dźwięku jeżdżącej windy, paru brązowych bananów i zeschłego sushi w lodówce. Wszystko to wina metra, bo dużo czasu spędzałam w metrze, a to jak wrzucenie losu swojego świeżo przywiezionego z Polski zdrowia na wielką, gotującą się, bakteriologiczną loterię. Na której każdy los wygrywa; myślałam o tym niejednokrotnie, chwytając się dłonią barierki, jeszcze ciepłej i wilgotnej od dłoni kogoś, kto właśnie wysiadł: czego właśnie dotykam? W jak zawile fizjologiczne fabuły zostają właśnie uwikłana? Myślałam też o tym, kiedy pewnego dnia wsiadłam do wagonu; cóż, czasem ulegnie się tej logice: o, tu akurat nie ma tłoku, jak miło, jak swobodnie; zapamiętajcie jednak na zawsze: to tak nie działa. Coś takiego jak wagon metra niezatłoczony bez przyczyny nie istnieje w przyrodzie! Tak było i tym razem: król piechotą tam nie przyszedł i prawdopodobnie nie był to też król – tak bym to najprościej nazwała. Ale było za późno, by wymyślać fikuśne nazwy dla tego, co próbowało wdrzeć się do wewnątrz mnie przez te nierozsądne otwory w twarzy, które desperacko owijałam szalikiem.

Na następnej stacji uciekłam do wagonu obok, a tam z kolei, jak gdyby nigdy nic, siedzi chłopak z wielkim styropianem pełnym jedzenia, więc dla odmiany dostaję się w sferę rażenia oparów jakiejś tureckiej mamalygi. Mając w pamięci jeszcze tamto, a teraz nagle to: tu ktoś je, tu ktoś sra, tu ktoś śpi; tu ktoś jak gdyby nigdy nic śpiewa operę; oto koło życia, na którym wiruję jak rozjechana guma do żucia. Tymczasem chłopak w wielkim zapamiętaniu i pośpiechu zasysa parujące masy i sosy, w oczach ma

erotyczną prawie pasję; wielkimi skórzanymi ustami mamle kurczaka, rozgryza i wysysa kostki, w końcu wyrzuca widelec i chłepcze to wszystko z pudełka, raz po raz wylizując palce; aż się mu chce, w przypiływie złościwości, huknąć do ucha: oddawaj to.

Jednak wracając do Thanksgiving; przyjeżdżamy do Beacon i oczywiście musimy zrobić wielkie zakupy, bo jest nas łącznie trzy osoby, więc pięć kilo ziemniaków... cztery rzepy... dwie dynie... Niech spojrzę na moją listę. Sześciokilowy indyk, dwukilowa torba stuffingu – sześć litrów pomidorów w puszcze, i parę innych drobiazgów, a jest ich niemało, skoro w ShopRite zdobywamy czterysta punktów i załapujemy się na promocję „Free Turkey”, dzięki czemu dostajemy drugiego indyka, więc mamy już łącznie dwanaście kilo indyka. Mamy całe góry, płaskowyzę jedzenia, które jada, kołysząc się, po taśmie, a wszystkie wyglądają doprawdy jak ten mój zabawkowy zestaw plastikowych amerykańskich jedzeń z Peweksu, który dostałam kiedyś (zupy Campbell, puszki zup, kartoniki płatków), powiększony pompką powiększającą. Aż sprzedawczyni zauważyła uśmiech rozlewający się po mojej twarzy: „O Boże, widać, że naprawdę się z tego cieszysz, to naprawdę czyni cię szczęśliwą”. NO JASNE, a co myślałaś? Moja szczerą radość z zakupów, którą możemy też nazwać mniej eufemicznie gorączką, naprawdę przypada jej do gustu, bo gdy komputer nie chce wczytać naszych czterystu punktów, walczą o nasze prawo do sześciu kilo darmowego indyka jak lwica, nieporna na dziesiątki ludzi czekających za nami w kolejce.

Wtedy jest Thanksgiving, bardzo miłe święto. Polega ono, jak wiele świąt i w naszej kulturze, na rytualnym jedzeniu jedzenia; może też posłużyć jako okazja do uderzenia nie lubianego rodzica pokrywką od brytfanny lub do ogłoszenia swojego homoseksualizmu. Cały dzień pieczemy indyka, aż drewniany domek Connie wypełnia się po brzegi gorącym, słodkim, tłustym oparem; oddychając nim przez wiele godzin, można w pewnym momencie złapać się na takiej myśli: a co jeśli ten indyk piecze też n a s? Nie, nie, nie, przepraszam.

Więc wracając do indyka, to jest on wypchany kawałkami chleba wymieszanymi z kawałkami żołądków, selera naciowego i czegoś tam... To jak z bigosem, każda rodzina wkłada co popadnie. Mój ulubiony indyk to taki, do którego wkłada się kaczkę, do której wkłada się kurczaka. Podawano go zresztą w *Gotuj z H. Lecterem*. Są tam jeszcze inne rzeczy, różne dynie,

słodkie ziemniaki; generalnie trzeba się obowiązkowo przejeść, a potem się leży na sofie, oglądając mecze futbolowe, konkursy psów i nowojorską paradę dziękczynienia, czyli tyle, na ile akurat stać trzy krzywe komórki nerwowe, które ocalały z komy cukrowej.

Więc swoje pierwsze Thanksgiving uważam za bardzo udane i włączam je do kalendarza swoich ulubionych świąt, zaraz obok Trzech Króli, Dnia Nauczyciela i Sprzątania Świata. Nie mając zaś na koniec żadnej stosownej puenty, pomyślałam, że zastosuję ten sam trick co ta kobieta od uryncacji, zapytam na przykład: dlaczego autorka przeczytanego przez was właśnie tekstu tak obsesyjnie powraca do figury „ja”? Albo: dlaczego na jego bohaterów wybrała ludzi?

Seriale 1

Jeśli chodzi o książkę *Nocne zwierzęta* Patrycji Pustkowiak, to często odskakiwałam od jej kart jak poparzona, z przykrym niedowierzaniem rozpoznając na nich własną osobę, oczywiście stylowo wypaczoną, spotworniałą; ja chcę myśleć, że dla niepoznaki; złośliwi twierdzą, że tylko dla większej hecy. Na przykład: „leżą pokotem jak szlachta śnięta miodem pobranym z piwniczki”. Przecież wszyscy wiedzą, że to o mnie. „Jest after na Tarchominie”. Też o mnie. I nie tylko. „Nie chcę mieć życia sformatowanego do 8 godzin pracy. Cenię sobie swoją wolność. Wolę oglądać *Breaking Bad* i *Mad Men*, niż poddawać się regulaminom”. Patrycja, co chcesz osiągnąć, wkładając moje życiowe credo w usta jakiegoś przećpanego nieudacznika?? Czy też to tak zwana interwencja, owinięte w bawełnę literatury wiadro zimnej wody? „Przeczyta i wreszcie zrozumie, że nie jest z nią dobrze”? „Oczywiście jeśli w ogóle jeszcze umie czytać”.

„Cała Polska nie czyta dzieciom”.

„Bo ogląda seriale”.

Taka akcja, słyszeliście?

Jeszcze niedawno ten nałóg kojarzono wyłącznie ze środowiskiem niespełnionych erotycznie i emocjonalnie służących, które ze względu na częstą niskobudżetowość polskich montaży rodzinnych pełnią również funkcję żon i matek, a nawet czasem, z braku laku, kochanek. Oto i one miały swoje skromne, łatwo dostępne i legalne, ale przecież twarde narkotyki w postaci rozmaitych, barwnych jak gile z nosa, *Barw szczęścia*. Oto i one mogły doświadczać swoich piśniowych tripów, a nie tylko godzinami wydrapywać wyżute gumy z dywanu. Jednak topos zalatującej lizolem kobity w wałkach, z puszką warki strong, hipnotycznie wgapionej w ekran, to zupełne retro, które możecie napotkać już tylko w Kabaretonie Dwójki i w teledyskach Big Cyca. Zastąpiłam ją ja, czyli „młoda, wykształcona”, „no, może nie taka wykształcona, ale wyjeżdżająca za granicę”. „Bynajmniej bez wałków”. W pełni sił życiowych, fizycznych, intelektualnych, moralnych;

każdego dnia mogąca zmienić świat, a co najmniej narodzić jakichś dzieci; wziąć udział w powstaniach, wojnach o lepsze jutro lub, niech tam, choćby i tupnąć nogą w sprawie usunięcia chipsów z oferty szkolnego sklepiku!

Dlaczego więc zamiast brać się za bary z rzeczywistością, zdrowa, niegłupia kobieta spędza życie w łóżku, opędzając się od rodziny i przyjaciół, jak od może nie bardzo licznej, ale natrętnej i hałaśliwej szarańczy? Bo ta usiłuje swoimi zagajeniami i zwyczajowymi próbami podtrzymania więzi zmarnować jej czas, kiedy ona właśnie tak bardzo go potrzebuje na oglądanie siedemdziesiątego ósmego odcinka piątego sezonu *In Treatment*. Zupełnie jakby doktor Paul Weston mógł zniknąć, jeśli nie będzie go należycie często i mocno oglądała!

Ale żarty na bok, bo to jest naprawdę. To uczucie, że podtrzymujemy świat przedstawiony serialu naszym wzrokiem i słuchem; że to nasze przejęcie i ta uwaga są jego paliwem, tlenem, jedną z podwalin tego nałogu. To nie jest tak, że nic nie robimy; że bohaterowie świetnie by się bez nas obyli! Kompulsywnemu oglądaniu serialu towarzyszy przekonanie, że dokładamy naszych starań do czegoś fundamentalnego. Nagle stajemy się skrupulatni, pilni, cierpliwi; klikając na kolejny odcinek, mamy świadomość, owszem, że za oknem świta, ale obowiązek to obowiązek, s a m o s i ę n i e o b e j r z y. Czy czuliście ten zapach, zew, nagłe zaangażowanie? Pierwsze dwa odcinki zawsze stawiają pewien opór; mózg potrzebuje chwili, by złapać konwencję, znieczulić się na chropowatości narracji, dać się oszukać. Ale to tylko przemijający zgrzyt, zmiana torów na węższe czy tam szersze – nieważne, i tak za chwilę pędzimy już na oślep, bez ładu i składu; jesteśmy niby szczur wciskający do utraty tchu i czucia przycisk z przyjemnością.

Pierwszych parę razy obserwowałam ten proces bycia pochłanianą z zaskoczeniem, niejakim zachwytem. Oto zaczęłam z dnia na dzień mieć poczucie pewnej duchowej pełni, emocjonalnego wysycenia, jakiegoś życiowego bizancjum; z dnia na dzień zaczęło dziać się tak wiele, choć obiektywnie tak niewiele. Jednak jednocześnie jakieś porody, strzelaniny, akrobacje, w dodatku po angielsku, w języku ludzi lepszych, o bielszych, równiejszych zębach; o nie, mojego życia nie mogliście nazwać nieciekawym; no, jeśli już nawet musiałam od czasu do czasu umyć twarz czy poprawić spodnie od pidżamy, to myślałam w tym czasie o motywacjach

bohaterów, o tym, jak powinni postąpić i kto im tam robi koło pióra. Zero tej okropnej pustki; czułam się niezależna. Czułam się bogata wewnątrz! Czułam, że przynależę. A to coś, czemu wcześniej usiłowałam nadać pozory życia... hmm, może miłe, ale żałosne. Kim byli ci ludzie, którzy chodzili po moim mieszkaniu, korzystali z mojej łazienki, trzymali w szafach swoje ciuchy, a czasem nawet swoje ręce na moich piersiach? Rodzina? Znajomi z jakichś odległych, nierealnych już kolonii, trudni do rozpoznania podczas pobieżnych spotkań w kuchni, jakbym oglądała oblane herbatą zdjęcia.

Nie raz, nie dwa ktoś przez te miesiące mojego serialowego amoku pytał mnie, co słyszeć, a ja po chwili namysłu... Z trudnym do ukrycia smutkiem... „No, Paul się rozwodzi! Z Kate nie mają sobie już nic do powiedzenia i są dla siebie toksyczni”. Albo: „Lemon ostatnio chciała kupić mieszkanie, ale oczywiście nic z tego nie wyszło, bo ten jej, ten wiesz, Alec Baldwin... Nie znasz?”. Zazwyczaj na czas orientowałam się, że ci moi znajomi Amerykanie, których śmieszności i rozczarowania znam tak dobrze, a może nawet, kto wie (rzuciła, czujnie zerkając na diodę kamery), oni moje, nie istnieją w świecie, w którym właśnie przebywam; że z udatnych tresów wystaje im metka HBO; że są zupełnie jak niewidzialni przyjaciele, którzy żyją w pudełku po pringlesach i wychodzą tylko do mnie, tylko nocą!

Istnieją, nie istnieją, nieważne; i tak czułam, że w moim życiu dzieje się coś niezwykłego; gęstość szarych jesiennych dni ciągle rosła (wraz ze zwiększaniem codziennej liczby odcinków), (i zmniejszaniem się liczby realnych wydarzeń). Ale oczywiście, jak można się domyślić, to nie mogło trwać wiecznie.

By uczynić długą historię krótką, punktem zwrotnym był trzeci sezon *In Treatment*. Paul Weston miał tam bardzo nieudolnie i nachalnie ufarbowane na czarno włosy, co obróciło jego młodzieńczo niesforną zazwyczaj koafiurę w bryłę, skałę, czarny monolit rzucający oleisty cień na steraną rozplątywaniem węzłów gordyjskich ludzkiej psychiki twarz... Za ten rząd lśniących, białych zębów u sześćdziesięcioletniego człowieka to jeszcze dałabym się pociąć (w jakimś mało widocznym miejscu), że to jego prawdziwe, że wyrosły bezpośrednio z jego kryształowej duszy. Ale te włosy to już nawet dla mnie było przegięcie; nagle nie mogłam dłużej w to wszystko wierzyć, przenosić na niego swoich pragnień i uczuć. Po prostu

nie mogłam! To właśnie wtedy wielodniowy ciąg wyrzucił mnie na brzeg, zdziczałą, wyobcowaną, zamotaną w koce. Ze spierzchniętymi ustami, z drzwiami mieszkania zatarasowanymi pismami z ZUS-u i zeszłorocznymi kartkami na Boże Narodzenie! Bez przekonania poczłapałam w kierunku karczmy, rzuciłam dukata, wołając kaszy ze skwarkami, skibki chleba, i już, już chciałam zewlekać misiurę, ale okazało się, że w Polsce jest 2013, premier, supermarkety i w ogóle! Tak, tak, tak!

Chciałoby się zakrzyknąć: czy nałóg serialowy ma w ogóle jakieś zalety? Odpowiedź: właśnie najgorsze, że ma. Zobaczcie artykuł *Uwaga! Książki zmieniają mózg!* W jego świetle obcowanie z wysoko jakościową, złożoną symulacją rzeczywistości wprowadza realne zmiany w percepcji, rozwija empatię, wzmacnia, tonizuje, oczyszcza i pogłębia więzy. Ja pytam jednak: jakie więzy, z kim? Może z osobą, z którą ewentualnie się serial ogląda? No, chyba że z podłożem? Serial nadweręża nawet więzy z samym sobą, nie mówiąc o rzeczywistości!

Z drugiej strony, nie wydaje się, żeby literatura, ze swoim nieprzystającym do niczego, wolnym procesem produkcyjnym, była zdolna jeszcze nadażyć za rzeczywistością i produkować szerokie, wielowątkowe narracje, społeczne panoramy. Książka, jako historia mozolnie spisywana w zapajęczynionym kąciku przez jednostkę, nie jest już formą zdolną pomieścić galopującą, rozlewającą się w czasie i przestrzeni współczesność. Serial ma nad nią przewagę, jako symulacja projektowana znacznie szybciej, przemysłowo, przez wiele osób, na podstawie dogłębnych researchów, a przez to o znacznie wyższej reaktywności na szybko zmieniające się okoliczności społeczne i polityczne.

Jednocześnie wysoka przyswajalność, bezwysiłkowość w odbiorze serialu jest tu na tyle wysoka, że ktoś odpalający siedemsetny odcinek *The Wire* nie ma już wiele wspólnego z poczciwym molem książkowym sięgającym po kolejny tom Dostojewskiego. „No oczy sobie wypatrzy!” Jak pisze Patrycja Pustkowiak: „Niestety, kultura disco ma się do współczesnego clubbingu jak formacje zbieracko-łowieckie do kapitalizmu”. Ale to nieuchronnie serial będzie zawiadywał naszą biologiczną potrzebą wielkoformatowej narracji.

Nazywam się Dorota, seriale oglądam od sześciu miesięcy. Boże, użyż mi pogody ducha, abym godziła się z tym, czego nie mogę zmienić, zmieniła to,

co zmienić mogę, i odróżniała jedno od drugiego.

Beksińscy

Cytowania Milana Kundery nie uznaję, no, chyba że w pomieszczeniach, w których wiszą też oleje z Marilyn Monroe i Audrey Hepburn oraz Nowy Jork z lotu ptaka, wtedy tak. Jednak jeden cytat bardzo mi się zawsze przydaje, kiedy idę obok domu handlowego Sezam, a z witryny kuszą elektroluksy, podrzewiałe keksówki, luksusowe golarki do ubrań Clatronic, mydełka Imperial Leather i inne symbole dobrobytu, od których kręci się w głowie, zwłaszcza jeśli popić ciociosanem. A zaraz za nimi jest, jak wiadomo, coś w rodzaju „Galerii autorskiej Elżbiety Tudorskiej”, czy coś takiego. W każdym razie w witrynie na sztalugach, wśród udrapowanych welurów wyeksponowane są obrazy przedstawiające różne łąki i konie w galopie, i tego typu rzeczy w tonacjach musztardowo-zbożowych. A ponieważ często przy mijaniu „Galerii autorskiej” towarzyszy mi spokrewniona dziewięciolatka, odbywamy ciągle tę samą rozmowę – dlaczego te obrazy nie są wcale aż tak piękne, skoro są aż tak piękne. I oprócz mojego głównego argumentu, że NIE SĄ, PO PROSTU NIE SĄ!!! – który jest silny, ale jakoś widocznie niewystarczający, przychodzą mi w sukurs jeszcze te słowa Kundery, że „kicz to świat bez gówna”. No ale że też nie chodzi o to, by w winnicy obok kamiennych schodków leżał teraz stolec; że gówno jest tu metaforą wszelkich rozpadów, rozkładów i procesów gnilnych, toczącej rzeczywistości, i że całkowite usunięcie go widzowi z pola widzenia daje pewien rodzaj absurdu, zwany właśnie kiczem.

I ja przeżywam coś takiego trochę właśnie à propos twórczości Zdzisława Beksińskiego. Tylko że na odwrót. Obrabiane przez niego procesy gnilne nie zawierają nawet ułamka procesów niegnilnych; są entropią, mrokiem, zgnilizną, bez żadnych domieszek rzeczywistości. To piekło, ale bez nieba. A co gorsza, bez ziemi. Co daje (przynajmniej w moim odczuciu) również efekt lekko grafomański. Ale to jest indywidualna kwestia. Gusta gustami, aroganckie opinie bez pokrycia aroganckimi opiniami, a niezwykłości

Beksińskiego jako artysty i człowieka nic nie jest w stanie dla mnie podważyć. Gdyby nie był artystą tak wybitnym i nietuzinkowym, nie mogłaby powstać o nim tak wybitna i nietuzinkowa książka jak *Beksińscy. Portret podwójny*.

Jest ona typem lektury ostatecznej, totalnej. Nic, z czym można by wsiąść do metra Świętokrzyska i na Służewcu wyrzucić do kosza przeczytane. Ja po takie książki często nie sięgam, bo ambicji mi starcza zazwyczaj do połowy, potem mija tydzień za tygodniem, a ja wciąż jestem na siedemset którejś stronie; za daleko, żeby po prostu to porzucić i już zawsze mówić (unikając kontaktu wzrokowego z rozmówcą): „Tak, tak, przeczytałam. Ale nie do końca”. Ale też nie da się już tak po prostu skończyć: przeinwestowana czasowo książka dwoi i troi się w oczach, mącą się imiona i nazwiska, mieszają daty i detale geograficzne. A *Portretu* po pięciuset stronach jest ciągle za mało. Ponieważ z życiem Beksińskiego jest zupełnie inaczej niż z jego sztuką: jest tam i ziemia, i niebo, i łąka, i dużo gówna.

No i oczywiście piekło.

Mimo kokieteryjnych deklaracji, że chciałby pomieszać szyki wszystkim biografom, Zdzisław, jakby widząc we własnoręcznie skonstruowanym przepowiadaczu przyszłości mającą na horyzoncie Magdalenę Grzebałkowską, zostawił po sobie nieprzebrane łany materiałów biograficznych: memuarów, dzienników fonicznych (potem również wideo), kompulsywnej korespondencji (którą „pasożytuje na ludziach spoza miasteczka”). Cała rodzina zresztą zaciekle archiwizowała swoją egzystencję. Choć Zdzisław Beksiński (który przechodzi w swoim czasie fascynację pisaniem) szybko zostaje odwiedziony od tego pomysłu przez znajomych, realizuje się literacko w namiętnych epistołach. Dziwaczny, wyizolowany, autoobsesyjny, okrutny i dowcipny w swoich opiniach i diagnozach psychologicznych jest typem wszechartysty, który i zaprojektuje futurystyczny autokar, i napisze opowiadanie, i wszystko to będzie nieakceptowalne, ale nieodmiennie wybitne. No, może oprócz projektu artystycznego „syn” – rodzicielstwo w jego wydaniu zachowa wyłącznie pierwszy z wymienionych walorów.

Tak czy siak, niewątpliwa atrakcyjność literacka biografii jeszcze rośnie, gdy w obiektywie Grzebałkowskiej pojawia się drugi portretowany. Nadinteligentny, chowany w izolacji Tomasz jest dzieckiem niezwykłym, w całej rozciągłości tego słowa. („Kiedyś, przy obiedzie, właśnie zasiadałem do stołu, kiedy zauważyłem, że dano mi zupełną pomidorową za jasną. Więc wrzasnąłem: zabierajcie mi to świństwo sprzed nosa! Wtedy babcia zrobiła się zielona ze złości i wrzasnęła: Cicho siedź, psi synu, zatkaj się zupą!”), (T. Beksiński l. 10, *Wojna w domu. Historia nieprawdziwa*, wyd. Dom Kowalika).

Zdaje się, że praca Magdaleny Grzebałkowskiej w tym wypadku to nie tylko brawurowe przepłynięcie wpływ oceanu materiałów dowodowych – tu pióro zdołało je powiązać tak, że tworzą spójną, arcybarwną opowieść, tak wieloperspektywiczną i zagadkową, jak co najmniej samo życie. Ciągnie się ona wzdłuż i wszerz miejsc, czasów, ludzi. Jest stalinizm, komunizm, są czasy przełomu i kapitalizm; jest prowincjonalny Sanok z demonicznym, po schulzowsku samoprzekształcającym się domem nad potokiem, w którego ogrodzie stoją satanistyczne rzeźby, rosną kwiaty, a mały Tomasz zakłada kanalizację i anteny mieszkającym w drzewach wyimaginowanym „paniom”. Jest warszawskie blokowisko, w którym ojciec i syn zbroją swoje najeżone sprzętem elektronicznym krypty, opancerzone labirynty, wypełnione zapasami wołowiny w sosie własnym, płyt CD, mikrofonów i innych rzeczy niezbędnych podczas apokalipsy. Są wartości chrześcijańskie i wielopokoleniowa rodzina (Beksińscy mieszkają najpierw z jedną, potem z dwiema babciami i do śmierci się nimi opiekują), w której praktykuje się ostentacyjny nihilizm (zapisy z dziennika fonicznego, gdzie ojciec z kilkuletnim Tomaszem gwarzy o gównach lecących z dupy). Jest wielka miłość (gdy Zosia, „prowincjonalna gęś z torebką”, daje się naga wiązać sznurkiem do zdjęć i studzi Tomaszowi ziemniaki wentylatorem) i wielka nienawiść. Brakuje tylko aligatorów, bo tworzy to wszystko mieszaną na tyle perwersyjną, że raczej powinna się ona „wydarzyć” w jakimś nieuwzględnianym przez mapy stanie Ameryki, i aż dziwne, że wybrała sobie za tło pastewną, burą Polskę. Która przewija się w tle mimochodem, niby dopust boży; sprawia wrażenie brudnej, wylewającej ciągle rzeki, na którą nie ma żadnej rady. Można tylko bunkrować się, okopywać, unikać tematu; kupować na zapas papier toaletowy i wołowinę w puszkach,

i w izolacji pielęgnować swoją pasję. Pasję tak wielką, że niszczy i kaleczy wszystkich, którzy wplaczą się w jej szprychy.

Autorka zmienia obiektywy i filtry, zręcznie prowadzi czytelnika od kontekstu politycznego, przez obyczajowy, aż do wielomównego szczegółu. Gdy Zdzisław po śmierci żony wyrzuca z lodówki zgniłe kiwi, a mały morderca po dokonaniu zbrodni chowa nóż do siatki „żer dla skner”, Beksińscy stają przed nami, jeśli można użyć tu tego niefortunnego określenia, jak żywi.

No właśnie: o jakości tej książki świadczy ogrom tematów do dyskusji, jakie nasuwa. Między innymi: czy dając reportaż tak wnikliwy, wielogłosowy, niejednoznaczny, po którego przeczytaniu bohaterowie wydają się bardziej realni, niż czytelnik wydaje się realny sam sobie, nie wręcza mu się jakichś niezgrabnych, topornych narzędzi do wystawiania jałowych ocen? Kamera M.G. wiezie przez życie Beksińskich nieprzejednanie, zawadzając o łóżka, łazienki, trumny i sedesy – jej praca jest niezwykle wciągająca, jednak czy ten stopień wniknięcia w czyjeś życie, razem z jego najbardziej dosłownymi, wręcz fizjologicznymi obszarami, nie jest wyśrubowany? Oczywiście to kwestia sumienia autorki; myślę jednak teraz o jej mizantropicznym, aspołecznym bohaterze, który w obliczu zapowiedzianych odwiedzin, choćby późnowieczornych, od rana oczekiwał gości w stroju wizytowym? Czy byłby szczęśliwy, paradując przed czytelnikiem nie tyle że w gatkach, ile z otwartą czaszką?

Pół biedy tych, założmy, pięćdziesiąt tysięcy ludzi, którzy przeczytają książkę – ma prawo wziąć z niej to, co chce, i myśleć to, co myśli. Bardziej chodzi mi o całą resztę, która nie przeczyta; o pewną świadomość zbiorową, bo to w niej może Beksiński do końca świata (i o jeden dzień dłużej) funkcjonować jako „ten, co się brzydził swojego syna i go nie przytulał, i ten syn popełnił samobójstwo, a poza tym to miał ciągle rozwolnienie”.

(Aż chce się zakrzyknąć: niszczone pamiętniki zaraz po napisaniu! Zdjęcia usuwajcie zaraz po zrobieniu! Gdybyście widzieli kręcącą się koło waszego domu osobę podobną do Magdaleny Grzebałkowskiej, udawajcie, że niby nigdy nic, a nocą spróbujcie się wyprowadzić, zacierając ślady!)

W każdym razie ja również po tej lekturze postrzegam rodzinę B. jako rodzaj swoich niespokrewnionych krewnych, co więcej, spokrewniona ze mną dziewięciolatka też ich tak postrzega („Mamo, przeczytaj jeszcze, co Tomek zrobił, proszę”). Dla mnie to jedna z ważniejszych książek ostatnich lat.

Rozpoznawalność w województwie łódzkim

Dziś chciałabym zaprezentować raport pod tytułem *Rozpoznawalność literatów-piosenkarzy w hurtowniach tekstylnych i szwalniach w drugim kwartale 2014 w woj. łódzkim.*

Badanie odbyło się techniką badania mimowolnego, przedstawicielka świata literackiego i muzycznego niespodziewanie dla samej siebie pojawiła się w czterech zakładach handlowo-usługowych na terenie województwa łódzkiego. Mimo stroju nieposiadającego atrybutów pełnionych zawodów (takich jak kołnotatnik, maszyna do pisania czy zwyczajowy pulpit z nutami), a także powściągliwego zachowania rozpoznana została w dwóch z nich. Jeśli za jednostkę rozpoznawalności w przestrzeni publicznej przyjmiemy jednego milowicza, można powiedzieć, że rozpoznawalność artystki w zakładach tekstylnych wynosiła pół milowicza. Jednak gdy opuściła teren zakładów, trudno było uniknąć dalszego badania – pomiar mimowolny raz rozpoczęty nie zawsze daje się zakończyć. Na dalszych jego etapach badająca została więc rozpoznana na dworcu kolejowym i w chińskiej budce na osiedlu Retkinia. Wynik podwyższył jeszcze fakt, że ostatnie rozpoznania zostały dokonane w miejscach mało spodziewanych, przez jednostki w komfortowych strojach bawełnianych, zdradzających zainteresowania sportowe, samochodowe i rozrodcze, na niekorzyść innych zainteresowań.

Można więc zaryzykować twierdzenie, że na chwilę obecną rozpoznawalność literatów-piosenkarzy w przestrzeni publicznej wynosi 0,9 milowicza i jest stabilna.

Podczas badania dokonano też innych obserwacji społecznych. Zarejestrowano: jednego mężczyznę, na przystanku, powtarzającego do samego siebie słowo „Żyd”; konflikt w kolejce do garkuchni dworcowej, w którym stanowisko karmienia gołębi bułką spotkało się z gwałtownym sprzeciwem pracownicy baru i wybuchem ogólnej agresji słownej i fizycznej; fenomen kulinarny: w tej samej garkuchni udało się osiągnąć fasolkę po bretońsku w kolorze intensywnie szarym; wołowina w pięciu smakach miała

kolory bardziej zbieżne z występującymi w przyrodzie, jednak po wyjściu z baru chińskiego, na koniec dnia, badająca mogła powiedzieć szczerze tylko jedno: „ja jebię”, a wartość fatyczna stwierdzenia tylko trochę przeważała nad faktyczną.

Ten raport stworzyłam przedwczoraj, zachęcona przez naczelną do podjęcia tematyki obyczajowej. Dwa razy mi nie trzeba było powtarzać. Co więcej, przyjęłam to z ulgą: jeśli chodzi o kino, teatr, muzykę i literaturę, ostatni miesiąc przeleciałam w całości na pojedynczych odcinkach pierwszego sezonu 30 *Rock* oglądanych w fazie REM i kupnie WIADOMEJ antologii oraz używaniu jej w charakterze stoliczka nocnego, podestu, schodka. A ponieważ nie do końca wystarczało to, by utrzymać status osoby będącej z kulturą współczesną na ty, dorzucałam jeszcze od czasu do czasu: „Ciekawa ta biografia Beksińskich”, „Biografia Beksińskich... Aha, już czytaliście”. „A w ogóle to fajną książką jest... Pisałam już o tym? Nie może być”. I dalibóg, musiałam być żalosna, gdy tak usiłowałam jeszcze rozmówców chwytać za rękawy, za łokcie, krzycząc oczami: „Nie odchodźcie!” i „Ale ja naprawdę kiedyś coś czyta... Hej? Gdzie jesteście? Schowaliście się? To już przestaje być śmieszne... Hop, hooop!”, i tak dalej, i tak bez końca.

Moja świeżo powzięta kariera muzyczna sprawiła, że zamiast brać czynny udział w życiu kulturalnym, zaangażowana byłam w sprawy, które swoją jałowością zadziwiłyby niejednego. To nie była już kwestia, jak przejąć panowanie nad światem w ogóle, lecz jak odzyskać elementarne panowanie nad swoim własnym, wychodząc z domu, d u ż o wychodząc z domu. Moje szarpaniny przypominały gwałtowne, ale skazane na porażkę ruchy zająca w ruskiej gierce, który dwoi się i troi ze swoim koszykiem w deszczu spadających jajek, wiedząc, że koniec jest blisko i że to już tylko kwestia nazewnictwa, czy jest to „wysoki wynik mimo klęski”, czy „klęska mimo wysokiego wyniku”.

Rzetelnych opracowań o rozpoznawalności w przestrzeni publicznej ze świecą szukać; na pewno też nieraz odbiliście się od ściany. W bibliotece publicznej pod R znajdziesz wszystko, a jak przyszło co do czego, to pierwszy poradnik *Rozpoznawalność dla nastolatek z miast poniżej 50 tys. mieszkańców* musiałam napisać sobie sama. A mimo to z rozpoznawalnością

jak z dzieckiem – niby już miałeś, niby zjadłeś na tym zęby, a jednak gdy powraca na kształt rozjuszonych fali, zęby musisz zjeść ponownie. Zagryzając solą i zajadając kamieniem.

Kiedyś słyszałam od znajomego psychologa, że zarejestrowawszy w realu twarz wcześniej widzianą na ekranie telewizora lub okładce magazynu, mózg ludzki ulega silnemu biochemicznemu wyładowaniu. Były to oczywiście badania amerykańskich naukowców, których szczegółów w dodatku nie pamiętam, ale z własnego doświadczenia wiem, że jedząc kiedyś obiad w Arkadii, nie mogłam oderwać wzroku od siedzącego przy stoliku obok Romana Giertycha, i potem już zawsze, widząc go w telewizji, postrzegałam go jako osobę znajomą, powiązaną ze mną silną, sekretną komitywą, jakkolwiek byłaby ona również urojona i jednostronna.

Osoba doświadczona może rozpoznać osobę rozpoznającą ją już we wczesnej fazie rozpoznawania. Przebywając na poczcie, w urzędzie, na plaży czy w innych miejscach, gdzie nasz los zwykł obrastać przezroczystą i efemeryczną tkanką przypadkowych kontaktów, ludzie szacują się wzrokiem pobieżnie i niedbale. Jednak osoba rozpoznawana bardzo wcześnie wyczuwa spojrzenie, które zatrzymuje się na niej, nagle przytomniejąc, nabierając ostrości, swoistej przebiegłości. Podczas gdy twarz osoby rozpoznającej tężeje w skupieniu, w jej oczach obracają się dwie klepsydry (lub coraz częściej tęczowe kółeczka), znak, że dane są procesowane, w jej mózgu zaś dochodzi do biochemicznego wybuchu, a w mózgu osoby rozpoznawanej też dochodzi do tego i owego. Duma miesza się z pyszałkowatym zniecierpliwieniem, panika ze źle skrywaną ekstazą, chęć ucieczki ze zdroworozsądkową chęcią pozostania na miejscu i podjęcia rozmowy, paranoja z czymś jeszcze, proporcje związane są tu z rysem osobowościowym jednostki.

Oczywiście gama sytuacji, które mogą w tym momencie nastąpić, jest bardzo szeroka i zależy od wszystkiego. Czasem jest to grzecznościowa rozmowa, czasem triumfalne wykrzykiwanie odgadniętego nazwiska, czasem pogardliwe sapanie, czasem szybka, przymusowa fotografia telefonem. Niezależnie jednak od tego, czy ekspresja rozpoznania jest taktowna i empatyczna, czy kawałki słomy z butów latają na wszystkie strony, nieodmiennie dochodzi między dwiema jednostkami do chwili dwuznaczności, konfuzji. Oto na scenie teatru życia codziennego

podwinięta zostaje zasłona umownej anonimowości, higienicznej obcości. Tak zwany d r u g i zna moją twarz, imię i nazwisko; siłą odsłania moją kartę, sam pozostając z zasłoniętą, nawet jeśli grzecznie się przedstawi. Oto zostają wyłuskana z szarej masy przelewającej się z tramwajów do autobusów i z powrotem, co jest i wyróżniające, i obnażające. Rozpoznanie w miejscu publicznym jest zawsze ingerencją, formą naruszenia, niezależnie od tego, jak subtelną.

I tu, na koniec, nasuwa się nieczęsta okazja do poprawnego użycia słowa „bynajmniej” – przez mój raport bynajmniej nie chcę powiedzieć: och, jaka jestem biedna, jaka jestem rozpoznawalna! A tak tego nie chcę, taka jestem skromna i prywatna, i właśnie dlatego zgadzam się na przykład na bycie na okładce dużego magazynu, bo mam tylko trzydzieści jeden lat, skąd mogłam o tym wiedzieć, pomocy, ratunku! Czy przykrość, której doznaję w związku z rozpoznawalnością w zakładach handlowo-usługowych w województwie łódzkim, wynika na przykład z mojej wielkiej, wrodzonej skromności? O c z y w i ś c i e t a k, jednak mam obawy, że w niewielkim stopniu. Dużo bardziej prawdopodobne zdaje się, że w byciu fragmentem masy jest coś szalenie wygodnego, bezpiecznego, fundamentalnego, faktor X, o którym nie myślimy i którego nie doceniamy.

W społeczeństwie, w którym tyle pary idzie w pielęgnację własnej (nierzadko skręcanej z chińskich półproduktów) indywidualności, w którym wzorcem osobowościowym jest „gwiazda”, a miarą życiowego sukcesu tańczenie z nią, lub choćby tańczenie z nią na lodzie, anonimowość jest bardzo démodé. Jednak jeśli dodamy jeszcze do tego majaczące na technologicznym horyzoncie okulary Google’a, można śmiało założyć, że możliwość ukrycia się w masie, zasłonięcia swojej tożsamości będzie w niedalekiej przyszłości dobrem wysublimowanym, kosztownym, ograniczonego dostępu. Bardzo możliwe, że produkowanym przez Chiny.

Seriale 2

London NW – LUBIĘ TO

Druga kobieta – LUBIĘ TO

Pinokio – LUBIĘ TO

Zawsze jest dzisiaj – TEŻ LUBIĘ TO

Uparte serce. Biografia Haliny Poświatowskiej – LUBIĘ TO

W krainie czarów – LUBIĘ TO

Christiane F. Życie mimo wszystko – Nie LUBIĘ TO

Prześniona rewolucja – Jeszcze nie skończyłam TO

Wszystko zależy od przyimka – Bardzo LUBIĘ TO

W ten sposób każdy widzi, że czytałam co najmniej kilka książek sprzed paru miesięcy, które wszyscy już czytali, i obejrzałam sztuki, które wszyscy już widzieli, i gdybym tylko chciała, mogłabym pisać o tym i pisać, ażby mi się uszy trzęsły, docieńcie więc, że wcale tego nie wykorzystuję. Tylko, sprytnie skompresowawszy swoje refleksje metodą nieprzesadnego ich rozwijania i maksymalnie zekonomizowawszy cze, mogące wlec się całymi akapitami wywody, w których każdy i tak koniec końców się pogubi i nic z nich nie pamięta, nareszcie mogę przejść do tego, co LUBIĘ NAJBARDZIEJ TO. Czyli seriali.

Już tutaj o tym trochę opowiadałam, że trudno mi już jednoznacznie stwierdzić, gdzie leży ta cienka granica między ciekawym hobby, pocieszoną kompulsją, niepokojącym nawykiem a pustoszącym nałogiem. Wiadomo tylko, że gdzieś za mną. A z fali listów, która nadeszła do „Dwutygodnika” po tamtym felietonie... Cóż, teraz wiem, że nie tylko ja śpię w łóżku z laptopem. Że nie tylko ja w chwilach słabości, pustki, rozpaczy, która mogłaby być okazją do skonfrontowania się z samą sobą i miałością własnej egzystencji, wsłuchania się w tępe wycie istnienia niosące się po trzewiach, tak żywo przypominające zawodzenie wariata w mrocznym zaułku

palmiarni szpitala dla nerwowo chorych, po prostu włączam sobie serial. Ruchliwa rtęć niepokoju momentalnie wskakuje z powrotem i zasklepia się w zbitym termometrze, który znowu cały spoczywa bezpiecznie w suchej dłoni pielęgniarki. Po złych myślach chwilowo nie ma śladu, a terkoczący głucho w oddali świat ze swoimi problemami, wojnami, drobnymi brązowymi rączkami szyjącymi pilnie kolejny chujowy T-shirt, którego nie będziesz nosić nawet do spania...

Hej, do cholery, czy oni nie mogliby sobie odpuścić i trochę się wyluzować? Nie wszystko musi być takie od razu poważne! Odłóż tę siekierę i zamiast zabijać przechodniów w przejściu podziemnym, wrzuć płytę do napędu! Odłóż ten krzyż i zamiast obrażać Boga swoim bronieniem go przed obrazaniem przez innych, pośmiej się razem z nami ze śmieszności nieistniejących ludzi z innej strefy kulturowej!

Zresztą zawsze to kochałam. *Kate i Allie, Alf, Roseanne*, ileż to cudownych pustych popołudni spędzonych w komie na tapczanie na obserwowaniu ludzi, którzy jedzą pizzę n a c o d z i e ń, jak kartofle, i każdy ma w domu mikrofalę, a nie tylko właściciel wypożyczalni VHS i burmistrz. Wtedy zresztą strumień medialny chłonęło się całym sobą, z reklamami, napisami, sygnałem kontrolnym, biorąc wszystko za dobrą monetę, nie szczczędząc życia ani mózgu. I rozlegało się już: „Czytał Janusz Sztydlowski”, i nagle, w potoku obcych nazwisk... Ted Sempolsky. Albo chociażby Klaus Kinsky. Polacy! Nasi w napisach. Człowiek na Księżycu! Oto hermetyczny, pilnie strzeżony, zaborczy świat na ekranie dopuszczał na chwilę do istnienia nas, siedzących daleko, daleko za jego bandą. Oto puszczał do nas oko: wy też istniejecie! Kiedy tu dla was gramy w waszym telewizorze, widzimy, jak tam siedzicie, jedząc pierogi, gołąbki, borszcz, pijąc wódkę, papieża, Lecha Wałęsę, Zbigniewa Bońka i prince polo! I jesteście gościnni, wasze dziewczyny są najpiękniejsze na całym świecie i byliście kolonią brytyjską!

Pamiętam dobrze to drgnienie ekscytacji i nie sądzę, że było ono wykwitem mojej osobistej durnoty, ale czymś dużo bardziej uniwersalnym. Jak gdyby w kondycji widza liżącego przez szybę jakąś rzeczywistość, pozbawionego głosu i sprawczości obserwatora było jednak coś uwłaczającego, wykluczającego, i każdy widz podświadomie łaknął

upodmiotowienia. Chciał, żeby ktoś poklepał go wreszcie po ramieniu: jestem może po drugiej stronie ekranu, ale cały czas cię widzę i widzę, że się starasz! A dziś, kiedy Polacy stali się już stałą i stabilną ingrediencją wielokulturowego tygla... Cóż, nie musimy już się cieszyć polskim wózkarzem czy oświetleniowcem w napisach końcowych, dziś sprawa polska w serialach to codzienność. Choć oczywiście nie zawsze usłana różami. Generalnie nasza stara miesza bigos łokciem i mopuje las. Choćby taka Sophie Kuczynski z *Two Broke Girls*, grana przez Jennifer Coolidge właścicielka firmy „Sophie’s choice-cleaning service”. Ospała umysłowo, choć rozbudzona zmysłowo, wtacza się co parę scen opakowana w lateksowe suknie wieczorowe i futra z psów, by wygłosić z kwadratowym akcentem kilka fraz w rodzaju: „Idzie wiosna. W Warszawie to już pewnie zwłoki zaczynają wypływać z Wisły”. Albo ta Polka z Chicago, z którą ma romans Charlie w *2 i pół* i dzięki której nauczył się mówić po polsku. (Ale tylko jedno zdanie: „Zejdź z moich włosów!”). Albo Liz Lemon z *30 Rock*, która przyłapana na chrapaniu przed telewizyjnym instruktą fitness przez agentkę nieruchomości, słyszy: „*Oh, the cleaning lady is here. Please come back later. NO POLISH!*”. Motyw polskiej sprzątaczkii Jadwigi, walczącej z Petem, powraca zresztą w jednym z następnych sezonów.

W autobiograficznej książce *Bossypants* Tina Fey, aktorka i scenarzystka *30 Rock*, która swoją karierę rozpoczęła w teatrze improwizowanym *Second Time* w Chicago, opisując swoje wczesnoranne podróże metrem, wspominała o jedynych o tak wczesnej porze pasażerkach, czyli polskich sprzątaczkach: „Wyciągały z za pazuchy pojemniki z tym pysznym polskim jedzeniem, zawsze tak samo parującym, gorącym, pożywnym i tłustym”. I mniej więcej ta linia obrazowania Polaków zostaje w *30 Rock* utrzymana: są to przede wszystkim pracownicy fizyczni, jedzący dużo pierogów. Jednak w trzecim sezonie prosta szydera z Polaka na szmacie zostaje przełamana, gdy Liz idzie na przymusowy urlop i odkrywszy swój brak więzi społecznych, wynosi z mieszkania krzesło i zadręcza słowotokiem polskich portierów: „Przynajmniej piszę... piszę dla śmiechu. Mamy takie powiedzenie: śmiech to najlepsze lekarstwo. Dlatego można powiedzieć, że jestem jakby lekarzem... To jak pan u siebie w Polsce”. „Hej, podłapałam od was trochę polskiego. P a n i, z a m k n i j s i ę!”

Na pocieszenie powiem, że w moim serialowym ciągu spotkałam się też

z jedną wykształconą Polką: w *In Treatment* pojawia się wzięta prawniczka, wychowana na Greenpoincie. Co z tego, że rodzina czeka na nią z „nalewką i pierogami”, gdy jej związki z mężczyznami wcale nie układają się jak po maśle, bo nie potrafi naprawdę się zaangażować? Podczas gdy wspomniana wyżej Sophie Kuczynski rwie z korzeniami co może z ogrodu miłości, a cały budynek trzęsie się od jej kopulacji z Rosjaninem w pasiastej bluzie, często wachającym z odrazą swoje pachy? „Kiedy miałam sześć lat, pracowałam w polskim McDonald’s w Warszawie. Upadłam na gorącego mcsticka!” – deklaruje Sophie, prawdopodobnie zresztą zaraz puszcza bąka, a z kieszeni wypada jej umazane sosem z gołąbków dildo.

I co zrobisz? Bezsilnie zaciskasz piąstki, gdy bohaterowie mają z ciebie beczkę za bezpieczną warstwą ekranu i ogólnego nieistnienia. Nawet samo obrażenie się o to jest obraźliwe, bo półka *Two Broke Girls* jest ostentacyjnie najniższa. Natomiast bycie wyśmianym w *30 Rock* jest, uważam, zaszczytem, bo serial ten jakością dowcipu śrubuje wszelkie standardy, i nawet z żalem stwierdzam, że tak jak nam dostaje się w nim wszystkim.

Na koniec dla zrozumienia skali zjawiska przytoczę opowieść Tracy’ego o jego dzieciństwie na południowym Bronksie: „Widziałem, jak ślepiec ugryzł policyjnego konia. Jak szczeniaczek popełnił samobójstwo na widok naszej łazienki. Raz jak wgryzłem się w mewę, znalazłem w niej dziecięcy bucik. Widziałem, jak prostytutka zre oponę i jak sfera dzikich psów z sukcesem przejmuje i prowadzi Wendy’s! Ludzie z kanału ukradli mi deskorolkę! Widziałem, jak jeden bobas robił tatuaż drugiemu, obydwaj kompletnie pijane!”.



Przyślij przepis

Czy uważacie, że z tą wojną to raczej przesadzone czy przesądzone? Bo mimo całego postępu technologicznego jakoś nie widzę, żeby rozwój dziedziny „przepowiadanie przyszłości” szedł do przodu równie szybko jak inne, a przepaść dzieląca obydwie scenariusze zdaje się raz wielka, a raz mała jak ten ogonek od ą. Dlatego, nie wykluczam, może mi być głupio, gdy kiedyś sobie przypomnę, jak trwoniłam to ostatnie tłuste lato, te resztki bez troski... Na co? Na czytanie jednego za drugim numeru „Przyślij Przepis”.

Co mną kierowało: wyparcie, wtórny infantylizm? Postępujące dziwactwo, w które wpędza mnie moje ego, bezustannie pluszczące się w kwasie skrajnych ocen? Przekora wobec wszystkich, którzy z pełnym zaangażowaniem wysiadali jajka na festiwalach, słuchali po dziesięć i więcej zespołów, a przynajmniej nagrywali je na iPhone’y; oglądali po dziesięć i więcej filmów, a przynajmniej „mieli je oglądane” (że użyję rodzimej kaszubskiej składni, która jest gramatyczną kwintesencją uczestnictwa w festiwalu, oddającą dwa jego najważniejsze aspekty: branie w posiadanie oraz tryb cokolwiek niedokonany)? Wobec młodszych, silniejszych, lepiej ubranych jednostek, które są już genetycznie przystosowane do pływania po błocie namiotami, tatuowania się w owoce i warzywa, noszenia z bezzasadnym samozadowoleniem skarpetek do kłapek Birkenstock i korzystania z toi toiów, nie osikując sobie spodni? I niczym się nie przejmują, bo w lekturach szkolnych zamiast *Medalionów* mają *Harry’ego Pottera i beczkę śmiechu*? Gratuluję, podziwiam, nie rozumiem, nie zgadzam się, nienawidzę. Czytam „Przyślij Przepis” i wam też to radzę, nim nasz mlekiem i miodem płynący świat pęknie jak bańka spekulacyjna.

„Przyślij Przepis” to moja ulubiona broszura kulinarna. Wspominałam o tym nieraz, ale nigdy nie dano mi szansy naprawdę się otworzyć. To nie jedno z tych pism typu „Lampa”, gdzie nie ma nic o żadnych lampach, ani „Wprost”, gdzie wszystko jest na wyrost. Jak mówi nam nazwa, zachęcenie

gratyfikacją pieniężną czytelnicy przysyłają przepisy na swoje potrawy, załączając zdjęcia legitymacyjne i paszportowe, a także zdjęcia swoich potraw. Dzięki temu, oprócz wartości praktycznej, pismo to (choć jest formatem, przez co doznałam swojego czasu palpacji serca na stacji benzynowej w Czechach!) ma wspaniałą wartość antropologiczną i tworzy swoistą encyklopedię polskich zachowań kulinarnych.

Dość nieprzeestetyzowana strona graficzna, niska cena, niski poziom lęku przed glutenem i brak większego zainteresowania kaszą jaglaną każą myśleć, że „Przyślij Przepis” nie jest kierowany do tych samych łasuchów, którzy kupują „Kukbuka”. Choć selekcji dokonuje i ostateczny kształt magazynowi nadaje redakcja (o czym zaraz), to z „Przyślij Przepis” jest jak z lumpeksem – pośród hałdy poszarzałych podkoszulków C&A z plamami po dezodorancie nagle możesz znaleźć koszulę Diora obciętą dokładnie pod piersiami albo pobrudzony machorką, ale oryginalny czepiec ludowy z XVII wieku. Jeśli zaś to porównanie rozciągnąć dalej, na serwis internetowy „Przyślij Przepis”... Ooo, w takim wypadku mówimy już o zajmującej halę po dawnej fabryce hurtowni odzieży używanej z Anglii i Wielkiej Brytanii. Zapnij pasy! Wsiadasz na zwariowany rollercoaster kuchni polskiej! (Oczywiście z wątkami kosmopolitycznymi – „pizza z pomidorami i serem – ten przepis dostałam od koleżanki z Włoch”).

Za co kocham „Przyślij Przepis” oprócz demokratycznej ceny dziewięćdziesięciu dziewięciu groszy i formatu broszurowego, który zmieści się i w wakacyjnej walizce, i w kosmetyczce, i w portmonetce, i w butonierce, i w sercu?

Po pierwsze, psychodelicznej prostoty narracja towarzysząca przepisom. Są to dość bezosobowe, japońskiej powściągliwości, nieco uwikłane w dyskurs reklamowy exposé w rodzaju:

„Ta pożywna potrawa często gości na naszym stole”.

„Smaczny pomysł na zwiędłe warzywa”.

„Często robię ten makaron, gdy wracam z pracy”.

„Kolorową zapiekankę uwielbiają i dorośli, i dzieci”.

„Wspaniała kolacja, gdy mąż wraca zmęczony”.

„Chłodzący koktajl zasmakuje każdemu!”

„Mój mąż ją uwielbia”.

„Często przyrządzam coś dla siebie i narzeczonego; znajomi chwalą moje dania mączne i sosy”.

Po drugie, bezpretensjonalna oprawa graficzna. Zdjęcia czasami półprofesjonalne, a czasami zupełnie tajemnicze, jak erupcja wulkanu na zbitym ekranie atari 65XE. Wątroby wieprzowe zmieszane z mascarpone, obsypane płatkami migdałowymi i obłożone cebulą. Kwiaty z jajek na twardo, wycinanki łowickie z marchwi, pagórki z parówek, kule z tuńczyka z puszki; kakofonie, niezidentyfikowane szczątki, mamałygi, rzygi; pływam w nich w moich snach na czóźnie z wydrążonego chleba, wiosłując mozolnie kocim jęczyzkiem.



Po trzecie, poszanowanie tradycyjnych wartości. Każdy numer opatrzony jest rodzajem kuchennego reportażu, którego bohaterem jest rodzina tak niepostmodernistyczna, jakby „Przyślij Przepis” robił Tomasz Terlikowski

pod pseudonimem. Czyli pichcąca kobieta, której kopystkę podaje dziewczynka, podczas gdy chłopiec interesuje się budową maszynki do mielenia, zaś mąż towarzyszy niewprawnie w obieraniu jarzyn. Nawet jeśli postmodernistyczne wiatry przywiały na okładkę jednego z numerów matkę samotnie wychowującą, dla zachowania obyczajowej symetrii został dokooptowany do niej dziadek rodziny. Gotujący mężczyźni zdarzają się bardzo rzadko, a nawet jeśli, to zawsze deklarując swój status początkującego: „Dopiero zaczynam swoją przygodę z gotowaniem; tę potrawkę ugotowałem dla narzeczonej w rocznicę”, w imię zasady, że mężczyzna w kuchni to pocieszny niezgrabiasz, mylący warząchew z sitkiem. Żadnych gotujących homoseksualistów, żadnych gotujących rozwódek i nic z tego, o czym mówi w którymś odcinku 30 *Rock* Liz Lemon przez telefon do swojego ojca: „U mnie wszystko dobrze. Miałam iść na ten kurs gotowania dla jednej osoby, ale prowadzący popełnił samobójstwo”.

Natomiast po czwarte, najbardziej kocham „Przyślij Przepis” za galerię tortów.

W czasach, gdy pisanki kupuje się w Carrefourze, ozdoby choinkowe kupuje się w Carrefourze, a stroje na bal przebierańców w Carrefourze, albo taniej – na Allegro, wygląda na to, że to właśnie tort, ta węglowodanowo-tłuszczowa libacja, pozostaje ostatnim aktem wewnętrznej sztuki domowej, na jaki porywają się polskie kobiety. (Nie biorę tu pod uwagę zjawisk takich jak zdobienie paznokci czy *découpage* – bo jednak wykonuje się je na bazie półproduktów, z dużo mniejszym aspektem ekspresji osobistej). Uczuciowe zaangażowanie autorek, często konkretny adresat (dziecko, chrześniak, mąż, przyjaciółka), którego osobowość jest uwzględniana w doborze estetyki i tematyki świątecznego ciasta, i wkład własnej inwencji twórczej każą myśleć o tortach w kategoriach realnie artystycznych.

Oczywiście nie we wszystkich przypadkach. Im sprawniejsza tortmistrzyni, tym niższy stopień artyzmu. Najlepiej w tym wypadku wypadają półprofesjonalistki, którym rzemiosło już daje pewną swobodę twórczą, a jeszcze nie pozwala im odtwarzać z fotograficzną precyzją scen ze *Shreka* i wizerunków bohaterów pochodzenia disneyowsko-pixarowskiego. Tortownictwo domowe często zresztą sięga po motywy współczesnej popkultury dziecięcej; zupełnie jak malowidła na balkonach bloków i altanek

działkowych konsekwentnie krążyły w latach osiemdziesiątych wokół Myszki Miki, Psa Pluto i Smerfów. Cieszy się ręka zwykłego człowieka, gdy swoją pracowitością i sprytem może odtworzyć to, nad czym pracowały najzmyślniejsze maszyny. Ten motyw często się w „Przyślij Przepis” przewija: pułap mistrzowski to ciasto tak dobre „jak z cukierni”, tak dobre, jakby zrobiła je maszyna. Choć wiadomo, że z kolei wypieki fabryczne równie często udają ciasta „domowe” i „babuni”.

Ale i tak wśród prezentowanych obiektów sztuki cukierniczej znajdziemy rzeczy zupełnie zachwycające, na których widok zakrzyknijemy szczerze: jak ona to zrobiła? Są tu misterne torty zwierzęta, torty torsy, torty suknie, w których na dobre i złe tkwią lalki Barbie, ślubne łabędzie z ciasta bezowego (na stelażu drewnianym), co do których nie ma się pewności, czy rodzina miała w ogóle czelność je zjeść, a nie wsadzić w formalinę? Tak po prostu rozsypać, roztrwonić te cukrowo-jajeczne mandale, zwrócić je chaosowi poprzez swe usta i układy trawienne?

Jest też sekcja ekscentryczna, sekcja różnorodności. To w niej znalazłam tort piersi, nie znalazłam natomiast tortu penisa ani tortu dupy, nie wiem dlaczego, może to kwestia dobrego smaku. Możemy za to dowiedzieć się, jak zrobić tort basen, tort gitarę, tort bikini, tort książkę, tort boisko, tort pasztetowy i około czterech tysięcy innych tortów.

Trzeba jednak uważać, bo jak w życiu: niektórych rzeczy, jak się je już zobaczy, nie da się odzobaczyć.

Zastanawia mnie tylko, dlaczego w tortownictwie polskim nie ma w ogóle reprezentacji nas, humanistów. Do roboty, nieuleczalni okularnicy, dość mam słuchania o waszych dwóch lewych rękach. Tort Kinga Dunin, tort okładka Czarnej Płyty Brygady Kryzys czy tort wódka same się nie upieką! I co, do cholery, myślą sobie nasze matki?

Czy ktoś z was dostał kiedyś tort z napisem „Kasia – sztuki wizualne” lub „Piotr, 34 lata literatura współczesna – doktorant”? A to przecież tylko dwadzieścia jajek, kilka kilo masła, dwa litry mleka, cztery budynie i czterdzieści dag pereł cukierniczych.

Może zresztą właśnie to tłuszczowo-skrobiowe bizancjum hipnotyzowało mnie nad nędzną gazetką; te litanie naszego dobrobytu, beztroski przelew mas śmietanowo-maślanych, brzmiący jakoś szczególnie w wiadomym

kontekście. A lato było piękne tego roku, tłuste lato.

Disco polo

Ile razy słyszę to pokoleniowe biadolenie o gumie balonowej Donald, gumie rozpuszczalnej Maoam, gumie rakotwórczej Turbo (nie wspominając już o gumie Juicy Fruit, a zwłaszcza o gumie Stimorol); o bajkach na slajdach, kakalku Schulstad, językach z dmuchanego ryżu, bagażniku pełnym napojów Hellena i rubryce „Napisz do Kasi” („Czy mogę nosić swoje kreszowe dresy w wybuchające planety także podczas miesiączki?”), to myślę, że wielkim nieobecnym w tym zestawieniu jest zdanie: „Słucham każdej muzyki oprócz disco polo”.

„Jestem zodiakalnym Lwem, kocham motory, Proletaryat i nie cierpię disco polo” – ogłaszano w rubrykach korespondencyjnych pism dla młodzieży.

„Poznam osoby w wieku 16–18 lat z całej Polski”.

„Majteczki w kropeczki. Nie cierpię takiego umcyk-umcyk” – mówiono, a prestiż osobisty skakał niby Gabriel Janowski przed debatą odnośnie odwołania ministra skarbu. Czyli wysoko w górę i zaraz z powrotem w dół. Wymachiwało się tym zdaniem jak warkoczem czosnku przed wampirem beznadziei, złego gustu i powszechnej wiochy; choć raczej wymachiwało się tym zdaniem jak wampirem przed warkoczem czosnku, pętem wątrobianki i główką kapusty, wiezionymi pekaesem przez krewnego w kieszeniach ubogiej jesionki, otchłaniach kraciastej torby sumki. „Nie pójdę z tobą pod rękę po molo. Nigdy w życiu nie pokocham dziewczyny, która słucha disco polo” – śpiewał nawet Grabaż.

Nie wiadomo, co właściwie złego zrobiła nam, Polakom, ta muzyka, która w paru skocznych dźwiękach, paru nutach wyśpiewanych przez rozmigdalonego kastrata miksowała bez ładu i składu nowe i stare czasy, kulturę wiejską z miejską, okarynę z kradzioną w Reichu yamahą, zasysając całe społeczeństwo w kompromitujący taneczny wir. Wielki upadający korowód, wciągający głupich i mądrych, biednych i bogatych; pijanych od ciociosanu z Peweksu i pijanych od wina Wino i wódki Wódka; wlokący nas przez wesela, pogrzeby i chrzty; wokół willi, wokół bloku i wokół familoku,

aż pod sam dom zły.

Tak czy siak, zastrzeżenie, że się w tym korowodzie nie tańczy, było z jakichś powodów ważnym tożsamościowym egzorcyzmem. Sama w jego ramach w latach 1995–1997 co tydzień w niedzielę w godzinach przedpołudniowych oglądałam program *Disco Relax*. Wiem, że teraz jest dużo osób, które te same niedzielne popołudnia poświęcały na ssanie rogu kocyka czy ślinienie sobie palców (dalibóg, nic na tym nie straciły, a może nawet zyskały), dla nich wyjaśnię, że program ten kompilował największe przeboje chodnikowej jebaniny, które nie miały prawa pojawiać się w „normalnej” telewizji, nasze polskie *guilty pleasures*, takie jak: *Ech, pieniądze kochane, kiedy was dostanę, Zupa Romana, Bierz, co chcesz Shazzy, Serduszka dwa Bayer Full, Letni czas*. Teksty tych piosenek są wytatuowane w moim mózgu i wyrwana nocą z najgłębszego snu, zapytana: „Ech, pieniądze kochane, kiedy was dostanę?”, odpowiem zawsze: „Kiedy los fortunę wreszcie ześle mi?”. Nawet gdy spotkacie mnie na Dworcu Centralnym ze strzykawką heroiny wbitą w ramię i wywróconymi na lewą stronę oczami i zapytacie: „Serduszka dwa?”, wychrypię: „Serduszka małe dwa, ze sobą już są tyle lat, a ich miłość trwa, dadada”. A gdy zobaczycie mnie kiedyś, jak próbując reanimować dawny poklask, występuję w *Jednym z dziesięciu*, kładąc pytanie za pytaniem i źle odpowiadając nawet, ile kątów ma trójkąt i ile to jest zero, kiedy Tadeusz Sznuć zapyta: „Jaki jest letni wiatr w przeboju Amadeus?”, usłyszycie, jak moje tępe, rozkojarzone usta odpowiadają nagle przytomnie: „Delikatny jak muśnięcie warg!”.

Piszę o tym wszystkim, bo całkiem niedawno media ogłosiły triumfalny powrót tej kultury, nazywając go nawet, zgodnie z konwencją – „renesansem”. Piosenka *Ona tańczy dla mnie* zespołu Weekend ma na YouTube osiemdziesiąt pięć milionów odsłon; Edyta Górniak, Doda i Justyna Steczkowska mają może osiemdziesiąt pięć milionów, ale cieni do powiek, i to wszystkie razem! Kto czytał wydany przez MSW alarmujący raport „Bardzo brzydka muzyka w liczbach”, wie, że te liczby są duże. Ekscytacja mediów też ma podłoże stricte statystyczne: te wszystkie podniecające dziesiątki milionów płyt, biletów i odsłon, które pojawiają się w każdej medialnej narracji wokół disco polo, są wystarczającym argumentem, by zmienić jego społeczną percepcję. By je wreszcie

zdetabuizować, oddemonizować jego obciachowość, zaprosić je na kanapę do śniadaniówki, na juwenalia i hipsterską potańcówkę. Zdjęć rzucone na nie w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych przez naburmuszoną inteligencję odium.

Swoją drogą interesująco tu widać, jak przez ostatnie dwie dekady muzyka straciła swoją tożsamościową moc. Dlaczego? Swoje odpowiedzi przysyłajcie na kartach pocztowych. Zdaje się, że posiadane przedmioty, ubranie, samochód, restauracje i inne akty konsumpcji na tyle silnie nas definiują, że to na ich podstawie namacujemy w społecznym gąszczu podobnych sobie. To także kwestia technologiczna. W latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, gdy szukanie, kolekcjonowanie i słuchanie muzyki wymagało od zainteresowanych różnych ekwilibrystyk, identyfikowano się z nią dużo silniej niż teraz, gdy w zasobach kultury przebieramy jak w koszu z brudami.

Wracając jednak do renesansu. Choć ta piękna staroegipska nazwa brzmi naprawdę elegancko i pasuje i do garnituru, i do karocy, i do quada, to zdaje się nieco na wyrost. Disco polo nie odradza się, bo nie zamiera; raczej trwa, trwa wielkie, niezmiennie, nieruchawe jak smok wawelski czy Kościół katolicki, żywiąc się sokami witalnymi Polski B, C i D, a jego żywotność wydaje się mieć źródło właśnie w niepodatności na zmiany, nowinki technologiczne i obyczajowe.

Nie można jednak powiedzieć, że przez ostatnie dwadzieścia lat n i c się w nim nie zmieniło. Choć wokaliści ani słowem nie przebąkują o istnieniu homoseksualistów, to w tekstach piosenek pojawiają się różne atrybuty współczesnej miłości, takie jak komórka, SMS, fejs, kajdan, fura. Erotyka nie pojawia się już pod kryptonimem („bara, bara” czy „majteczki”), seks nazywa się seksem, viagrę viagrą. („Co tak wyglądasz, jakbyś na jajniku sobie przysiadła?” – mówi w serialu *Miłość w rytmie disco* kolega do koleżanki).

Bardzo wyraźna zmiana w discopolowym uniwersum zaszła w kondycji kobiety. „Świnę bierzesz tylko na noc, jej gadanie nie obchodzi cię” – śpiewał jeszcze parę lat temu zespół Boys. Dziś jego wokalista Marcin Miller (co znamienne: w wywiadzie dla TVN Style) przyznaje, że: „Pojawiają się kobiety. Są coraz bardziej odważniejsze, bardziej śmieiej wchodzą w tę branżę. Kobiety atakują. Co z tego będzie, zobaczymy”. Disco polo,

obsesyjnie krążące w warstwie lirycznej (a chyba i muzycznej) wokół reprodukcji, a jednocześnie silnie umocowane w obyczajowości katolickiej, długo nie chciało oddać mikrofonu kobietom, które jak od dawien dawna wiadomo, nie czują pożądania seksualnego; wolą czy to posprzątać, czy zbesztane popłakać w kąciaku. Dziś Etna w piosence *Mężatka* śpiewa o „disco życiu jak w Madrycie” i wracaniu o późnej godzinie „niekoniecznie z mężem, choć ślubowała mu przed księdzem”. Jakże różni się ten przekaz od gorącego wezwania: „Bierz, co chcesz, wszystko weź, co tylko mam”, z 1995 roku, poczciwej, choć też lubiącej ubrać się w czarny, błyszczący kondom Shazzy.

Etna śpiewa:

Dziś już jestem znowu w rejsie,
rano byłam też na fejsie.
Znajomego zapoznałam
i do niego się wybrałam.
Wszystkie żony tego świata,
nie marnujcie zimy, lata,
życie sobie pełnią życia,
każda z nas to piękna kicia!

A w piosence *Zostań* dodaje:

Śpisz do jedenastej, golisz do trzynastej się, nie masz czasu, wiem.
Potem jesz śniadanie, chęć masz na bzykanie,
lecz ja nie mam ochoty, nie.

Moim zdaniem każde drgnienie kondycji kobiety w tradycyjnej obyczajowości jest pozytywne. Stopniowo jednak, gdy wpatruję i wsłuchuję się w klipy świeżo upieczonych królowych disco polo, takich jak przytoczona Etna czy Eva Basta, oprócz wrażenia, że ktoś długo kozłował moją głowę, a potem wrzucił ją do kosza, oraz że byłam w Hurghadzie, choć nigdy tam nie byłam, pozostał mi niepokój innego rodzaju.

Oto kilka przykładów liryki kobiecej w disco polo nowych czasów:

Wyszłam za mąż za dziadka,
dziadek kasy ma jak siana,
dziadek kasę zawsze ma,
jaguara kupi Pusi,
Pusią jego jestem ja,
lecz odwdzięczyć się dziś muszę,
dziadek viagrę zawsze ma.

(Etna, *Dziadek*)

Jestem sobie studenteczka
i biznesik mam w majteczkach,
a gdy czegoś potrzebuję,
to w internet się loguję.
Mama kasy mi nie dała,
sama ciężko pracowałam,
zapoznałam w internecie
biznesmena w wielkim świecie.

(Etna, *Studenteczka*)

Pilot w garści masz, zabijasz swój czas,
niewiele ci do szczęścia trzeba.
Mecz nakręca cię,
browarów już sześć, chipsy też.

Ref.

Zostań!

I tak nie zrobię z ciebie supermana z moich marzeń.

Zostań!

Samotność gorsza jest niż przeżywanie z tobą wrażeń.

(Etna, *Zostań*)

Szepcze ci, że już wszystko ma,

starczy jej to, co ty dasz.
Mówi, że szczęście jej to ty,
no kto dać może więcej ci?
I jedno spać nie daje, i myślisz – coś nie tak,
aniołek ma koszmary i we śnie mówi znowu tak:

Ref:
Kup mi chatę w bogatej dzielnicy,
chcę w garażu jaguary dwa,
na wakacje rejs na Bora-Bora
i mój własny jacht.

(Eva Basta, *Kup mi chatę*)

Z babą to jak z jajkiem, lepiej z drogi zejść,
chłop co by nie zrobił, zawsze będzie źle.
Babskie narzekanie żółtym światłem jest,
zanim ci zapali czerwone STOP na seks...

Ref.
Bo babie zawsze będzie źle, bo babie nie dogodzisz,
Już naraziłeś babie się, jak tylko się urodzisz.
Chłop to konstrukcja prosta jest,
a bywa, że wadliwa,
chłop to w domu głowa,
baba za to szyja...

(Eva Basta, *Babie nie dogodzisz*)

„Po raz kolejny okazuje się, że – pomimo pozorów modernizacji i porzucenia katolickiej pruderii – na jaw wychodzi odwieczny model nieporozumienia między polskim mężczyzną a polską kobietą, oparty na wzajemnym lęku i nieufności” – pisała Agata Bielik-Robson o zachowaniach seksualnych uczestników *Warsaw Shore*. W moim odczuciu w tekstach tych widać również odwieczny model nieporozumienia między polską kobietą a polską kobietą, a także nieporozumienia między polską kobietą a polskimi

pieniężmi. Póki co, mimo hardej miny, w nowych tekstach disco polo kobiety zdają się pozostawać wciąż podmiotem głównie lirycznym.

PS Nie zachęcam nikogo do badania tego tematu na własną rękę. Opisywana przeze mnie muzyka jest szalenie zaraźliwa i skłania do mimowolnego tańca, teksty zostają w głowie na długo, zastępując fragmenty myśli własnych. Serial *Miłość w rytmie disco* (reprezentujący niedopuszczalny poziom realizacji i aktorstwo rodem ze scenek na niedrogich warsztatach psychologicznych), który zaczęłam oglądać, by przybliżyć sobie tę kulturę, po około trzech odcinkach zaczął angażować mnie emocjonalnie („Nikola, nie idź tam!” – chciałam już krzyczeć do ekranu. – „Daro nie tyle chce kupić ci drinka, ile chce cię tylko wykorzystać!”).

W labiryncie ludzkich spraw

Czy może nam się spełnić marzenie kogoś innego? Odpowiedź: może, i to jak nagle. Choć nie mogę całkiem wykluczyć, że kiedyś nieopatrznie coś przebąkiwałam o Disneylandzie do spadającej gwiazdki czy do karty „Szansa” z Eurobiznesu, czy też gdy modliłam się do błogosławionej Karoliny Kózki, choć zupełnie tego sobie nie przypominam. Dwadzieścia lat gdzieś więc leżało to moje, czy też nie moje, marzenie za meblościanką, pęczniąc potajemnie, cichaczem spełniając się. I potem nagle, nie bawiąc się już w manowce stylu, ląduję w tym Disneylandzie, mając lat trzydzieści jeden i wcale tego nie chcąc.

A rozgrywa się to tak, że znajoma mówi: „Zabieram twoją córkę do Disneylandu”. Ja na to: „Super, dlaczego nie?”, ale w następnym mailu od niej nagle złowróżbne: „No to pojedziecie do tego Disneylandu...”. Nie zdążę nawet napisać, żeby to wyjaśnić: wy, my, też mi się to zawsze jebie; W i M to są takie łądująco podobne litery, wystarczy się zagapić... Ale wtedy już tylko czytam: „To jak już będziecie w tym Disneylandzie, to zawsze miejcie ze sobą wodę, bo będzie gorąco”, „To jest długa wyprawa”, „Przygotuj się na wieczorny powrót”; a już chwilę potem...

W Disneylandzie jak to w Disneylandzie, co tu dużo opowiadać. Bardzo dużo wszystkiego, bardzo dużo dziewczynek przebranych w plastikowe suknie niby za księżniczki, trochę też kobiet przebranych za księżniczki mimo bardzo gorącej pogody i trochę niemowląt przebranych za księżniczki, i psów przebranych takż. Właściwie nie wiem, jak to opisać, poza tym że jest to jakby takie odurniałe plastikowe mega-, gigamiasteczko, które od biedy można nazwać wesołym, gdzie góra stoi obok morza i vice versa, statek piracki zderza się z promem Heweliusz, wielka Myszka Minnie świergoli jak dzień długi, kręcąc kauczukowym kuprem, a żar leje się z nieba. Trochę umyka mej percepcji, co tu jest takiego wspaniałego, boooo... Prawdopodobnie chodzi o to, że bohaterowie Disneyowskiego uniwersum pojawiają się tu w wersji namacalnej. Czy to moje wewnętrzne

dziecko jest już zupełnie martwe, czy to moje żywe dziecko zewnętrzne, jeśli ryczy z uciechy, to też raczej zupełnie bezgłośnie?

Słowem, osoby nienaćpane nie mają tam czego szukać, a ja do nich niefortunnie należę. Wyobrażam sobie jednak, że osoby naćpane z kolei mogą tam zaznać ekstazy, wśród tych płasających misiaczków, Eskimosków, Kubanek, pierwszych chrześcijan i owoców morza z twarzami papieskiej łagodności, ooo, to właśnie coś dla nich. Tak czy siak, jest tam bardzo dużo. Jest tam to, tamto i jeszcze tamto. Jeśli jednak ktoś liczył jak ja, że chociaż się przejedzie na jakimś rollercoasterze, to też nie to, bo poziom rozrywki dostosowany jest do potrzeb noworodków. Oraz zarodków. Więc są to różne kręcące się kukły i śpiewające dorsze, i popierdujące karuzele o półtoraminutowym cyklu, i dwumetrowej wysokości kolejki górskie wydające przy jeździe odgłosy „prytu-prytu-pryt”, „tok-tok-tok” i „rachciach-ciach”, i „bum-bum-bum”.

Jedno, co wyniosłam z tego pobytu, to to, że czułam się tam bardzo szczupło. Ba, moja rachityczność na tle setek otyłych, wytatuowanych i obpiercingowanych od stóp do głów Amerykanów z uszami Myszki Miki krzyczała! Mój brak uszu tejże Myszki! I była jak gdyby prerekompensatą za pozostałe dni mojego pobytu w Kalifornii, gdy na tle smukłych, opalonych kobiet, których piersiami można by z powodzeniem grać w koszykówkę, i to zarówno ze względu na kształt, jak sprężystość i kolor... I tu zostawiam kilka pustych linijek, żebyście mogli sobie to, co napisałam, dobrze wyobrazić...

...więc na ich tle byłam tylko starą, nieopaloną, nieumiejącą pływać na windsurfingu ruderą rozsypującą się na brzegu wsi w województwie podlaskim. I znowu wraca stara prawda, że „nie porównuj się nigdy, bo zawsze znajdziesz lepszych i gorszych od siebie” (Susan Sontag). Jednak wcale nie przeszkadzało mi to aż tak bardzo, zważywszy, że każdą wolną chwilę poświęcałam tam na oglądanie *W labiryncie*, serialu produkcji polskiej w reżyserii Pawła Karpińskiego. I jest to dla mnie nie pierwszy dowód na to, że seriali nie oglądamy wcale dlatego, że są dobre.

Gdyż o *W labiryncie* trudno powiedzieć, że jest dobry. Co nie znaczy, że nie ma on innych zalet.



Tu garść danych geopolitycznych. Mowa o pionierskiej polskiej

telenoweli, powstającej w realizacyjnym doskoku z tygodnia na tydzień i z tą samą częstotliwością emitowanej w latach 1988–1991, w łącznej liczbie stu dwudziestu odcinków, których widownia dochodziła momentami do szesnastu milionów. Zdaje się więc, że w podświadomości każdego prawdziwego Polaka błąka się przynajmniej kilka powidoków z TVP, z charakterystycznymi cytrynowymi kitlami, szczurami doświadczalnymi czy Sławomirą Łozińską w jednym kolczyku i ogólnie stylóweczce „Człowieka, który spadł na ziemię”, lub chociażby nefalsyfikowalna fraza: „W labiryncie ludzkich spraw, zagubieni ty i ja”.

Choć z góry mówię, że chropowatości rzemiosła filmowego mogą czasem mózgowi upasionemu na różnych *Detektywach* sprawiać prawdziwą torturę, a adaptacja percepcyjna do świata przedstawionego następuje powoli.

To nie są te zwariowane współczesne produkcje, gdzie wszystko dzieje się tak szybko, ledwie włączysz początek, trach, bum, trach, a już jest ostatni odcinek ostatniej serii. Widać czarno na białym (a biorąc pod uwagę kolorystykę serialu: brązowo na szarym lub cytrynowożółto na buraczkowym), że twórcy nie musieli walczyć o względy widza tak zaciekle jak teraz, a czas antenowy płynął sobie niespiesznie i leniwie jak woda w Zalewie Zegrzyńskim. Bądźcie gotowi więc na szafujące waszą uwagę dialogi, takie jak:

- On nie żyje.
- Nie żyje?
- Tak.
- A więc umarł?
- Zginął.
- Jest więc martwy.
- Tak. Niestety.

Scenariusz, często doimprowizowany przez aktorów, raz lepiej, raz gorzej, z naciskiem na to drugie, obfituje w mielizny i rozmaite śmieszności, jednak śmiem twierdzić, że między innymi właśnie to realizacyjne niedopracowanie sprawia, że *W labiryncie* po upływie

ćwierćwiecza ogląda się tak ciekawie. Kostropata forma w ścisłym sprzężeniu zwrotnym z kostropatą treścią daje w rezultacie prawdziwą sekcję zwłok kostropatego czasu przełomu. Gdy tylko ten fakt zaakceptujemy, labirynt ludzkich spraw otworzy się przed nami niby skarbiec, skarbiec kipiący od pradawnych klejnotów, matowych, chropawych i w kolorach, o których istnieniu zupełnie zapomnielibyśmy, gdyby nie altanki w ogródkach działkowych i stare zasłony w pawlaczu. Uważam bowiem, że jego oglądanie ma w sobie coś z rebirthingu, hipnozy, wążania perfum Pani Walewska czy innych technik przywoływania wypartych motywów, figur i choreografii naszej zbiorowej podświadomości. Warto od czasu do czasu zatrzymać się, odłożyć iPada i przypomnieć sobie, że jeszcze całkiem niedawno dezodorant kupowało się w Peweksie.

Nie chcę spoilować, więc tylko pokrótce omówię fabułę, która zresztą ze względu na gordyjską zawilóść i tak jest nie do omówienia.

Osią fabularną serialu są prace nad lekiem przeciwbólowym Adoloran, toczące się w warszawskim Instytucie Farmakologii. Prywatne i zawodowe życie laborantów jest centralnym punktem panoramy społecznej o iście raławickim rozmachu, która skłania do szerokiej refleksji na temat okolo- i poprzelomowych przemian społecznych, obyczajowych, estetycznych i materialnych.

Początkowo wiodącą postacią jest Ewa – skromna, łagodna, dzielnie znosząca policzki od losu blondynka (przecież nie brunetka!!!). Śmierć narzeczonego, powikłana ciąża, problemy mieszkaniowe, wreszcie narodziny chorego dziecka – pomiatana i upokarzana, w pokorze przebiera groch swego cierpienia, bo wie, że Bóg kocha takie cierpiące w kąciku dzielne Polki. Nie dziwota więc, że ani szybko, ani powoli skromność zostaje nagrodzona (książę – Jan Jankowski), a krew płynąca w żyłach okazuje się błękitna (Ewa okazuje się nieślubną córką znakomitego pisarza).

Co innego jej demoniczna siostra przyrodnia – nie domyślicie się, brunetka. Córką badylarza, Renata (Anna Chodakowska), nie stroni od alkoholu, pokera, paserów, rozrzutnych zakupów w Peweksie, prostytutce i taksówek. Jednak i ona będzie musiała pójść po rozum do głowy i po Boga do serca. Kuse spódniczki zamienia na obszerne spódnice i golfy khaki,

podejmuje pracę w kwiaciarni i udaje się na terapię alkoholową (prowadzoną nomen omen przez Macieja Orłosa!). Tam poznaje Joannę Racewicz (Sławomira Łozińska), również niewylewającą za kołnierz, wziętą redaktorkę telewizyjną, gospodynię programu „Godzina szczerości”. I tu moment refleksji nad przemianą kondycji gwiazdy telewizyjnej: czy Joanna zajmuje się operacjami plastycznymi, ściankami i pisaniem książek o diecie bezchlebowej?? Nie, ona ciężko haruje, wiecznie z tym wiklinowym koszem pełnym kaset magnetowidowych i butelek mineraliki, gotuje barszcz z fasolą lub kapustę z grochem, zмага się z wypaleniem zawodowym, goryczą, alkoholizmem, nabuzowaną hormonami córką (Jowita Budnik) i niewiernością męża (Marek Kondrat). Nie ma się jednak co śmiać, bo jest to właściwie jedyny wątek w serialu, w którym klasa zawodowa aktorów pozwala im wyjść cało z ruchomych piasków scenariusza. Jest to prawdziwy cud, że tym fantastycznym artystom udaje się w grane postaci wtłoczyć krew i nadać swoim wątkom wszelkie znamiona rzeczywistości.

Bo *W labiryncie* to prawdziwy aktorski labirynt, z którego niemalże wyłącznie Wiesław Drzewicz i Leon Niemczyk wychodzą suchą aktorską stopą. Reszta w jego manowcach zwyczajnie kluczy, brnie i błądzi, czasem niebezpiecznie blisko rejonów kuriozum. Specjalny nacisk położyłabym tu na Małgorzatę Lorentowicz odtwarzającą rolę Anny Suheckiej, która odziana nieodmiennie w draperie i aksamitne zasłony, z postarystokratyczną manierą dykcijną i operowymi gestami, miota się wśród boazerii i tapczanów niby tęga, bezradna Brunhilda. Innym znaczącym koszmarkiem aktorskim jest kreacja Karola Strasburgera – udało mu się stworzyć postać amerykańskiego dziennikarza, który po angielsku nie bardzo, po polsku natomiast śmiga bez najmniejszego akcentu. I na koniec wisienka w postaci Witolda Żaboklickiego w roli Akindu. Ten nieporadnie wysmarowany pastą do butów obcokrajowiec studiujący farmację nie umie mówić po polsku, choć nawet dziecko to potrafi! Boże, ci Murzyni, czy oni się kiedyś nauczą? Tak pocieszenie kaleczy polską wymowę, że wszyscy bezustannie muszą go poprawiać. MARRRR-JO-LA, nie „majola”! Beczka śmiechu z tym nieudacznym dzikusiem!

I tutaj pojawia się jeszcze inna kwestia: politycznej poprawności. Gdzie są te piękne, beztroskie dni, gdy kalendarze z gołymi babami wisały w każdym

polskim zakładzie pracy i przedszkolu, i na każdej plebanii? Gdzie się podziały żarty o cycach i dupie, seksualne podjazdy do pracownic, palenie fajek gdzie popadnie, picie alkoholu przez kobiety w ciąży, picie alkoholu przez wszystkich, wszędzie, do śniadania, obiadu, kolacji i nocnej przekąski??? Jeśli więc na co dzień powtarzacie ciągle i ciągle, że w Polsce nic się nie zmieniło, wciąż ten sam syf i tym podobne, to dopiero oglądając *W labiryncie*, możecie zobaczyć, jak wiele wody upłynęło w Wiśle, Warcie, Odrze, Sanie, w studni oligoceńskiej i pijalni wód w Krynicy, odkąd przełożeni po wyjściu pracownicy z gabinetu na oficjalu wykonywali na wysokości klatki piersiowej znaczące półkola dłońmi.

Chyba wybuchnęliby śmiechem, widząc, co wyprawiają w biały dzień z tym biednym Durczokiem dwadzieścia pięć lat później! Słowem, serial *W labiryncie* polecam wszystkim – i tym, którzy piszą pracę magisterską na temat „Dokąd zmierzamy, skąd przychodzimy?”, i tym, którzy piszą na ten temat pracę doktorską, i tym, którzy zadają sobie to pytanie w codziennej refleksji czy w stekach porannych przekleństw.

Twarzologia

Opowiem najpierw, co mi się ostatnio przydarzyło i jak weszliśmy z M. w beznadziejną przymusową znajomość z dwoma nowymi przyjaciółmi. Mówi się, że w pewnym wieku przyjaźń nie przychodzi już tak lekką ręką, ale jak już przyjdzie ciężką ręką, to też tak łatwo jej z siebie nie zdejmiesz. Więc ostatnio w jakiś tam piątek czy sobotę, czy niedzielę, czy de facto coś pośredniego, poszliśmy z M. do sklepu nocnego... Poszliśmy sami, a wracając, mieliśmy już dwóch nowych przyjaciół, i to wcale nie fajnych.

Od Wisły szły jeszcze ciągle głuche tętnienie wixy i różne dzikie wrzaski małałatów, i tym podobne. Jak to bywa: ktoś nie śpi, żeby nie spać mógł ktoś, więc pod sklepem nocnym zastaliśmy dwóch mężczyzn. Byli to handlarze substancji w obrocie bezpośrednim i chyba nie zdradzam tu jakiejś megatajemnicy, bo nie dość, że obwieścili nam to wielokrotnie, to jeszcze sporych rozmiarów smugi zaschniętej piany przy ustach temu specjalnie nie zaprzeczały. Jeden był wielki i okrągły jak planeta, drugi natomiast był niewielki i nieokrągły jak... Szczerze mówiąc, jak jakaś torba czy pies tamtego pierwszego, a może wrażenie potęgowała jeszcze ta jawna nierównowaga sił duchowych. Bo widać było w ich relacji ostry feudalizm, ostrą toksynę. Ale też wzajemne znudzenie, wypalenie, lekką nawet może do siebie odrazę, jeśli nie wzbierający wkurw, z którymi czekali tylko, by...

...by kogoś zapoznać. Się z kimś zaprzyjaźnić! By z nim spędzać czas! Lub choćby za nim, za nim spędzać, idąc za nim. Może zresztą nie to do końca mieli w planach, ale skoro już zjawiliśmy się pod tym nocnym, skądinąd zamkniętym, to dlaczego nie mieć takich dwojga fajnych przyjaciół jak my?

No i już to skrócę: w życiu nie spotkałam tak beznadziejnych dresów. Nie uważam się za jakąś wieżę mądrości, ale nie wiem, co oni tam teraz sypią do tych narkotyków, bo żeby być tak głupim, to już przesada. To były już same rzeczowniki, właściwie to jeden, pierwsza litera „kurw”, druga „a”. To były już suburbia artykulacji. To był Tarchomin komunikacji. Dalej to chyba już są może sylaby, głoski, jakieś pohukiwania, kocz-ko-dak, mee i tak dalej.

Wcale mnie to nie bawiło ani nie cieszyło. Czułam, że już mnie to nie interesuje, czułam, że nie dość, że się nudzę, to jeszcze się boję. Bo w dodatku na boku cały czas coś się tam nieprzyjemnie kłócili, poszturchiwali. Widać było, że ten większy nie jest dla tego mniejszego czuły, że jest szorstki i pewnie po całej sprawie wcale ani go nie przytula, ani mu nie powie ciepłego słowa, tylko od razu zasypia i jeszcze z rękami w gaciach. Atmosfera nieustępliwie niepokojąca, ale i niepokojąco nieustępliwa. Niby niezobowiązująca, ale za chwilę znowu bardzo zobowiązująca. Po jakimś czasie udało nam się wreszcie odnaleźć sklep i tłumacząc się gęsto pilnymi zobowiązaniami, oddalić krokiem wystylizowanym na niespieszny i swobodny, choć w sumie dość spiesznym i nieswobodnym. Ścigały nas jeszcze nieco rozczarowane pokrzykiwania przyjaciół („Ej, chłopaki!”), ale odległość była już na tyle duża, że mogliśmy udać, że ich nie słyszymy.

Po tym spotkaniu czułam się już raczej przykro. Mówi się, że menele, że szorstka poezja blokowisk, że mądrość ulicy. Ale ci dwaj naćpańcy nie zagrżeli w moim sercu ciepłego kącika. Żaden przyzwoity twarzolog by na nich nie splunął. Co za zwykli, jałowi, źli, niemalowniczo nieinteresujący ludzie.

I gdy tak gorzkniałam, że wszystko przeminęło, że prawdziwych dresów już nie ma, trafiłam na rozmowę z Maciejem Maleńczukiem pod tytułem *Ćpałem, chlałem i przetrwałem*.

Jeśli jesteście mądrzy i musicie czytać tylko mądre książki, to z pewnością nie kupujcie sobie tej rozmowy pod choinkę, bo dalibóg, okaże się, że waszymi najlepszymi prezentami w tym roku są skarpety bezuciskowe i trzymający ciepłość bidon z Tchibo. Ale jeśli jesteście jeszcze dalecy od bycia wieżą mądrości, jeśli jesteście dopiero ziemianką mądrości tak jak niżej, czy też raczej wyżej, podpisana, to istnieje szansa, że książka ta zachwyci was swoją fantastyczną, obsesyjnie witalną, wszechwiedzącą głupotą. Bo jest to twór szalenie dwu-, trzy- i wieloznaczny, ale na pewno z różnych przyczyn bardzo ciekawy.

Już sam tytuł, prawda? Choć ostatecznie dość trafny, mnie wydał się w pierwszym momencie niezwykle zły. Widziałam to oczami duszy. Aż chciałam ją od razu czytać, dla czystej *Schadenfreude*. Oto – oszacowałam od

razu – gnijący gwiazdor undergroundu zastawia w najpodlejszym lombardzie swoje ostatnie, pokruszone, pogryzione przez myszy, heroinowe kosztowności. Portale plotkarskie i tanie gazety cytują co bardziej skatologiczne fragmenty. Gawieź się cieszy, mieszczanie się cieszą, pogrężając zmrożoną w żyłach krwią i butelkami całkiem przyzwoitego wina z Lidla w cenie do dwudziestu złotych. Sam M.M. wypowiada się w którymś z niedawnych wywiadów tak: „Gdy mówiłem, że mam pomysł na książkę typu *Moje przygody w polskim show-biznesie*, to powiedzieli, że to się nie sprzeda. To ludzi nie interesuje. Bo zbyt wiele jest fachowych informacji, nazwisk, instrumentów, piosenek, na tym się trochę trzeba znać, a polski widz nie zna się na niczym. Bardziej więc interesują go ruchanko, ćpanko, takie rzeczy”.

Czy jednak patologiczna gnuśność M.M. ma znaczenie dla jakości samej opowieści? Raczej nie, tak jak i jego zszargana opinia, złote biżuterie i ogólna wizerunkopatia. Można się niesmaczyć i kręcić nosem we wszystkie strony, ale nie sposób odmówić mu literackiego bigla wysokiej klasy, który nie tyle polega na jakimś wysublimowanym języku czy trickach stylistycznych, ile na instynktownej, podwórkowej, prostolinijnej, a i często prostackiej, ale wciągającej jak odkurzacz przemysłowy bajerze, w której wszystko się mieści i wszystko mu wolno. Są więc kolokwializmy, wulgaryzmy, truizmy, grypsery, powtórzenia, nieścisłości, zaburzenia chronologii i wszystkie czary żywiołowej oralności. Skatologie, pierdoły, „tak?” na końcu zdania i „nie?” na końcu zdania, wszystko to zaprawione dużą dawką czystej poezji i nieodłączną nutką psychopatii.

M.M. deklaruje się jako zapalony „fejsolog”, w związku z tym książkę można otworzyć w dowolnym miejscu, by wyskoczył z jej stron dziki teatr twarzy:

„Inteligentny wyraz twarzy, sympatyczne podejście, całkowicie semickie rysy. Żydowa taka, no nie? Żydówka, ale szczuplutka! Arystokratyczny typ, żadnej ściemy”.

„Nazywał się Dobrowolski, czy jakoś tak. Pięknie się popisывał, ale poza tym nic nie pamiętał”.

„Był to czas, kiedy Pyton handlował metaamfetaminą i szlajał się

wszędzie z tą swoją kurwą, dziwką z piekła rodem, którą przywłókł ze Stanów Zjednoczonych. Do tego ona akurat zaszła mu w ciążę, więc była z nich taka para, że daj Boże zdrowie. Ona ledwo łąziła, bo była koło czterdziestki, i ta ciąża strasznie jej przywalała. Widać było, że jej to szkodzi, że nie jest to ciąża dwudziestopięciolatki, która do dziewiątego miesiąca może śmigać na balangi”.

Nie ma się co mądrzyć, zwłaszcza jak się nie zna tych wszystkich polonistycznych słów; ten rozkoszny, obelżywy, bukowskoidalny, pełen wszelkiej plwociny słowotok rządzi się swoimi prawami i zmiata wszystko, co napotka na swej drodze. W pierwszej kolejności zmiata przeprowadzając wywiad Barbarę Burdzy, która bardziej niż rozmówczynią jest tu asystentką, czy też akuszerką tego rwącego strumienia, wtrącając a to, że szukanie strzykawek na przyszpitalnym śmietniku jest niehigieniczne, a to czyniąc inne uwagi podobnej niewinności i słodczy. Jednak i to ma swój urok, bo tylko eksponuje fakt, że Ć, CH i P to gawęda historyczna, opowiadająca o zamierzonych romantycznych pradziejach, do których nie da się przyłożyć współczesnych higieniczno-dietetyczno-kapitalistycznych miar i wag:

„Przyszedłem i co widzę? Są koledzy! Problem jest tylko taki, że obydwaj trzymają w rękach tanie wino – żura, tak zwanego kwacha. Jest godzina 9.30 rano, lato, słońce świeci, a panowie już zaprawieni. Ja też średnio czułem się po tym śniadaniu, po tej jajecznicy. Nie ukrywajmy – też byłem skacowany. Schneider w jednej ręce trzymał flaszkę podłego wina, a w drugiej czterdziestocentymetrowy kawał ohydnej kiełbasy. Powiedział do mnie:

– Ja mam takie śniadanie. Coś ci nie pasuje?

Mówię:

– O żeż, kurwa! Przecież my mamy próbę! Jak wy będziecie wyglądać o tej 18 na koncercie?!

Grzesiek:

– A chuj cię to obchodzi. Gównu wiesz...

[...] I pamiętam, że Schneider wziął wielkiego grzdyla wina, po czym ugryzł kiełbasę, ale mu nie podeszła, więc w całkowicie obrzydliwy sposób

wypluł ją przed siebie, nie?”.

„Pamiętam, że jak wyszliśmy z Miasta Kraków, to zobaczyłem przy ulicy Łobzowskiej jakąś osobę w czerwonej kurtce przewieszoną przez łańcuch między drogowymi słupkami. Podszedłem i zapytałem:

– Wszystko w porządku?

Zobaczyłem, że to Agnieszka Zaucha, córka słynnego piosenkarza – pana Zauchy. [...] Mówię do niej:

– Wszystko z tobą OK?

A ona z tego takiego przewieszenia odpowiada mi:

– A wiesz, Maleńczuk... Spierdalaj!”

Bo świetność Ć, CH i P nie zasadza się jednak na samym języku. To przede wszystkim bardzo interesująca monografia polskiej toksykologii. Historia i teoria, przykłady i porady praktyczne, dzieje i perspektywy. Pienisty monolog nanosi twarze i pejzaże nie tak często i śmiało przetwarzane przez sztukę. Nie w tej jakości literackiej i przy tym rozmachu autopsji. Brudne zakamary rzeczywistości, zaszczane dworce, bajzle, pociągi, psychiatryki, ćpuńskie widy. Bójki na noże, krzesła, kosze na śmieci i zomowskie pałki. W tle zdokumentowana zwichrowana historia Polski od lat siedemdziesiątych do dziś, w niej zaś zakłeta historia polskiej muzyki alternatywnej (a ostatecznie niealternatywnej) z podnoszącą pikanterię dozą plot i personalnych podjazdów.

Parafrazując moją ulubioną piosenkę Kosmetyków Mrs. Pinki – trująca fala tej historii uniosła, uniosła mnie. Niosła mnie nawet po mieliznach albo po ewidentnych kocopołach. Na tle różnych wywiadów rzek: Rafała Księżyka z Tymonem czy Robertem Brylewskim, lub choćby wspomnieniowego *Obywatela i Małgorzaty* Małgorzaty Potockiej, skądinąd też moim zdaniem bardzo ciekawego, *Ćpałem, chlałem i przetrwałem* wygrywa. Przede wszystkim flow literackim, ale jest też factor X.

A jest nim właśnie moim zdaniem coś, co nazwałabym roboczo „narracją psychopatyczną”, gdy opowiadający jedzie po bandzie, plotąc, co mu ślina na język przyniesie, nie oszczędzając ani bliskich, ani dalekich, wygłaszając raz po raz sądy skrajne, prowokacyjne, niespójne.

Nie przejmują mnie tu losy ani obsmarowanych kolegów i koleżanek, ani potomków M.M., którzy potencjalnie wejdą z tą książką w kontakt. Moje wątpliwości moralne budzą natomiast romantyczno-erotyczno-apologiczne kategorie, w jakich opisuje on zażywanie różnych substancji, niezależnie od tego, jak bardzo jest to szczere. W opisie Maleńczuka heroina wstrzykiwana zaropiałą strzykawką w pachwinę w deszczu wypadających zębów jest tak piękna i seksowna, że nieszczęsny czytelnik może tylko ślinić się, zazdrościć i zawiścić, z obrzydzeniem patrząc na swoje oczyszczające herbatki i ekojarzyny, i z żalnością stwierdzać, że jedyny kompot w zasięgu jego możliwości to ten z ekologicznych wiśni zakupiony w Szlacheckiej Spiżarni. A nawet jeśli, nie zgadzając się na swój obmierzły, tuzinkowy los, wybiegnie nad ranem na ulicę, szukając śmierdzącego, miłosnego, heroinowego świata, zastanie tam tylko głuchy pogłos wixy, od którego podskakują lodówki pływające w Wiśle, i dwóch bardzo niewyględnych mężczyzn, porozumiewających się ze sobą za pomocą charchnięć, beknięć i pohukiwań. Być może, jeśli wyteży wzrok, zobaczy jeszcze mnie i M., jak ściskając w spoconych dłoniach swoje papierosy, krokiem niespiesznym i swobodnym umykamy ile sił.

Kuchenne rewolucje

Co za pech! Gdy już napisałam swoje wypracowanie na temat „Dlaczego *Kuchenne rewolucje* są bardzo interesującym programem” i chciałam spokojnie iść bawić się na podwórko, odkryłam, że na ten temat w „Dwutygodniku” już pisano. Dochodząc zresztą do zgoła podobnych wniosków co ja, do których prawdopodobnie nie sposób tu nie dojść: program Magdy Gessler jest obecnie najciekawszym Wielkim Almanachem Polaków Lat Dwutysięcznych, koniec kropka, a jak powiedziałyby zapewne niejeden z jego bohaterów: „Dziękuję, pozdrawiam, taaak?”.

Co robić? – zastanawiałam się, patrząc przez okno na rozbawione dzieci, kopiące piłkę w wiosennym słońcu, i roześmiane ptaki na drzewach. Napisać tekst o zbudowanym na podobnym schemacie programie *Sablewskiej sposób na modę*, w którym nuda leje się strumieniami równie rączymi jak łzy?? Pozamieniać wszystkie „tak” na „nie” i zaproponować jako polemikę? Pozamieniać wszystkie Magda Gessler na Gagda Messler i udawać, że nie wiem, o co chodzi? Oddać tekst „Odrze”? Wiedziałam już, że z piłki nici, choć zza okna dobiegały wesołe pokrzykiwania innych dzieci. Usiadłam przy biurku i jeszcze raz zaczęłam zastanawiać się nad swoją pracą.

Po pierwsze, wykreśliłam cały akapit, w którym opisuję, na czym polega program.

Wszyscy już dobrze wiedzą, że w *Kuchennych rewolucjach* SuperGessler przemierza Polskę z kagankiem gastronomicznej oświaty, z którym nieustraszenie zagląda do najbardziej zapyziałych zakamarków, gdzie oprócz niedomytych naczyń, zielonego mięsa, kubeczków po jogurcie Yoplait i pudełek po mleku Kenny, granatów z drugiej wojny światowej, soli drogowej i oleju silnikowego w baniakach po paliwie lotniczym spotyka nierzadko społeczne mikrokosmosy, równie nieświeże i nabrzmiące od toksyn. Emitowany od 2010 roku program powstał na licencji brytyjskiego *Kitchen Nightmares*, jednak stanowi szczególnie udany przypadek formatu,

który nie jest tylko mimowolną parodią oryginału, nieprzyjmującym się przeszczepem z innej kultury, z innych wartości, emocji i ich ekspresji. Zapożyczono tu wyłącznie schemat, a bardzo barwny (mimo że często są to kolory mało różowe, choć czasem właśnie strasznie, okropnie, m o n s t r u a l n i e różowe) świat polskiej gastronomii po 1989 i silna osobowość prowadzącej sprawiły, że mamy do czynienia z wybitnie ciekawym dokumentem o Polsce trochę A, ale raczej BCDE i FGHIJK. I chociaż nosi on pozór kulinarności, nieco chyba mimochodem TVN-owskie kamery gmerają tam, gdzie zazwyczaj błędzą tylko studenci łódzkiej filmówki w poszukiwaniu tematu na zaliczenie: „Dokument społeczny – Polska w dobie przemian”.

Przywołany tu nie bez kozery *Sablewskiej sposób na modę* czy prowadzony przez jakże przecież opaloną Małgorzatę Rozenek *Piekielny hotel*, obydwie miażdżące i jałowe, i pożyteczne wyłącznie jako niefarmaceutyczne środki nasenne, choć zbudowane na podobnym schemacie dramaturgicznym „kryzys–przemiana–wzajemny płacz–dobro”, dobitnie pokazują, na czym polega wysoka jakość *Rewolucji*. Jest nią niewątpliwie prowadząca.

Budząca skrajne emocje, fotografująca się z kłębowiskami kiełbas, nieznośnie kompetentna, erotyczna, ubrana po bandzie i podkreślająca swoje artystyczne konotacje Gessler zdaje się na tle TVN-owskich koleżanek medialnym fenomenem. Chociaż reprezentuje jedną z najbardziej znienawidzonych i otoczonych w mizoginicznej Polsce głębokim lękiem figur – figurę baby. Baby z piekła rodem; baby, którą diabeł posyła tam, gdzie sam nie może, i w której piecu pali. Polacy (i Polki), nienawidzący wychylających się kobiet, mogą kamienować je do utraty tchu, jednak jeśli taka kobieta mimo kamienowania ciągle wstaje i dalej się wychyla, i jeszcze robi awanturę, że kamienie są twarde, a do tego nie ubiera się w kolory jesieni, dżdżu i nadchodzącej niechybnie śmierci, oooo, w takim wypadku lepiej uważać, lepiej nieco się odsunąć, a może nawet na wszelki wypadek okazać nieco zabobonnego respektu.

Ewidentnie Magda Gessler w swoim programie jest taką właśnie archetypiczną herod-babą. Kamera rozmyślnie podbija momenty jej napadów furii, przewracania mebli, rzucania naczyniami, tłuczenia brudnych szklanek, załamywania rąk, gdy krzyczy: „Co ja mam z wami wszystkimi zrobić?!”. W ostatnich odcinkach coraz częściej powtarzają się

roztrzęsione deklaracje restauratorów (no, może raczej właścicieli barów):
„Wiedziałem, że pani Magda będzie rzucać. Ale nie, że aż tak”.



Coraz częściej widać bladą ze strachu załogę, która rozpierzcha się w popłochu po kątach, widząc nadciągający jak armagedon gesslerolot, a nieraz zwalnia się tuż przed jej przyjazdem lub znika w trakcie programu i przestaje odbierać telefon. Symbolem takiej postawy mogą być Adam z Pruszcza Gdańskiego, który popłakał się, zrugany za brudne garnki, Gabryś z bielskiego Relaksu, który w trakcie zdjęć ratunku zaczął szukać w alkoholu wysokoprocentowym, albo ciocia z nieco starszego odcinka – *Karczma u Bartka* – którą kamera przyłapała na dosłownym panicznym umykaniu zaśnierzonymi ulicami z reklamówką.

Nie można zapominać, że, zwłaszcza dla osób funkcjonujących na co dzień w niewielkich społecznościach, bycie pokazanym w telewizji, w niekoniecznie korzystnym świetle, to sprawa ostateczna, społeczne „być albo nie być”.

W szczególnie niekomfortowej sytuacji są tu mężczyźni. Bo choć zdarzają się odcinki kobietocentryczne, w przeważającej mierze gastronomia piastowana jest, bardziej lub mniej nominalnie, przez mężczyzn. Każdy z nich, wchodząc z herod-babą na ring na oczach całej Polski, musi liczyć się z tym, że być może zejdzie z niego, popłakując – „bity przez kobiety!”, i nikt nie da mu już nigdy świętego spokoju. To moim zdaniem jeden z większych generatorów napięcia w programie. Magda Gessler jest gastronomiczną Larą Croft, korpulentną fighterką sprzedającą rytualne (może nieco wrestlingowe) laczki na ryj polskim mężczyznom. I niezwykle ciekawie jawią się podejmowane przez nich w tej niekomfortowej sytuacji psychostrategie, nie muszę zaznaczać, że przytomne partnerstwo jest najrzadszą z nich.

Jest postawa bogobojna, którą reprezentuje Robert, psycholog z Jelcza, płożący się u stóp prowadzącej jak męskie postaci z rycin Schulza. Recytując słabym głosem wyuczone psychobiznesowe komunały w rodzaju: „Dla mnie nie ma czegoś takiego jak «nie da się», rozumiesz?”, ze swadą aktorską statystów z *Sędzi Anny Marii Wesołowskiej*, pokornie znosi krytykę i ciosy, a swój bar Boczek i Spółka oprószył lawendą i potpourri, wszystko, by zdobyć serce dużej, silnej, pięknej pani. (W tym odcinku highlightem psychologicznym jest też erotyczne napięcie między nikczemnego wzrostu, depresyjno-agresywnym pizzermanem a piękną, erotycznie rozchichotaną kelnerką, która z nudów torturuje go swoim powabem, jak chłopiec, co

nadmuchuje żabę. Polecam!)

Jest, prezentowana przez Waldka z Bistro-obora w Zielonkach, postawa przeniesionej agresji. Ten cały czas balansujący na granicy napadu szału bardzo nieblady mężczyzna swoje negatywne emocje z bycia obsztorcowywanym przez babę odreagowuje na swojej konkubinie Marioli. Im bardziej Magda Gessler krzyczy na niego, tym bardziej on rozdziera się na Mariolę, a *Świat według Kiepskich* przy tym odcinku wydaje się realistycznym serialem obyczajowym. „Nie będzie się robić ze mnie pomiotła!” – piekli się Waldek, zmuszony przez panią Magdę do wycierania podłogi. „Pierdolę to!” – krzyczy Magda Gessler. „Ja też pierdolę” – odpowiada Mariola. „Też pierdolę” – dopowiada Waldek. Tu już miarka się przebiera, Magda nie dowierza: „Cooo? Wy to pierdolicie?”.

Jest, podjęta przez Krzyśka z Kaskady Smaku w Pruszczu Gdańskim, próba zbliżenia się i podpięcia pod charyzmę prowadzącej przez szorstkość obejścia. „Nie lubię, jak ktoś wchodzi w dupę bez mydła” – deklaruje Krzysiek. „Przecież to dupę rozwali” – mówi z chłopską zdroworozsądkowością o jednej z potraw, a gdy wychodzi na jaw niegospodarność pracowników, oburza się, że „walono go na siano”. I od razu widać, że tylko on i Magda wiedzą, co tu je grane (proszę korektora o niepoprawianie je na jest), a reszta tych niewulgarnych, rozmemłanych, nieposiadających ciętego języka melepet jedynie płacze im się pod nogami.

Tu w moim wypracowaniu, by było jeszcze bardziej wypracujące, zdecydowałam się zrobić małe podwypracowanie. *Rewolucje* są niewątpliwie całkiem wiarygodnym wymazem z potocznej polszczyzny ostatnich lat; nie przekłamuje tego sytuacja nagrania telewizyjnego, bo ludzie wypowiadają się i bezpośrednio do kamery, i w podreżyserowanych codziennych scenkach, i w konwencji zupełnie dokumentalnej, gdy emocje często są zbyt duże, by przejmować się obecnością operatora.

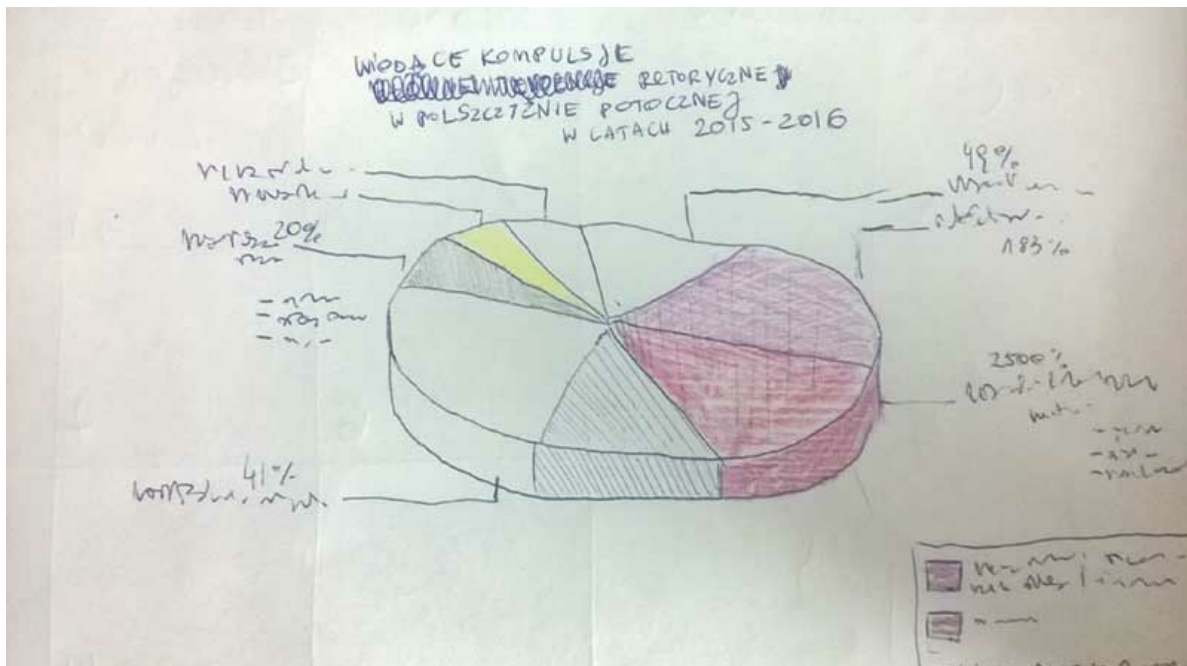
To, co uderza, to skrajna wulgarność języka. Latające w tę i we w tę „kurwy” nie dziwią, gdy konstrukty biznesowo-rodzinne ulegają apokalipsie; taki zresztą tembr narzuca sama prowadząca. Jednak przy niektórych bohaterach gangsterzy z *Psów* to ambasadorzy kultury, sztuki i dziedzictwa narodowego. Wyraźnie sytuacja nagrania telewizyjnego nie prowokuje już Polaków do pozorowania powściągliwości, a ogląda wyleciała

z listy pożądanych wartości osobistych na rzecz... hmm... trudno powiedzieć czego. Prawdopodobnie niczego. Obejrzany w masie, program chwilami wydaje się prawdziwym gejzerem obyczajowej plwociny i ordynarnego chamstwa, chamstwa, które chyba ma robić za rodzaj życiowej zaradności, krewkości i codziennej bezpośredniości.

Ostentacyjną obelżywość codziennego języka Polacy neutralizują nerwicą zdrobnień. Uliczna promocja kanapek z mięsem jednej z knajp jakby dla balansu przynosi nam taką sekwencję wypowiedzi:

- Kanapeczka z cielęcinką.
- Wyrazisty smak mięska, taak?
- Cebulka, mięsko czuję.
- Mmm, dobry kotlecik w środku.
- Swojskie jedzonko, takie od mamusi.

Spójrzmy zresztą na ten wykres kołowy, przedstawiający pozostałe tendencje we współczesnej polszczyźnie potocznej, który stworzyłam na podstawie ostatniego sezonu *Kuchennych rewolucji*, by moje wypracowanie wypadło szczególnie błyskotliwie i pracochłannie.



(Widać tu czarno na białym, że 90% bohaterów KR wykorzystuje w mowie

codziennej elementy retoryki telemarketingowej, takie jak: „nie ukrywam, że”, „powiem tak:”, „szczerze to...”. Z manifestującego umiarkowaną aprobatę powiedzenia „Szału nie ma” korzysta 32% bohaterów, 22% dla wyrażenia tej samej emocji mówi „Dupy nie urywa”, 46% natomiast stosuje je jednocześnie w postaci sformułowania „Szału nie ma, dupy nie urywa”, „Taaak?” – na końcu zdania dodaje około 7895% bohaterów, w tym 898% „taak?” stosuje również śródskładniowo, w połowie, trzech czwartych i czterech piątych wypowiedzanego zdania).

Wracając jednak do herod-baby. Ciekawe jest, jak wiją się w kontakcie z nią mężczyźni, ale nie mniej interesująco na Magdagedon reagują kobiety. Odcinki o lokalach zarządzanych damską ręką są nieco inne. Mniej tu konfrontacji, więcej łez, Gessler występuje w roli Matki Boskiej Nagle Nadchodzącej Pomocy, która wyśle na terapię alkoholową, do fryzjera, przytuli i okrzyczy męża, że nie płaci ZUS-u. Widać, że kobiety, zarówno z Polski A, jak i C, przypisują jej właściwości magiczne i bioenergoterapeutyczne, tulą się do niej jak do czakramu życiowej staminy. I chociaż onnipotentna Magda pozwala wylewać łzy bezradności na swoje szalone szale i tiule, przyprowadza do porządku, coachuje i daje kopa w dupę na szczęście, i już, już człowiek zaczyna się rozmarzać, rozklejać... by i do niego przyszła, do restauracji jego życia, i wszystko naprawiła... wyrzuciła objadających się pracowników... zmieniła menu... kazała zerwać zatłuszczone zasłony i wylać starą fryturę... to jednak powraca myśl, że to tylko kreacja, telewizja.

Jak wtedy, gdy zaręczana właścicielka pogrążonej w chaosie karczmy w Komorowie nie chce mazać się w obecności kamery i Magda wykonuje ten uspokajający gest: „Och, nie przejmuj się tym, taka tam kamera, jakaś bzdura, płacz sobie, płacz, płacz cię oczyści”. Jednak potem zdjęcia bez sentymentu zostają wmontowane do programu; Matka Boska kocha swoje dzieci, ale bez przesady: to jednak jest show, nie leczenie ran przy cudownym źródółku. Zresztą w internecie grzmią przeciwnicy Magdy, oskarżając program o nadużycia, manipulacje, kłamstwa i malwersacje finansowe; na szczególną uwagę zasługuje tu kultowy kontrmaterial z telewizji Podhale, gdzie w antygesslerowym buncie jednoczy się cała społeczność.

Tymczasem słońce zachodziło, miarowe tąpnięcia piłki o asfalt powoli cichły, słyszałam, jak mama wstawia wodę na herbatę, herbatkę, herbateczkę, herbateczkęczeczeczkę. Wiedziałam już, że moje wypracowanie to niewielka praca magisterska, przewyższająca wypracowanie Jakuba Sochy mnogością wątków i zamaszystością wniosków, a przede wszystkim swoją wspaniałą, niezaprzeczalną objętością, niepokoiło jedynie, że ostateczna refleksja pozostaje całkiem podobna. Bo zapewne dopiero za parę lat będzie wiadomo, czy program spełnił swoje zakusy edukacyjno-modernizacyjne i realnie zmienił wyboisty krajobraz polskiej gastronomii. Czy nowe szyldy nie poodpadały, a na ich miejsce z oszczędności nie przywieszono starych. Można zmienić kartę dań i nazwę, ale zły gust, zły smak, syficzność i chamstwo to sprawy dużo bardziej ponadczasowe, uniwersalne, jeśli nawet nie wieczne. Jednak nawet jeśli wprowadzone unowocześnienia zarosną na powrót gyrosem z frytkami i prowansalskimi wazonikami z lawendą, wysłani na odwyk alkoholicy wrócą do nałogów, a dziwaczne nieraz wnętrza pomysłu Magdy z powrotem zostaną przemalowane na pistację, melbę i fryturową szadz, jednej zasługi nikt jej nie będzie w stanie odmówić: *Kuchenne rewolucje* to monumentalna panorama społeczna Polski ostatnich lat, galeria twarzy niespotykanego rozmachu.

Dalibóg, cóż to za wielki zbiorowy portret Polaków, kopalnia fargoidalnych zupełnie typów. Feeria póż, min, tonów, akcentów, regionalizmów; biblioteka dialogów, pogaduszek, powiedzonek; archiwum ludzkich kwasów, chorych układów i toksycznych więzi. Nie sposób pominąć waloru dokumentalnego całego przedsięwzięcia. Jestem pewna, że kiedy na przykład w 2086 roku studwudziestotrzyletni Wojciech Smarzowski będzie przygotowywał się do superprodukcji o czasach „dobrej zmiany”, niewątpliwie jego scenografowie, kostiumografowie i charakteryzatorzy będą siedzieć dniami i nocami właśnie przed *Kuchennymi rewolucjami*, wpatrując się w niefortunnie wykonturowane twarze, tatuowane brwi, biurowe irokezy, frywolne stylizacje i inne ekscesy estetyczne epoki.

Bohaterowie polskiej literatury i kina ostatnich lat mają przy tym wszystkim realizm i głębię psychologiczną ludzików narysowanych

patykiem przez dwulatka. Chciałoby się wrzasnąć do ucha pisarzom, scenarzystom i dramaturgom: siadać wszyscy i oglądać, a nie wymyślać farmazony.



Głupota

Głupota jest wspaniała. Głupota jest wyzwalająca. Ileż to razy głupota wyzwoliła mnie od tego i tamtego! Nim jednak przejdę do Lacana i Žižka, odniosę się do faktów autentycznych, osobom zaś, które w tej chwili myślą: „faktów autentycznych! nie ma czegoś takiego, albo «fakty», albo «autentyczne»”, mówię tylko krótko: brawo! I tylko teraz minutka, bo wstawiam do dziennika piątki...

...Już. Więc oto historia. Mniej więcej w zeszłym roku znajomy mężczyzna za pomocą podwędzonego zza baru markera wodoodpornego pokrył moją rękę na całej długości różnymi tatuażami. A że nie robił tego wcześniej, to otworzył się zupełnie, z tą typową gorączkowością debiutanta. Więc a to to, a to tamto, anarchia, pacyfka, genitalia, coś trochę w jidysz. Ja też jakoś nie sprzeciwiałam się. Wiadomo: to tylko ręka, jednej nie mam. Proszę mnie nie oceniać, w końcu mam dopiero trzydzieści dwa lata, każdemu się zdarzy chwila obojętności na takie pierdoły! Oczywiście następnego dnia rano już nie było mi to tak bardzo wszystko jedno i w histerii szorowałam to mocno gąbką, zwłaszcza to, co mogło uchodzić za... za... A pomyśleć, że w rzeczywistości było tylko pociesnym wiatraczkiem! Doprawdy, wymagałoby złej woli i wady wzroku, w której ramach rzeczy skierowane w lewo widzi się skierowane w prawo i na odwrót, by wziąć to za... za... By nie wziąć tego za wiatraczek.

Tymczasem tatuaze okazały się wybitnie *waterproof* i nawet moja córka mną pogardzała („Nie wiesz, że takie markery są toksyczne i przenikają przez skórę do krwi?!”). Byłam zupełnie nieszczęśliwa i czułam się więźniem tych bohomazów, ale nijak nie mogłam ich zmyć. Bardzo współczułam mojej córce, że jest dzieckiem kogoś, kto chodzi popisany markerem, i wiedziałam, że moja matka nigdy by tak nie postąpiła. Namazane symbole rosły mi w oczach i w wyobraźni, wywołując metafizyczny lęk przed wzajemnie sprzecznymi uniwersalnymi treściami, których Hyde Parkiem stała się moja skóra, ale...

Traf chciał, że tego dnia wieczorem bawiłam na urodzinach koleżanki w lokalu X. To taki sobie lokalik, wygląda tam, jakby wejść do wewnątrz obrazu ze skóry. I nie inaczej pachnie. Wiadomo też, jak jest w takich barach, które uchroniły się przed destrukcyjną presją współczesności. Niewysokie ceny, rozwałkowany kibelek, papierosowy spleen. Nie wiesz, czy zaraz nie wpadnie Kostek Yoyradis, czy Artur Partyka nie wygra zaraz olimpiady, za to masz pewność, że twój płaszcz jeszcze przez wiele dni będzie walił petami. Na ulicy śnieżnie i mroźno, a w środku ciepło, śmiech, gwar przyjaznych wrzasków, różne torciki i inne urodzinowe imponderabilia. Bardzo przyjemnie. W pewnym momencie jednak dzieje się rzecz zaskakująca. Do środka, otrząsając się z zawiei i zamieci, wchodzi dwaj...



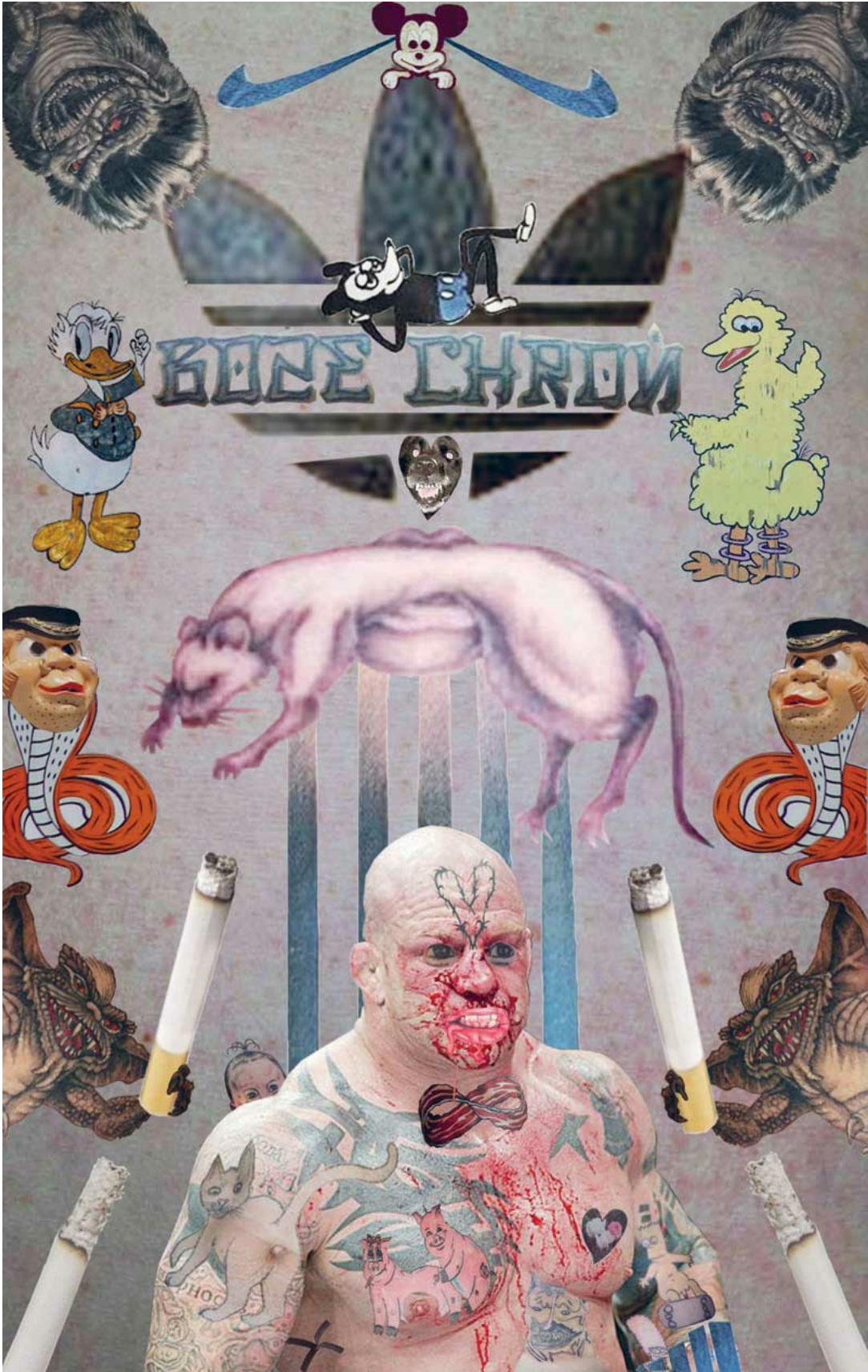
Ściskana przez złęgo, kredka świecowa

No cóż, gdybym miała wyjaśnić to najprościej, to dwaj dzwonnicy z Notre Dame. Noo... sami rozumiecie. Chodzi o te twarze, inne od ludzkich, takie jakby kubistyczne. Dresy markowe w kolorze srebrnym i złotym. „Adidas for mafia”, też nie wiedziałam, że mają taką kolekcję. Ale te twarze, wierzcie mi, Bóg ich nie stworzył. To znaczy może kiedyś stworzył, ale tam potem jakby

coś zaszło. Jakieś perturbacje, trudności, przemieszczenia, ingerencje... Słowem, popsuły się... Nie same z siebie. Rozgniecione czy roztrzaskane jakąś łopatą czy cegłą... Może po prostu spadła na nie mocniej kłapa jakiegoś bagażnika... A potem jakby ktoś nieudolnymi rękami próbował pomontować, połapać to od nowa, ale nic już nie trzymało się kupy. Więc oko tam, gdzie powinno być ucho, drugie oko tam gdzie pierwsze, nos gdzieś z boku, kawał szpondra zamiast ust (nikt się nie skapnie), kilka zębów... *Voilà!*

Z grubsza niby się zgadza, ale wiecie... Takie twarze leżą często w sklepach „Wszystko za pięć złotych”, na dnie wielkich koszy „Wszystko za jeden złoty”. Mało kto je kupuje.

Przepraszam, że tak się skupiam na ich wyglądzie, wiem, że liczy się wnętrze człowieka, jednak tym bardziej: ludzie tacy jak ci nie mają w życiu miękko. Społeczeństwo nie nawiązuje kontaktu wzrokowego, przechodzi na drugą stronę ulicy, nie odpowiada na pozdrowienia. Pracodawcy nie zatrudniają w handlu i usługach, przypisują od razu złe cechy charakteru: konfliktowość, nieumiejętność współpracy w grupie, wynoszenie ręczników z kibla, słaba znajomość Worda i jeszcze gorsza Excela. Ci wykluczeni, obarczeni uprzedzeniami mężczyźni zmuszeni są do pokątnej, zagrażającej życiu i zdrowiu pracy przy dystrybuowaniu narkotyków, kradzieżach samochodów i handlu kobietami. Bez ZUS-u i bez BHP. Bez umowy! Ciężka fizyczna harówka, często po nocach, dlaczego nikt się tym, do cholery, nie zainteresuje?



Tak czy siak, ci dwaj zbłąkani wędrowcy wchodzą do tego lokalu, gdzie w ciepłej i przyjaznej atmosferze, wśród swoich metatorcików i metaszałatek warzywnych bawią się artyści. Niby sami odmieńcy, tacy otwarci i tolerancyjni wobec wszelkiej inności, ale... Tamci w swojej naiwności przysiadają się na chybił trafił do jakiegoś stolika. Impreza trwa nadal, ale przy stopniowo obniżającej się fonii. Jakby ktoś cały czas sukcesywnie ściszał całą sytuację: rozmowy stają się stonowane, wybuchy śmiechu mało wybuchowe, przemieszczenia niewielkie. Jeśli ktoś krzyczy, to szeptem, jeśli ktoś intonuje *Sto lat*, to raczej w myślach, jeśli ktoś tańczy radośnie, to siedząc i się nie ruszając, jeśli ktoś je tort, to go wcale nie je. Właściciel kręci się nerwowo i trzęsącymi się rękami próbuje wydzwonić ochronę.

Powiedzcie to jednak mojemu pęcherzowi. Ten jest odporny na wszelkie socjologiczne niuanse. Może nie miał w pierwszej klasie tej czytanki *Brawura to nie odwaga!*, którą ja pamiętam tak dobrze. Pokątnie (w swoim mniemaniu) przemykam się w kierunku WC... I teraz widzę to w zwolnionym tempie, jak już, już jestem tam prawie, witam się z gąską, chwytam za klamkę... łaps. Na moim nadgarstku zaciska się duża czerwona ręka. „Ej, masz fajne tatuaże!”

(„Tak, tak!” – powtarzałam, choć niektóre źródła twierdzą, że powtarzałam „Nie, nie!” albo coś jeszcze innego...)

„Swastyka, bua, ha, ha!”

„Jesteś zajebista!! Chodź”.

...jedno jest pewne: widziałam tylko wielką zbliżającą się bawełniano-złotą pierś, która jak słońce zalała krajobraz ślepiącym blaskiem i zamknęła mnie w klinczu nagłej, nieznającej „nie!” zażyłości...

Ściskana przez złęgo – tak zatytułowałam grafikę, którą później namalowałam na terapii dla osób z zespołem szoku pourazowego.

I myślałam potem niejednokrotnie, że to była jedna z rzadkich chwil w moim życiu, gdy alkohol nie okazał się substancją ogłupiającą, odbierającą racjonalny osąd. Substancją pozwalającą wieść godzinami dyskusje na tematy, o których nie miałam pojęcia, i tańczyć do piosenek, za którymi nie

przepadałam, z ludźmi, których nie lubiłam, w każdym razie nie aż tak bardzo, jak nagle mi się zdawało; a nie dość, że dało się mnie nakłonić do wszystkiego, to jeszcze nie trzeba mnie było wcale nakłaniać. Okazał się zbawiennym, odprężającym środkiem zapobiegającym zawałowi serca wtedy, kiedy on był tak blisko.

A jednak w głowie tysiąc myśli. Gdzie były wcześniej te ręce, które teraz poklepywały mnie pobłażliwie, ale przecież przyjaźnie? Co robiły? Czy ściskający mnie mężczyzna o niewyględnej twarzy był rodzajem antyczakramu, antywody z Lourdes? Antymateracem gryczanym, który mógł przekreślić wszystkie moje starania o pozytywny biowydzźwięk mojej somy? Wszystkie moje zjedzone grejpfruty, dobre uczynki, dwuzłotówki przekazane na Wielką Orkiestrę Wiadomczego? Hektolitry czystka, młody jęczmień? Co teraz? Czy bezpośredni fizyczny kontakt z osobą trudniącą się zawodowo złem przetransponował na mnie jakiegoś metafizycznego wirusa?

No, jak widzicie, sprawa skończyła się generalnie dobrze, siedzę tu sobie i to wszystko piszę; nie prowadzę solarium w Nadarzynie z małym dzwonnikiem z Notre Dame przy piersi. Miłość była, ale nie aż taka; on szybko zrozumiał, że swastyka wcale nią nie jest, a poza nią nie mam wielu zalet jako kobieta. Że nie mamy tematów, że rozmowa tli się niemrawo, jak mokra gazeta: ja ani nie mam pojęcia o MMA, ani nie umiem gotować białek z jajek, ani też moje fascynacje, moje wieczne pierdolenie o potrzebie literatury środka, o synekdochach, dysyntezach i hypestazach w prozie obozowej Borowskiego nie są jego światem. Rozstaliśmy się w przyjaźni, ale przypominałam sobie wielokrotnie tę sytuację, oglądając *Fargo*, które o tym chyba właśnie mniej więcej traktuje. O głupocie i jej właściwościach wyzwalających. Głównie wyzwalających zło.

Fargo, zarówno film matka, jak i luźna, ale przerosła go już dawno rozmachem kontynuacja serialowa, to gatunkowo thriller, ale o tyle specyficzny, że z głupotą jako *spiritus movens*. Od pierwszej sceny filmu braci Coen z 1996 roku obserwujemy Wielki Peleton Głupców. Ileż to rodzajów i podrodzajów braku pomysłu wyodrębnili twórcy! Mamy osoby: „głupie i przez to złe”, „złe, ale głupie”, „głupie, ale dobre”, „dobre, ale głupie”, „po prostu bardzo, bardzo głupie”. Klasyfikacja zaproponowana w 1837 roku

przez Michała Wiszniewskiego w *Charakterach rozumów ludzkich* zdaje się w tym świetle bardzo skromna, uproszczona; widać, że postęp technologiczny, zanieczyszczenie środowiska, demokracja i ogólna dostępność wysokoskrobiowej żywności w społeczeństwach zachodnich dostarczyła zjawisku zupełnie nowych odcieni i półtonów.

Głupi jest fajtłapowaty Jerry (W.H. Macy), który by wybrnąć z finansowych tarapatów, zleca porwanie żony. Głupi są wynajęci przez niego złoczyńcy: cipowaty, znerwicowany Carl i bardzo zły, ale zdecydowanie ocieęzały umysłowo Gear. Ordynarnie głupawe są bardzo brzydkie cizie, z którymi kopulują po drodze; żona Jerry'ego to też zwykła, niedemoniczna, stereotypowa amerykańska debilka uśmiechająca się do telewizora. Postacie pozytywne – usiłujący niezbornie gołymi rękami pochwycić rwącą lawinę zła policjanci – to też nie są tytani przemysłowości. Makabryczne zbrodnie i dziwią ich, i nie dziwią, gdy tak niespiesznie stoją sobie z kubkiem kawy w śniegu, pogadując o pogodzie. Widać, że znacznie łatwiej byłoby im w to wszystko uwierzyć, gdyby to zobaczyli w telewizji.

Zdecydowanie najbystrzej na ich tle wypada prostolinijna ciężarna Marge (Frances McDormand). Śledztwo prowadzi sprawnie, ale jakby mimochodem – tak naprawdę szuka sobie czegoś do jedzenia. Marge, w swoich podkręconych na lokówce fryzurach, oversizowych swetrach we wzory z tapet, z wyrazem niezmiennej pogody na nieładnej twarzy, przynależy do rodzaju „głupia, ale dobra i przez to mądra”, zwanego też w naszej kulturze pobłażliwie „bożą głupotą”.

W obydwu sezonach serialu korowód głupców już tylko się powiększa: znów wyzwalaczami plotów są debile. W pierwszym to depresyjny, zrezygnowany Lester Nygaard, który przy odrobinie nieuwagi mógłby poślizgnąć się na własnej ślinie. Żona suszy mu głowę, że mają przestarzałą pralkę: jego frustracja w tej kwestii powoduje śmierć jakichś pięciuset ludzi. W drugim podlej postury antycharyzmatyczny Rye chce postraszyć jedną osobę, a zabija cztery. Gdy próbuje uciekać z nożem do steków w plecach, wpada pod samochód niejakej Peggy Blomquist. Krew z jego ust cieknie wprost na jej ukochane kobiece magazyny, których stosami zaściela rzeczywistość, jakby chciała ją przed sobą zasłonić. Tak, Peggy ma skłonność do unikania faktów. W związku z tym jedzie do domu z ofiarą wbitą w przednią szybę, całość zamyka w garażu i idzie się uczesać, inicjując tym

samym spirale najgorszego.

To nie jest jednak rozgrywająca się w Minnesocie *Idiokracja*, choć twórcy nie oszczędzają swoich bohaterów w żadnym aspekcie. Dialogi to często antydialogi: majstersztyki jałowości, antytreści, bezdroża sensu, smalltalkowe manowce. Powtórzenia, fiksacja na pierdołach, pokraczne przekleństwa, uparcie powracające w najbardziej dramatycznych momentach rozważania meteorologiczne. Również charakteryzatory dokładają wiele do tego pieca. Nie dość, że w *Fargo* większość obsady to aktorzy charakterystyczni, to mają dodatkowe zęby w ustach, potrądzikowe blizny, wicherki, włosy odstające z jednej strony, wyraz twarzy „uwaga, leci UFO”, tiki, przyruchy. Słowem, wszystkie te małe rzeczy, których nie mają ludzie w Kalifornii, ale wszyscy inni mają. Nawet diabolicznie inteligentny, filozoficzny Lorne Malvo, będący kimś w rodzaju lokalnego Lucyfera, ma tu durnowatą grzywkę.

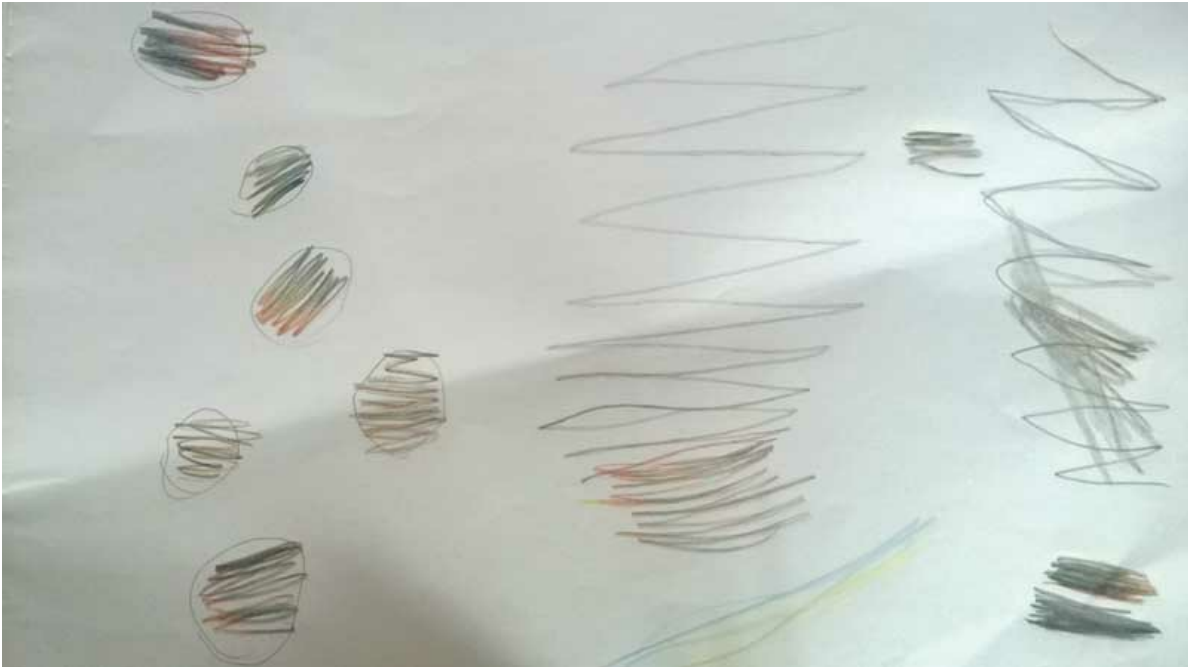
I choć od początku do końca sypią się domina zbrodni zgoła demoniczne, wręcz upoetyzowane w swojej makabrze, przeestetyzowane (zwłaszcza w drugim sezonie), podbite przepiękną, patetyczną muzyką – tak że czasem *Fargo* zdaje się rozgrywającą się w Minnesocie zagubioną baśnią braci Grimm – to zawsze gdzieś na tym wszystkim widać odcisk bezradnej ludzkiej łapki. Noga w białej skarpecie niechcąca zemleć się w rozdrabniarce do drewna, zwłoki skulone w zamrażarce do mięsa, dancinowy męski pantofel na drzewie, krew mieszająca się z shakiem waniliowym. Zmasakrowana strzałem szczeka, opatrzona świąteczną serwetką z choinką. W jakiejś paradoksalnej reakcji biochemicznej ta mieszanina horroru, poematu i ślapsticku daje coś zaskakująco bliskiego realizmowi.

Chciałoby się powiedzieć: innego świata nie będzie. Oto życie ludzi na Ziemi, pełne cierpienia, przemocy, zdeparowanych skarpetek i skórek od banana leżących tuż przed podium.

Mam nadzieję, że w swojej rozprawce udowodniłam, że głupota może wyzwalać.

Na koniec przedstawiam inne prace z cyklu *Ściskana przez złego*, które można też zobaczyć na zbiorczej wystawie *Blżej siebie* w Warszawskim Ośrodku

Terapii Sztuką Regresywną.



Ściskana 2.0



Moja dusza



Chwila jest kroplą życia

Tatarstan

W maju dzwoniło do mnie z dziwnego numeru, i to w porach, w których dzwonią tylko konsultanci z Providenta albo z Orange'u, gdy konsekwentnie nie odbiera się między szóstą a dwudziestą trzecią. Wiadomo, z nimi się nie wygrywa. Te ludzkie automaty, szeleszczące w słuchawce scenariuszami rozmów z klientem i nieodmieniające rzeczowników, mogą zrobić z człowiekiem, co tylko zechcą. Wiedziona zabobonnym lękiem przed ich neurolingwistycznymi kotwicami, nie podejmowałam słuchawki. Był maj, moje serce biło, gorące, wzmożone, naiwne; ci psychospesce mogli bez problemu wrobić mnie w zakup multipakietu dla firmy, której nie miałam, jednym taktycznym obniżeniem głosu. Opierałam się długo, jednak gdy któregoś dnia w przypiływie roztargnienia odebrałam, nadeszło rozwiązanie dziwnej zagadki: zapraszano mnie do Tatarstanu.

Z trudem powstrzymałam okrzyk radości, choć przecież równie dobrze można by mnie zapraszać do słonecznego Tiutiurlistanu czy nieodległej Kapadocji. Wszędzie tam pojechałabym równie chętnie; trzymałam te państwa w jednym folderze krain na wpół baśniowych, których położenia, charakteru, albo i nawet istnienia nie byłam do końca pewna. Na wszelki wypadek swój głos wystylizowałam na indyferentny i bardzo zajęty, by ukryć przed organizatorem prawdziwe uczucia targające mną jak strzelający popcorn; powiedziałam, że zastanowię się nad przyjazdem, jednak już chwilę po zakończeniu rozmowy skakałam po całym pokoju jak jakaś małpa. Natychmiast też ustaliłam z chłopakiem, że pojedziemy tam razem; obydwójce humaniści, ale akurat do tyłu potrafiliśmy zliczyć z naszego dotychczasowego życia, że zaproszenie do Tatarstanu otrzymuje się raz na trzydzieści trzy lata; następne zaproszenie do Tatarstanu miało nastąpić dopiero około roku 2049.

Niewzłocznie zaczęliśmy się przygotowywać do wielkiej orientalnej podróży. Ale wiadomo, jak to jest w dzisiejszych czasach: niby coś robisz, czegoś chcesz, ale tak jakoś ciężko się skupić. Wszystko jakby się uwzięło, by mnie rozproszyć! Ilekroć siadałam do książki *Historia, klimat*

i uwarunkowania geograficzne, społeczne, etniczne i religijne Tatarstanu, już przy pierwszym tomie ogarniała mnie senność, słabość i przyjemna bezradność... Drugi czytałam już na otwartym gazeta.pl... A tam wiadomo, kaskady elektryzujących faktów. Najdziwniej owłosione pachy (5 zdjęć). Oni naprawdę chcieli tylko się dobrze zabawić (10 zdjęć). Lewandowska chciała pokazać psa, a tymczasem on... (150 zdjęć). Nigdy nie podejrzewałeś, że...? Oni też (Quiz). Dziesięć mitów o oddawaniu moczu, tego nie wiedziałeś! Nie lubisz żółtych warzyw? Wyleczysz nimi podagrę. I tak w koło Macieju.

Codziennie obiecywałam sobie gruntownie zgłębić wiedzę o Tatarstanie, a kończyło się na wirowaniu do nieprzytomności w kołowrocie pierdół, dowcipasów i memów z Macierewiczem. Ostatecznie, gdy wylądowaliśmy w Kazaniu, nasza wiedza o Tatarstanie i jego mieszkańcach posiadała już pewne filary, choć ciągle ten najpewniejszy pochodził z piosenki Superalisy *Tatarstan is supergood*. Drugim, dość chybotliwym, była książka Daniela Kaldera *Zagubiony kosmonauta* sprzed jakichś dziesięciu lat, rodzaj irytującego dziennika podróży Szkota, który z ostentacyjną euroindolencją opisuje swoje przygody w najdziwniejszych kazamatach byłego Związku Radzieckiego.

Poświęcę jej w tym memuarze akapit, choć doprawdy nie wiem, czy jest po co.

Główną siłą napędową narracji pozostaje tu zabawna arogancja, z jaką Kalder wizytuje miejsca tyleż niecodzienne, ile niepotrzebne i nieinteresujące, a takich przecież w byłych republikach nie brakuje. Kontempluje nonsens, architekturę pustostanu i praktykuje coś w rodzaju turystyki manowca, wszędzie właściwie odkrywając to samo: bloki, betony, wąsy u kobiet; nieuregulowane zgryzy i głupie fryzury, niskiej jakości usługi hotelowe i niedobre jedzenie. Po czym jedzie dalej, do wszystkiego się dystansując, wszystkim lekko pogardzając, nic o niczym nie wiedząc i szcycąc się tym, za główne narzędzie poznania mając przekąs, lekką odrazę, i dając się ponosić euronormatywności. Byłe republiki radzieckie to raj dla takich unijnych kalderystów. Ze swoją skomplikowaną polityką wizową, którą właściwie można nazwać loterią, z dużym potencjałem egzotycznego chaosu i wątrobianką z bobra w sklepie, Federacja Rosyjska magnetyzuje swoją dzikością, dziwacznością i nieprzewidywalnością, jakiej na wycieczce autokarowej „Najpiękniejsze zamki Nadrenii” nie uświadczysz.

Jednocześnie, naszpikowana absurdami poprzedniej epoki, zaprasza do szydery i płytkich zadziwień. Na poziomie usług, towarów i ogólnie pojętego lifestajlu aspirując często do Zachodu, jednocześnie nie mając szans go dogonić, z pierwszego lepszego eurociecia potrafi zrobić surowego recenzenta kulinarnego, bezwzględne blogera modowego, asertywnego konsumenta usług hotelarskich i dowcipnisią strzelającego sobie selfie w zardzewiałym wraku rakiety kosmicznej i nieczynnym punkcie ksero w pniu dębu.

Póki co lądujemy w Kazaniu; w gorącym stepowym słońcu wybiegamy z samolotu, chłęcząc wszystko oczami w antycypacji wielkiego Orientu. Jest! Lotnisko wyłożone jakimiś takimi kolorowszymi płytkami. Potem coraz gęstsze morza betonu. Wszędzie bloki wszelkiego możliwego autoramentu. Stare żółte bloczki, neobloczydła zbudowane na olimpiadę młodych, szare molochy z loggiami ulepionymi z firan, kartongipsu, starej gitary i plastra miodu. Bloki pojedyncze, bloki podwójne. Kiście bloków.

Nasz hotel mieści się w centrum, na ulicy Baumana. W internecie pełen jest pięknych statystek, które niespocone ćwiczą na siłowni i suche pływają w basenie, i czytają magazyny lifestajlowe o pustych stronach. W rzeczywistości hotel opanowany jest przez hordy niepięknych, niesuchych, nieczytających magazynów lifestajlowych nauczycielek. Skąd wiem, że to nauczycielki, nie pytajcie. To jest coś takiego, że po prostu to wiesz. Czy sposób, w jaki trzymają przewodnik po Kazaniu, zawsze jak plik sprawdzianów. Czy te tumany liściastych spódnic, chryzantemiczne włosy, czy oczy, zmęczone, ale zawsze czujne. I to łakomstwo. Nauczycielki są niezwykle łakome; notorycznie w lobby opróżniają całą paterę z czakczaków, okropnych lokalnych łakoci przypominających żółte szyszki. Na śniadaniu siedzą z miskami śmietany, a przed nimi całe w o l u m i n y naleśników, które ćpają monotonna, metodycznie, zmysłowo, jakby świat miał się skończyć. W ten sposób czekają na autokar, który nadjeżdża posuwiście, zionąc aromatycznym chłodem klimatyzacji, i porywa je na podboje Powołża.

Nauczycielki ładujące się do autokaru z saszetkami bimbającymi na zwielokrotnionych szyjach stają się naszym wyrzutem sumienia. Każdego ranka przypominają nam, że za mało zwiedzamy, niebezpiecznie osuwając

się w kalderystyczne błędzenie po targowiskach, trykotażach – sklepach z bardzo brzydkimi ubraniami we wzory kwiatowe – i oglądanie gazetki ściennej ilustrującej historię hotelu Nogaj. Za dużo czasu spędzamy w pokoju, oglądając przedbrexitowe szamotaniny i mecze Euro, a także w wielkiej, połączanej, dwupiętrowej stołówce zakładowej wciągając manty i sałatkę „Nieźnost”. Poza tym odbywamy też długie wycieczki komunikacją miejską. Wsiadamy w metro, wysiadamy gdzieś na blokach... Poklejone lasotaśmą i połatane dyktą wieżowce chwieją się wśród chmur, między kałużami szwendają się bezpańskie psy i drobią zamotane w chusty babiny; nierzadko na parterze bloku smutny sklepik... W przepastnej lodówce starczo uwiędły tort Sachera, sadło z wilka na wagę i czak-czaki, i sprzedawczyni patrząca nam prosto w oczy, z nieskrywanym „no i, kurwa, teraz co?”.

Za blokami już ugory, garażo-bezdroża, jednak coś, co z oddali zdaje się śmietnikiem, z bliska okazuje się posiadać również praktyczne atrybuty przystanku tramwajowego. Ani zdążymy się obejrzeć, a spośród wzburzonych traw, skotłunionych krzaków, starych siatek, drutów i mleczy, podskakując na nierównościach, nadciąga tramwaj... Odurzeni tak niespodziewanym obrotem spraw, niezwłocznie wsiadamy do niego i z prędkością wartą lepszej sprawy w euforii pędzimy n i g d z i e. Ale może właśnie jadąc n i g d z i e, przybliżamy się do t a j e m n i c y T a t a r s t a n u dużo bardziej, niż gdy odbywamy te długie, pożyteczne, szymbarkowo-biskupinowe wycieczki „Cerkwie i meczety Kazania” czy „Wyspa Swijażsk”?

Ich zresztą też nie żałuję. Też miały swoje korzyści. Po pierwsze, widziałam dziewczynkę w rzadko spotykanej koszulce w i e l u m a r e k j e d n o c z e ś n i e. Po drugie, na wyspie Swijażsk miałam okazję skorzystać z pradawnej toalety publicznej. Pokręcona babinka, w nawarstwieniu chust wyglądająca jak gniazdo os z ludzką twarzą, zainkasowawszy parę kopiejek, nie tylko odwija stosowny kawałek papieru, wykonany prawdopodobnie z bardzo cieniutko pociętej kory. Ale też wybiera odpowiednią, nie za dużą i nie za małą kabinę i pryska do niej uniwersalnym zapachem lasu, zwracając się do wszystkich, nawet tych bardzo dużych, niewesołych i trzymających w ręku zakrwawioną siekierę, baśniowym zwrotem *miłok*. Z perspektywy tej ludzkiej usługi europejskie toalety zdają się zdehumanizowanymi inkubatorami społecznej alienacji, gdzie człowiek człowiekowi wilkiem,

a niereglamentowany papier klozetowy kręci się na rolkach jak pijany na karuzeli.

Duch orientalnego bezsensu zdaje się unosić nad większością naszych tu poczynań. Festiwal literacki, którego jestem prelegentką, sprawia wrażenie imprezy oddziału Międzynarodowego Związku Hipsterów w okręgu kazańskim; jest wszystko, przestrzeń pofabryczna, wegańskie burgery i dużo yerby. Jednak jedyny zainteresowany merytoryczną dyskusją z nami czytelnik to redaktor naczelny „Gwiazdy Powołża”, który ofiarowuje nam numer pisma z artykułem o domniemanym polskim pochodzeniu szlacheckim Żanny Biczewskiej. Inny natomiast robi nam awanturę, że nasze polskie wyrzekania na Rosję są doprawdy mocno na wyrost, biorąc pod uwagę fakt, że po wojnie przez wiele lat Rosjanie wysyłali nam całe swoje jedzenie, w tym czasie sami żywiąc się t r a w ą, przez co jego matka straciła wszystkie zęby. Widać przy tym, że nie żartuje, i poczuliśmy się co najmniej głupio, że może nie my osobiście, ale że jako naród wykończyliśmy tak matkę tego typu. Nawet jeśli tylko w jego wyobraźni. Reszta osób, które nas zagadują, zainteresowana jest głównie robieniem sobie z nami upamiętniających trudno-powiedzieć-co zdjęć.

Nie mając więc nic o wiele lepszego do roboty, pozostałe dni spędzamy, szwendając się po Baumana. To coś w rodzaju tatarskiej odpowiedzi na Piotrkowską; ni to mózg, ni to serce, ni to jelita miasta. Ze znajomą oku architekturą lubelskiego miasteczka, McDonalodem, sushi i alfabetem niezbyt atrakcyjnych atrakcji, w sezonie letnim daje koryto porywistej ludzkiej rzece. Turyści, gówniarze, zakochane pary. Menele, potatuowani żebracy, młodziki po dopalaczach, a przede wszystkim piękne, smutne Tataraki. Naburmuszone księżniczki z tysiąca i jednej nocy nienoszące w ogóle spodni; długowłose, smukłe jak trzcinki. Patrząc, jak wypływają ze wszystkich szpar na falach swoich kwiecistych, szepczących sukienek, koronek, lśniących włosów i kolczyków, człowiek od razu zaczyna się namyślać, czy było sobie robić ten balejaż, tatuaż, ombre, różowe pasemka i przerabiać usta na odbyt. Towarzyszą im często mężczyźni zupełnie niewyględni, nieatrakcyjni, z grzywkami, niosąc władczo ich torebki.

Baumana staje się naszą codzienną mantrą. Rano sprzątana przez brygady staruszków. Potem długo, długo nic, otwierające się straganiki

z filcowym badziewiem, chiromancją, refleksologią i rybami. Potem stopniowo, koło jedenastej, zaczynają mnożyć się atrakcje. Czyli: dziewczynka z małym susłem w klatce. Wielka Myszka Miki, mocno nieświeża, z pociągłym i smutnym pyskiem; najprawdopodobniej uzależniona od alkoholu. Takie jak ona leżą w lumpeksie całymi tygodniami i tylko Maciej Chorąży je kupuje. Wreszcie, po południu, szturm na Baumana przypuszcza sekcja performatywna. Czyli najpierw dwa jebutne transformersy. Indianie peruwiańscy grający na piszczałkach z elektronicznej kory dębu. Potem dwóch biedahipsterów śpiewających do gitary przeboje britpopu w kręgu rozmiędlonych dziewcząt. Jeśli dodać do tego acid-techno ze sklepiku z fluorescencyjną watą cukrową i agresywny smoothjazz z restauracji amerykańskiej (oferującej nie tylko *drinks*, ale też *eats, views and musics*), a także ezoterycznych punkowców grających na zmianę na kle dinozaura i zespół jakichś młodocianych fanatyków religijnych chwalących miłość Jezusa śpiewem i tańcem synchronicznym, to przyćmić ich może wyłącznie rozstawiająca się tuż przed naszym hotelem rosyjska odpowiedź na Jacksons 5.

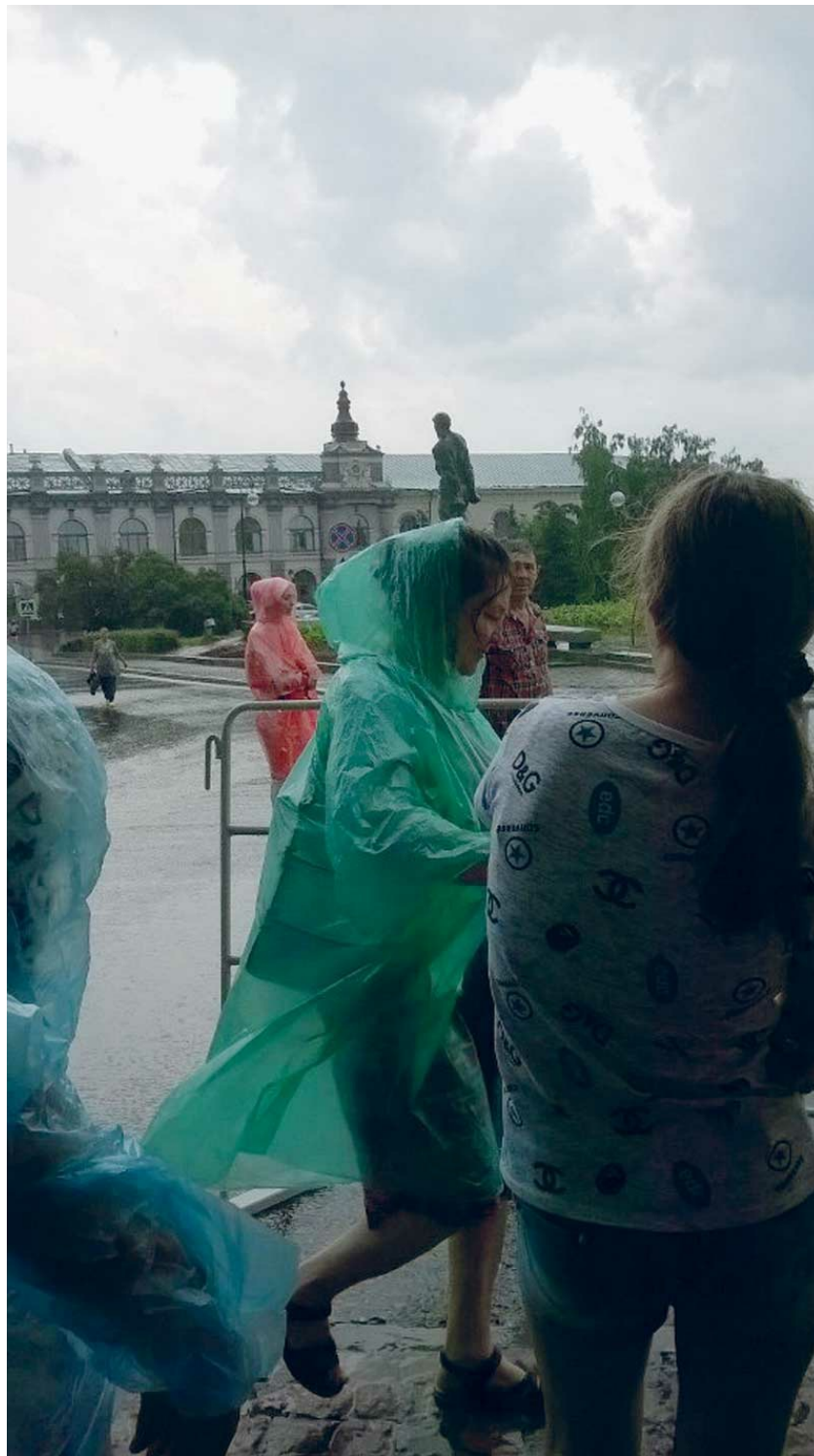
Pośrodku siada sporych rozmiarów ojciec, zupełnie przeskalowany chłop, oczywiście z grzywką. Po bokach dzieci niezwyklej maleńkości. Dziewczynka na oko siedmioletnia, ze skrzypcami wielkości bułki paryskiej, w odświeżonej sukience i podkolanówkach, nad wiek poważna, by nie rzec – okropnie smutna. Obok jej braciszek z małą wiolonczelą, też niewesoły dziesięcioletni starzec; po bokach taty wyglądają jak małe ludzkie kolumny. Za nimi starszaki – ewidentnie w okresie skoku pokwitaniowego... Cały wieczór wygrywają przeboje Beatlesów i największej beznadziejności evergreeny, aż dzieci zasną przy swoich instrumentach... Wreszcie – stacjonujący w okolicy McDonalda prawdziwi królowie Baumana. Dwa opryszki i ich zwariowana zoologiczna banda: przebrana za człowieka małpka, wielka papuga i sowa płomykówka. O ile dwie pierwsze mieszczą się w jarmarcznej, deptakowej konwencji, o tyle pogrążona w ciężkiej depresji sowa, drażniona do zdjęć, wydająca przejmujące dźwięki rodem z horroru, przywiązana za nogi do statywu, sprawia bardzo przygnębiające, nieunijne wrażenie. Zwieńczeniem wszystkiego jest zespół weteranów wojennych, którzy o kulach i z rękami na temblakach cisną rozdzierające casio polo o Afganistanie...

Ani szybko, ani powoli nadchodzi dzień wyjazdu. Oczywiście nasz umówiony transport na lotnisko nie przyjeżdża i czekamy godzinę na słońcu, przeklinając całą tę organizacyjną bardachę, my, Polacy, przyzwyczajeni, że wszystko chodzi jak w zegarku. W walizce mamy „Gwiazdę Powołża”, perfumy Sawa, chipsy o smaku nówek z chrzanem, gipsowego kota i koszulki z trykotażu – komplet rzeczy niezbyt pięknych, ani też wartościowych czy praktycznych, stanowiących zmyślny pomost pomiędzy pamiątkami a śmieciami oraz zgrabną metaforę naszych wspomnień z Tatarstanu. Kolejny miesiąc walając się po domu i szukając swojej skomplikowanej, ale nieuchronnej drogi do śmietnika, zdają się przypominać nam, że turystyka to bezustanne balansowanie pomiędzy byciem nauczycielką a Danielem Kalderem, ciągłe negocjacje pomiędzy nudnym sensem a ciekawym, ale bezsensownym bezsensem.

Na koniec cykl fotograficzny „Mój magiczny Kazań”.



Tatarska rodzina patchworkowa: dwóch mężczyzn i ich troje dzieci-zwierząt. Więzy rodzinne zostały na wszelki wypadek pomysłowo wzmocnione sznurkami.



Jednomarkowość to przeżytek. Ubrania, sprzęty i samochody wielu firm jednocześnie uwalniają od tortury wyboru.





Dywany z milusiami. Władimir Putin i Ramzan Kadyrow. Czekam na inicjatywę polskich producentów.

Wólka Kosowska

Noże lśniły w słońcu. Możliwe, że ich ostrza były tak ostre, że mogły przeciąć i chleb, i pępowinę, i żyły, i węzeł gordyjski. Możliwe jednak też, że były bardzo tępe, tak że można było nimi kroić tylko purée z kartofli. Ale za to było ich w tym pudełku bardzo dużo. Były tam noże do żył i do pomarańczy, noże do ostryg i do uroczystych wstęp. Otwieracze do puszek, skrobaczki do pięt i cążki do skórek. Do małych skórek. Do dużych skórek. Mogło się zdawać, że były tam wszystkie noże na wszystkie okazje, jakie może człowiekowi naraić ślepy los, a tych nie jest wcale mało. W życiu potrzebne są noże, a te, oprócz niewątpliwej mnogości, miały jeszcze dodatkową zaletę.

– Tania cena – zachęcił nas chłopiec dwunasto-, może trzynastoletni, na tyle, na ile się znam na chłopcach. – Pani, kup.

Twarz miał ładną, dziecinną, niezepsutą jeszcze od hormonów, świństw i masturbacji, choć jego oczy były bardzo czujne, co dodawało mu dziwnej dorosłości. Patrzył na nas nieustępliwie, bez zachowania unijnych norm patrzenia się, poza tym cały czas kontrolował też parking i wzrokiem porozumiewał się z drugim. Trzymał oczami całość sytuacji, jak planszę jakiejś gry, w której przegrywał, a resztki nadziei były już tylko w rozpaczliwym pilnowaniu.

Było bardzo gorąco. Był ostatni dzień szkoły, choć nie sądzę, by fakt ten dotyczył tych chłopców. Najprawdopodobniej uczęszczali oni tutaj, na parking przed Biedronką w Wólce Kosowskiej, do niższej szkoły kręcenia się, kombinowania, kukania, zagładania, czatowania, wgapienia się w oczy potencjalnych nabywców i nietraktowania „nie” z przesadną dosłownością. Ewidentnie nie było też w niej dziś zakończenia roku.

Nagrzany asfalt topił się, a obraz falował. Od kilku godzin próbowaliśmy dostać się na działkę, jednak kołowrót perypetii i slapsticków, w który wpadliśmy, nie chciał się zatrzymać.

(Najpierw popsuł się samochód i mechanik jako auto zastępcze zaoferował nam wywleczone z jakichś czeluści cinquecento. Staliśmy z otwartymi ustami, gapiąc się na odrapany, psu z gardła wyciągnięty samochód zabawkę, skłonny rozsypać się od pacnięcia ptasiej sraki. Jednak jego ikoniczność, mnogość przywoływanych przezeń wspomnień i znaczeń kompletnie nas omamiły). (Za chwilę już pruliśmy dwadzieścia kilometrów na godzinę wśród zdeorientowanych spojrzeń przechodniów; było to jakby jechać pralką, czy też znalezioną w lesie kuchenką gazową, w dodatku włączoną. Szalenie zabawne, jednak prędko musieliśmy sami przed sobą przyznać, że to nie może się udać. Mechanik nie był bardzo zdziwiony, gdy wróciliśmy. Tym razem dał nam samochód środka: skodę. Równie nienowa i zdezelowana, w bagażniku miała duże mokasyny męskie; niegdyś wyjściowe, na śluby, chrzciny i wyjścia do opery, dziś zdegradowane do roboczych, używane do piwnicy i chlewika).



(Piątkowy wyjazd z Warszawy w porze popołudniowej – synonim złego pomysłu. Podróż była koszmarem, skoda gotowała nas na wolnym ogniu. Próbowałam czytać, jednak uniemożliwiały mi to ciekące psu z pyska, zalewające kartki strugi śliny. Odlepiając od ciała ubranie, ciągle usiłowałam sobie bezskutecznie wyobrazić zamarzający zimą przystanek autobusowy

i co właściwie mi w nim wtedy przeszkadzało. Przesuwaliśmy się w korku powoli, wśród schludnych nieużytków, pociętych estakadami i plastikowymi ekranami wielkich pól niczego. Wśród sieńczykoprzestrzeni o anemicznych kolorach, usianych wątłą trawą, na których rzadkie kubiki budynków i silosy wyglądały jak zbiegłe z sali od matmy modele brył geometrycznych).

(Potem zaczęła się Wólka Kosowska, skolonizowana przez Wietnamczyków planeta hurtowni tekstylnych i opuszczonych zajazdów).

(Wreszcie Biedra. Tam handlowali zestawami „Variety of knives!” – „32 items!!” – ci dwaj mali, smutni, ładni dorośli).

Co innego mężczyzna, któremu usiłowali właśnie (po naszej odmowie) sprzedać noże. Też był dorosły i niewesoły, ale Bóg nie obdarzył go urodą. Opierał się on o swoje audi a6, kończył właśnie niespiesznie jedzonego arbuza, a potem rzucił skórę na ziemię, z pogardą dużo większą, niż można się było tego spodziewać w kwestii arbuza. Wy – zdawał się mówić do chłopca – tam w tym swoim śmierdzącym kraju skóry od arbuzów całujecie, gdy upadną. My po prostu wyrzucamy je na ziemię, o tak.

– Ile – powiedział raczej, niż spytał.

– Piendziesiąt – odparł chłopiec, prezentując skrupulatnie pudełko.

Mężczyzna przyjrzał mu się uważnie i obtarł twarz z soku przedramieniem. Była od słońca ciemna i tłusta jak grillowana karkówka, jasnobłękitne oczy tkwiły w niej głęboko jak dwa niesympatyczne klejnoty z Jabloneksu. Do różowej polówki dobrał rybaczki, do irokeza dobrał klapki, to nie były jakieś tam klapki, tylko drogie klapki z TK Maxxxxxx. Wyjął jeden z noży i oglądał wnikliwie jego ostrze, tak że niemal ocierało się o policzek chłopca. I co – zdawał się mówić – co jeśli teraz, stojąc tak, potknę się o kamień lub ktoś popchnie mnie, przechodząc?

Chłopiec też ewidentnie się nad tym zastanawiał. Ale widocznie doświadczony już w takich męskich przekomarzankach, wiedział, że nie może się cofnąć. Więc patrzył tylko w asfalt z wielką grzecznością, gotowy w każdym momencie do pięknego dygnięcia.

– Dam ci dwadzieścia – powiedział mężczyzna, patrząc mu w oczy. Z tonu można jednak było się spodziewać, że będzie to najgorsza dwudziestka, jaką

ten mężczyzna ma, ta, którą wyciera sobie zawsze dupę.

– Nie – pokręcił głową chłopiec. Polski biznesowy, w którym tak sprawnie potrafił oddać różne odcienie taniaści, nie umożliwił mu bardzo długich dyskusji.

– To dam ci dziesięć – powiedział mężczyzna.

Dalszych losów negocjacji już nie znam. Chwilę później jednak widziałam chłopca, jak wchodzi do sklepu. Bierze wodę i ustawia się w kolejce, która przesuwa się niemrawo obok zamrażarek. Leżą tam za szybą lody: inkrustowane truskawkami mrożne morza śmietan, drżące listki mięty, oszroniona czekolada, piękne i nęcące jak halucynacje w gorączce. Chłopiec gapi się w nie jak sroka w gnat. Na niego z kolei gapi się ochroniarz. Chłopiec wie, że jest obserwowany. Rzuca spod jedwabistych rzęs mimowolne spojrzenia, sięga i się cofa, przestępuje z pogryzionej przez komary nogi na nogę podrapaną przez gałęzie, zdrapuje strupa z łokcia, otwiera i zamyka klapę zamrażarki; wysuwa język do fantomowego lizania, wykonuje całą mimowolną pantomimę pożądania. Jednak kolejka zaraz rusza do przodu, unosząc go ze sobą, taśma przesuwa się, lody odpływają w dal. Szansa przepada, dwunastoletni dorosły zostaje z niczym.

Gdy kupuję dwa lody (jakby w ramach przeprosin, od wszystkich Polaków, że jest tak gorąco, że jest tak chujowo, ale też żeby sobie ulżyć, że wszystko jest takie niesprawiedliwe i nienormalne) i wychodzę przed sklep, chłopców już nie ma. Zniknęli, rozpułnęli się. Może byli tylko ułudą, przebrany za nich Chrystusem.

Słońce powoli już zachodzi. Jedziemy na działkę, wpychając bez smaku te topiące się lody, żeby się nie zmarnowały.

Słoiki

Z dużym prawdopodobieństwem można powiedzieć, że k a ż d y z nas wie już, na czym polega konwencja paradokumentu. Nie mówię o tych, co przez ostatnie dziesięć lat byli w śpiączce albo w klasztorze... Jednak już ci, co spędzili ten czas w szpitalu czy więzieniu, słysząc *W11* czy *Ukryta prawda*, na pewno nie wykrzykują teraz: „Co to takiego?? Pierwsze słyszę!”. Wiedzą nawet ci, którzy wcale by nie chcieli; nieposiadanie telewizji nikogo tu akurat przed niczym nie broni. *Trudne sprawy*, *Szkoła* i *Szpital* mogą zawsze wyskoczyć z ekranu i rzucić się na nas w hotelu czy na wigilii u rodziców. „Mięśny jeź” z *Pamiętników z wakacji* zajął trwale miejsce we współczesnej polszczyźnie i z powodzeniem patronuje zapiekankom, gyrosom i pizzy. Fraza: „Tata zrobił kupę do bidetu”, choć o mniejszym potencjale gastronomicznym, również na trwale wpisała się w naszą kulturę, i myślę, że wypłynie jeszcze kiedyś jako hasło w *Kole fortuny* w kategorii „cytat”.

Rarogowaty, uwłaczający widzowi umysłowo gatunek jest tak jawnie koszmarny, że na świecie rządzącym się prawem boskim powinien zniknąć, nim jeszcze się pojawił. A jednak tak się nie dzieje. Co więcej, produkcje zdają się pokątnie rozmnażać między sobą, problematyzując życie kolejnych grup zawodowych i społecznych i zajmując w polskim krajobrazie medialnym pozycję coraz stabilniejszą, jeśli nie dominującą. Dlaczego tak się dzieje? Na to i na wiele innych pytań będziemy szukać dziś odpowiedzi, analizując serial *Słoiki* w moim Kąciku Kultury Drastycznej (U).

Może zastanawialiście się, dlaczego dodałam to U na końcu ostatniego zdania. Tak, pozornie bez sensu, ale chciałam, byśmy Kącik mogli nazywać między sobą KaKaDU. Oglądanie kolejnych części paradokumentu jest jak schodzenie w mrok, w dół, w nicość; krótkie i łatwe do zapamiętania hasło pozwoli nam nawoływać się w ciemności, kiedy i tak prawdopodobnie będzie już dawno za późno.

Pierwsze odcinki, pierwsze sceny – to zawsze uzasadniony wstrząs, wprost

za nim zaprzeczenie (ang. *denial*), chęć wycofania się; może się wiązać z niechęcią, rozdrażnieniem, apatią, agresją. Umowność rodem z sesji RPG lub dziecięcej zabawy, zbrodniczy poziom aktorstwa naturszczyków, psychiatryczne dialogi, puste wnętrza, w których za rekwizyty codziennego życia robią słomkowe kapelusze i wszędobylskie patery z owocami... Jak to możliwe w roku 2016, gdy serial staje się osobną dziedziną sztuki i sięga po najbardziej nowatorskie środki filmowego wyrazu? Gdy technologiczne zaawansowanie i sugestywność tych ostatnich tak bardzo przekształciły naszą percepcję, że jesteśmy w konsekwencji skłonni nudzić się nawet przy klasykach światowego kina? Dlaczego w takim kontekście mamy do czynienia z rozkwitem filmowej opowieści w odświeżonej ostentacyjnie chromej, bezwstydnie pokracznej? Wreszcie – tak niskobudżetowej, że podchodzi już bardziej pod formę literacką – pod coś w rodzaju opowiadania ilustrowanego ruchomymi obrazami. Dlaczego polscy widzowie chcą się tarzać w tej beznadziei od rana do wieczora? Odpowiedź jest złożona, i by się do niej zbliżyć, obejrzałam bardzo wiele odcinków serialu *Słotki*, opowiadającego o życiu osób przyjezdnych w Warszawie. „Kakadu! Kakadu!” – krzyczałam bezustannie, jednak odpowiadało mi tylko echo, może dlatego, że było to przed napisaniem tego tekstu i nawet ja nie znałam jeszcze tego hasła.

Po ochłonięciu dochodzę do wniosku, że ta formuła jest w jakiś, podkreślam: j a k i ś, sposób genialna. Bo oto w ramach ściśle przemysłowej, cynicznej polsatowskiej produkcji na amerykańskim formacie powstaje polska sztuka ludowa. To cud: to jakby z taśmy produkcyjnej wielkiej fabryki w Chinach wychodziły ręcznie malowane kubki albo połączane łąbiedzie z opon. Jednak każdy cud gdzieś się kończy, a ten kończy się już tu. *Sędzie Anny Marie Wesółowskie, Słotki i Szkoły* powstają przy najniższych możliwych budżetach jako tło do reklam, które pod pozorem fabularności utrzyma widza przed telewizorem. Już sama ich struktura, pełna powtórzeń, przypomnień i podsumowań, jest zaprojektowana jako stelaż pod treści reklamowe. Wydarzenia wydarzają się, a jednocześnie opisywane są przez bohaterów, podsumowywane przez narratora i opatrywane briefami na pasku. Dzięki temu programy te można zacząć oglądać nawet w ostatniej minucie, a i tak trudno czegokolwiek nie zrozumieć. Wspaniale egalitarne, integrują przed telewizorami osoby od lat jeden do stu i z inteligencją od stu

do jeden. Tanie, nieaspirujące do jakiegokolwiek jakości, mają socjologiczną reaktywność tabloidu, której najszybciej nawet robiony serial, z najlichszymi aktorami i dekoracjami nigdy nie osiągnie. Efekt uboczny to rycząca prymitywność obrazu, ale twistem w całej sytuacji jest fakt, że regresywne, antynowoczesne środki wyrazu, wybierane przez twórców z powodów budżetowych, pracują na sukces konwencji.

To już nie są tasiemce o projektantkach mody dla gospodyń domowych i o królach dla żebraków – opowieści rozbudzające marzenia i aspiracje materialne i uczuciowe, w których nawet zwierzęta gospodarskie są grane przez ludzi pięknych, zoperowanych plastycznie, o czystej dykcji i poprawnej frazie. Paradokumenty to neoseriale lustra, zaludnione przez niepięknych, niezoperowanych, grubych, bełkoczących, śmiesznych, takich jak ty i ja. Lustra, w których rzeczywistość jest (niemal) tak brzydka jak w rzeczywistości, a meblościanki ciągle zalepione są kalkomanią.



Więc mimo że ich proveniencja jest skrajnie przemysłowa, to są oddolne; tak jakby szarzy ludzie z bloków wzięli się do kupy i zrobili sobie wreszcie (z drobną pomocą telewizji) własny serial, tak jak umieli; każdy przyniósł, co miał najlepszego. Albo i najgorszego: we wspomnianej już przeze mnie kultowej scenie, w której okazuje się, że tata zrobił kupę do bidetu, i każdy członek rodziny po kolei zagląda do muszli, by stwierdzić tam obecność wypikselowanego balasa, wyczuwalne jest coś jeszcze. Bliźniacza do linczów pod postami „Pudelka”, infantylna rozkosz defekowania w salonie, rzygania jaśniepanu do fortepianu. Zemsta statystycznego Polaka za całą fikcję telewizyjną i celebrycką, za te lata pokazywania mu wyphotoshopowanych twarzy, wypożyczonych samochodów i designerskich wnętrz. Popularność paradokumentu, niestroniącego od tematów tabu, wulgarności i dantejskich scen, obsadzonego ludźmi o pospolitych aparycjach i prostackiej ekspresji, zdaje się właśnie taką medialną rabacją. „Chuja tam, wielcy aktorzy!” – zdają się krzyczyć naturszczycy. – „Wcale was nie potrzebujemy, też tak umiemy!” Polsat i TVN zdają się tu tylko producentami wykonawczymi, czy też alfonsami całego tego procesu.

Pozostaje pytanie: czy ta słynna p r a w d z i w o ś ć paradokumentów jest aż taka prawdziwa? Czy rzeczywiście są one bliżej polskiej rzeczywistości niż prawidłowe produkcje TVP? Moim zdaniem nie; są po prostu w inny sposób daleko. Bo to seriale u d a j ą c e seriale, imitacje imitacji. Uproszczone dekoracje symbolizują dekoracje, a zatrudnieni zwykli ludzie swoją grą odtwarzają grę aktorów grających zwykłych ludzi. Nawet dialogi udają tu dialogi serialowe: nieprofesjonalni aktorzy próbują zagrać potoczność, jednak odruchowo zbaczają w znany sobie z „prawdziwych” seriali język oficjalny. Mają też pewne swoje wyobrażenia o elegancji i światowości językowej, z jaką należy występować w telewizji. Efekt wcale nie poraża naturalnością:

„– Gabrysia, to ty? Co za spotkanie! Nie wierzę, cieszę się ogromnie, że cię ponownie widzę.

– Hejka. Wiesz, mam chwilę wolnego czasu. Nad rzeką jest fajny nowy pub, może przejdziemy się tam razem?”.

Ciekawie robi się też, kiedy improwizujący porywają się na stylizacje językowe, próbując odgrywać sposób, w jaki mówią na przykład ludzie ze wsi. Najczęściej obierając spontanicznie ścieżkę mieszania staro-cerkiewno-

słowiańskiego ze swoją osobistą ekspresją językową:

„– Szczerze? Dobry Bóg mnie cię chyba zesłał, Aniela.

– Powiem może tak: sama nie będę krasuli doła, taaak?”.

Ponieważ improwizacje bazują na naturalnych zasobach umysłowych naturszczyków, pełne są topornych kalk i komunałów. Wracający do domu lekarz powie więc: „Ech, miałem ciężki dzień w szpitalu. Leczyłem tam wielu pacjentów. Byli chorzy”. Zaś nauczyciel: „Jestem zmęczony. Wiesz, jak to w szkole. Lekcje przedmiotu, klasówki, uczniowie, tablica”.

Skupiając się na samych *Słoikach* – z nie inną głębią i ostrością socjologicznego rozpoznania zarysowane zostaje tutaj życie osób przyjezdnych w Warszawie. Osób, które czy to niezwykajne jedzenia na mieście, czy też z gospodarności, przywożą ze sobą do wielkiego miasta pożywienie w szklanych pojemnikach zakręcanych. To rzadki przypadek, gdy twórcy zdecydowali się wypełnić format socjologicznym, w pełni namierzalnym konkretem.

Sama mieszkam w Warszawie i z niejednego słoika chleb jadłam. Wybrałam do dyskusji w Klubie Kultury Drastycznej (U) ten, a nie inny serial, bo opowiada poniekąd o moim życiu. Wydawało mi się, że oglądając go, będę mogła jednocześnie patrzeć w lustro i w okno, szukając elementów różniących obrazki, i w ten sposób łatwo oszacuję, ile w idei paradokumentu jest prawdziwego życia Polaków, a ile tajemniczego pierwiastka „para”. Zdawałam sobie sprawę, że już sam dobór na motyw przewodni sztucznie wykreowanego stereotypu (choć dość sprawnie wykreowanego) jest zapowiedzią wachlarza wszelkich możliwych uproszczeń i uprzedzeń, który zaraz się rozłoży. Ale nie spodziewałam się, że świat przedstawiony jest z a m i e r z o n y m teatrem klisz i schematów.

Wsie i małe miasteczka to bieda, kurze fermy i zaściankowa mentalność, determinowana lękiem przed szatanistami, księdzem, tym, „co ludzie powiedzą” i „będą na nas gadać, że tak bez ślubu”. Ale to też uczciwość, serdeczność, dobre serce prostego człowieka. Warszawa natomiast to demoniczna metropolia, Nowy Jork Niziny Mazowieckiej, a może i nawet Garbu Łódzkiego, pełen występku, zboczeń, buddyzmu i wyścigu szczurów; świat, do którego akcesu bronią zdeterminowani, chorzy z ambicji

pracownicy agencji reklamowych, fryzjerzy geje i bezdzietne dyrektorki kreatywne. To właśnie na tej wojnie światów walczą bohaterowie, lądujący w Warszawie na z góry przegranej pozycji, bezbronni jak małże wobec drapieżnych autochtonów. Wałęsają się po stolicy jak jelonek Bambi po autostradzie, lżeni i wyśmiewani („Przyszywany warszawiak! Idź kury macaj!”, „Warszawy ci się zachciało, kuźwa, słoikowi!”). Jednak źli prędeży czy później wpadają we własne sidła, a oliwa na wierzch wypływa. Obowiązkowo muszą też pojawić się w pewnym momencie rodzice z torbą sumką pełną konfitur i bigosów („Bo w tej Warszawie to nie pojesz”) i motyw odgrzewania frykasów w garnczku na niezapalanej kuchence.

Schemat na schemacie, banał na banale, grube nici grubymi nićmi szyte. Ale o to właśnie chodzi. Wszystko to tworzy stabilny, przewidywalny stelaż pod poszczególne historie, które... „Kakadu! Kakadu!” – krzyczałam, a wszyscy tylko myśleli, że wzywam popularny gatunek papugi. Bo poszczególne historie to prawdziwy stek bzdur, wielka loteria umysłowych śmieci, w której bębnie kotłują się tabloidowe awantury, gusła, legendy miejskie i inne potoczności. Łączą je instynktowne, ludowe taktyki narracyjne: bezustanna walka dobra ze złem, beztroskie zwody fabularne (pigulka gwałtu ukryta w kanapce z krakowską suchą; nagle odnajdujący się w pobliskich krzakach krewny) i baśniowy schemat.

Ale te śmieciowe ploty są właściwie nieważne, mają po prostu widza wciągnąć. Liczy się sam proces opowiadania, bajania przy jesiennym obieraniu kapusty, gdy wiatr świszczy w kominie. Ponieważ telenowełe paradokumentalne, które w ostatnich latach szturmem wzięły telewizję, i to raczej nie koniec ich ekspansji, to neogawędy ludowe, odwołujące się do bardzo pierwotnych funkcji narracji. Do opowieści jako formy społecznego współbycia; s p ę d z a n i a razem czasu; wspólnego zabijania go. Zimowania, przeczekiwania, mentalnego koczowania. Ich targetem są „niemłodzi, niewykształceni, z niewielkich ośrodków”, „niełapiący się na *Grę o tron* i *Stranger Things*”. Ci, którzy chcą, żeby po prostu coś znajomo wrzeszczało i szarpało się w tle, kiedy jedzą wodzionkę. Ci, dla których telewizor jest często jedynym rozmówcą i krewnym, oknem na świat. I to przed nim, jak zimę, przeczekują zły czas.

Szamanka

Gdyby Andrzej Żuławski nie poszedł na pogrzeb Ministerstwa Kultury, tobym sobie to spokojnie wytłumaczyła. Ale żeby nikt z Ministerstwa nie przyszedł na pogrzeb Andrzeja Żuławskiego, to już podważyło niedobitki mojej wiary w poczytalność nowych jego oficjeli. Jeśli był to świadomy akt – sromota, jeśli akt nieświadomości – jeszcze gorzej. Pocieszające jest tylko, że sam zainteresowany byłby pewnie takimi gośćmi zupełnie niezainteresowany. I że jego odbywający się w wieloznacznej ciszy pogrzeb, pogrzeb bez pocztu sztandarowego, surm zbrojnych, koni, kościuszkowców, czołgów, arcybiskupa, Świętego Wojciecha i pierwszych dam, których wysmakowana elegancja jest wprost proporcjonalna do niemoty, był pogrzebem godnym naczelnego raroga polskiej kultury współczesnej, arcybarona artystycznej wolności.

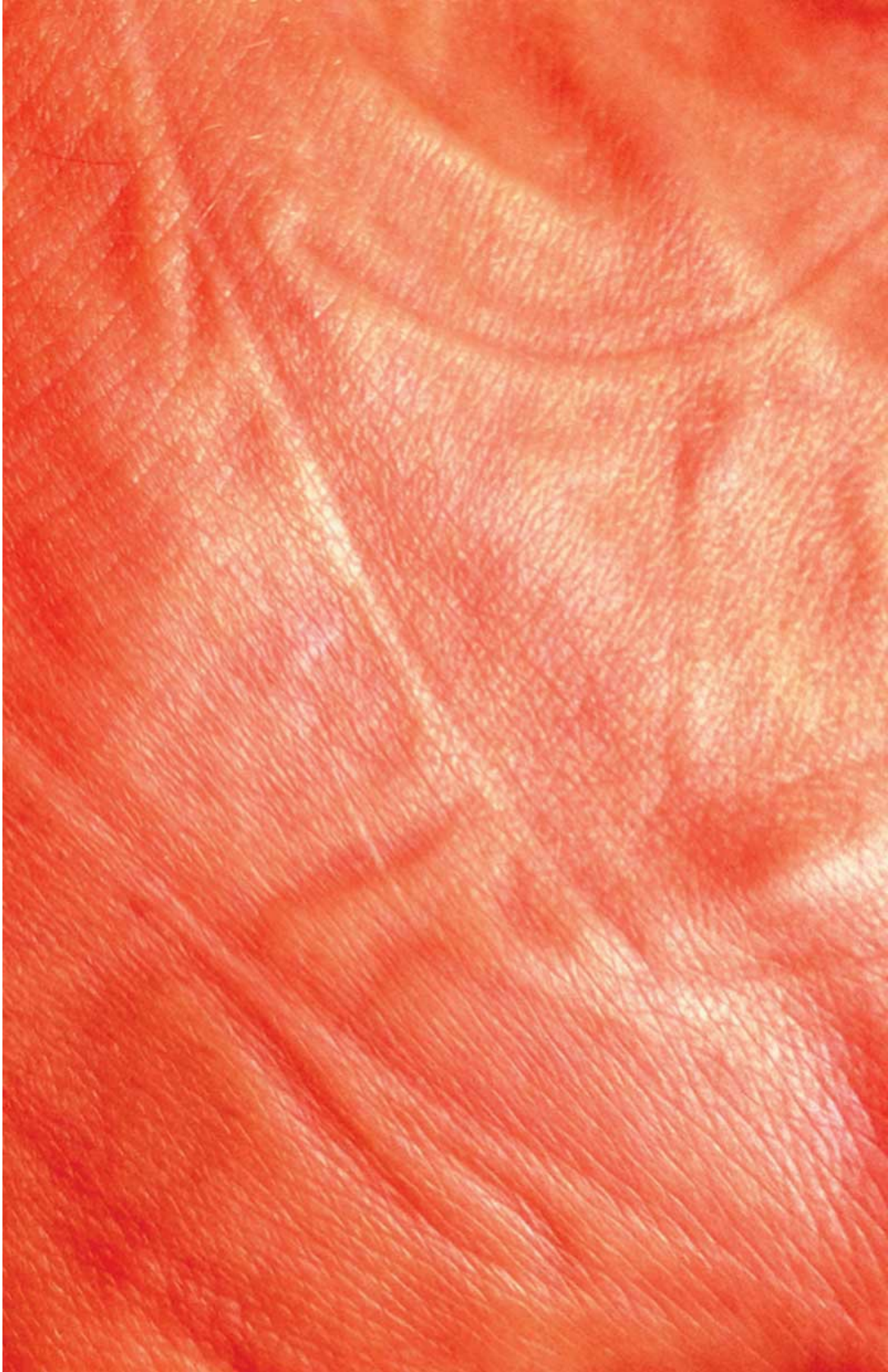
Paradoksalnie część jego twórczości z gracją wpisuje się w fokusy nowej polskiej polityki kulturalnej. Jest nawet coś o Chopinie! Ministrowi na pewno by się podobało, zwłaszcza gdyby nie obejrzał. Ale żarty żartami: podczas gdy ten ostatni snuje swoje słodkie fantazje o superprodukcji historycznej, szastając prefiksem „super”, jakby chciał się popisać znajomością najnowszego młodzieżowego slangu, *Trzecia część nocy* czy *Diabeł*, które Żuławski kręcił na początku lat siedemdziesiątych, pozostają modelami wybitnej artystycznie krytycznej refleksji nad Polską i jej historią. Refleksji, które wyprowadzają ją daleko poza jej hermetyczne zawilości, w rejony filozoficzne i uniwersalne, jednocześnie nie rezygnując ze sznytu popowego.

Oczywiście w idealnym świecie. W nieidealnym na uroczystej projekcji pokazany został *Kosmos* według Gombrowicza po francusku z angielskimi podpisami, bo nie było wciąż polskich; w sieci krąży zwiastun *Smoleńska*, zwiastujący Smoleńsk przede wszystkim artystyczny, zaś nowymi twarzami polskiej kultury współczesnej są Maria Skłodowska-Curie i Papież, p a p i e ż (nie mylić z tym... no jak on się nazywa... z tym kimś...), (no z tym, co się

teraz podaje za papieża...), (nie wiem).

Tematem tego tekstu nie ma być jednak nowa polska polityka kulturalna. Ma być nim stara polska polityka seksualna, czy też raczej antyseksualna.

W tym roku mija dwadzieścia lat od premiery jednego z najbardziej enigmatycznych, nieudanych, okropnych i fascynujących zarazem polskich filmów lat dziewięćdziesiątych, *Szamanki* Żuławskiego według scenariusza Manueli Gretkowskiej. Choć ma on na świecie swoich fanatyków, w Polsce ciągle owiany jest najgorszą sławą. Odsądzony od czci i wiary przez krytyków, których recenzje to osobny materiał na esej „Metafora fekalna w krytyce filmowej”, wala się po dworcowych stoiskach „10 DVD za 5 złotych”. Wciąż kojarzony jest głównie ze skandalem, który wybuchł wokół rzekomego załamania nerwowego odtwarzającej główną rolę aktorki nieprofesjonalnej Iwony Petry, i z księżmi nawołującymi z ambon do jego bojkotu.



Sama Iwona Petry kilkakrotnie w wywiadach dementowała pogłoski o nerwicy i depresji, których nabawiła się na planie, ale ta legenda to już legenda. Psychologowie łamali ręce nad kulturowym przekroczeniem, do którego młoda kobieta została nakłoniona w scenach seksu, a aktorki profesjonalne – nad brakiem wykształconych granic, które chroniłyby naturszczyka przed nadużyciami reżysera.

Obsadzenie w głównej roli zauważonej w kawiarni dziewczyny skończyło się dla samego dzieła dwuznacznie. Tytułowa szamanka jest hiperseksualną, chaotyczną, poruszającą się bez ładu i składu, wręcz koziołkującą przez kadry pięknnością o słabym głosie i nienaturalnej frazie. Odpychającą i obcą widzowi, jednocześnie tak inną od aktorów o przewidywalnym, zawodowym asortymencie gestów i min.

Partnerujący jej w roli antropologa Michała Bogusław Linda, nieraz mający ewidentne trudności z zapamiętaniem wybujałych, hiperliterackich dialogów, jest natomiast archetypicznym Bogusławem Lindą. I Franzem Maurerem, i Leonem z *Sary*, z mimiką i frazą, których poblaski można ciągle wyraźnie zobaczyć w mimice i frazie całego pokolenia wychowanych na tych filmach mężczyzn.

Ciekawego waloru dodaje też dziełu opublikowany kilka lat temu *Trans* Gretkowskiej, pasjonująca środowiskowa powieść dezawuuująca szczegóły toksycznego romansu z reżyserem, romansu, którego *Szamanka* jest owocem.

Owoce chromym.

A jednak niesamowitym.

Cóż mogli spłodzić genialny mizogin i feministyczna wizjonerka po powrocie z emigracji w Paryżu do Polski gramolącej się dopiero z przełomu? Tylko potwora. Film niemożliwy, cały czas balansujący na cienkiej granicy, za którą nieobliczalność przechodzi w niedopuszczalność, a szaleństwo w idiotyzm.

Jest rok po premierze *Młodych wilków* Jarosława Żamojdy, w którym kobiety (bardzo nieliczne) wygłaszają frazy takie jak: „Chciałabym, żeby się ze mną ożenił. Mam już dwadzieścia trzy lata, ludzie już gadają, że zostanę starą panną”, bawiąc się rąbkiem spódnicy. Nawet występna Angelika z *Psów* to przy bohaterce duetu Gretkowska – Żuławski zapięta pod szyję

figlarczyka, raczej przedmiot, a nie podmiot seksualny. Dzika, szamocząca się po ulicach, żywiąca się mięsem z kociej miski „Włoszka”, która, jak mówi jej partner, „albo je, albo śpi, albo się pierdoli”, jest chodzącym seksem. Przyrodą, chaosem, wokół którego kluczą i tłoczą się polscy mężczyźni: mroczni, wulgarni, brudni, agresywni. Zwierzęciem, ale swoim własnym zwierzęciem. Rewersem kamiennej, białej, aseksualnej Madonny, przed której wizerunkiem w pewnym momencie przyklęka, ociekając swoją czerwoną szminką. Negatywem własnej matki, której „chce się srać” ze strachu, gdy myśli o katującym ją mężu, i zakochanej w księdzu staruszki, od której wynajmuje mieszkanie. Zmysłową debilką, targaną miłością ladacnicą. Jest wszystkim, co kultura katolicka usiłuje od zawsze z polskich kobiet wyegzorcyzmować.

Seksualne uniesienia kochanków, iluminacyjne i destrukcyjne jednocześnie, mają za tło szarą jak czyściec Warszawę lat dziewięćdziesiątych (na potrzeby filmu skontaminowaną z Krakowem), której Żuławski wraz z operatorem Andrzejem Jaroszewiczem dają niezwykle portret. Warszawę halucynacyjną, ołowianą, turpistyczną, pełną manowców, w których koczują orkiestry bezdomnych i zboczeńców; Warszawę lumpeksów, przejść podziemnych, kościołów, krzyży.

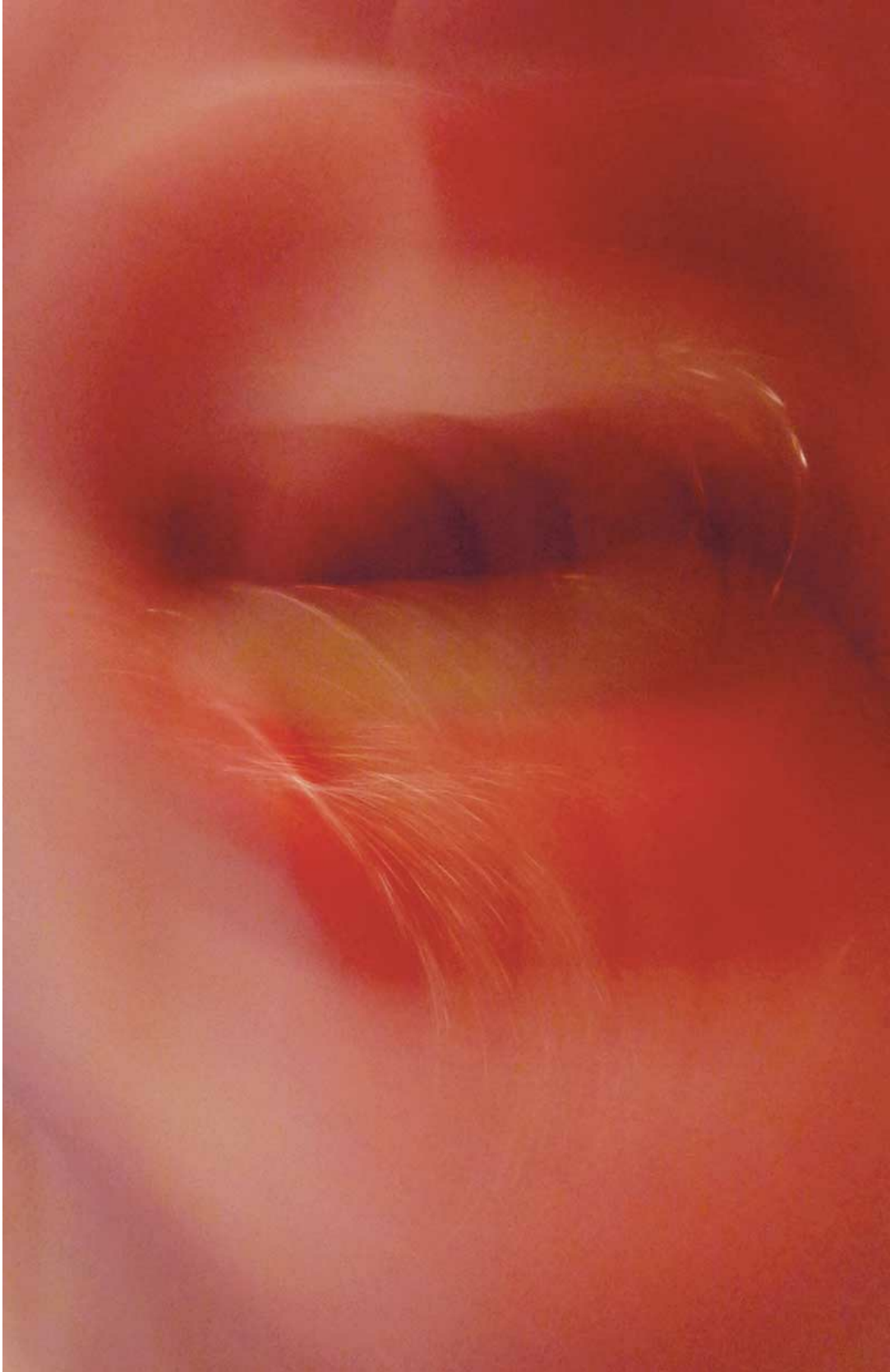
Łatwo od *Szamanki* się odbić. Tak jakby jej twórcy, dwoje skandalistów, to było o jakieś półtora skandalisty za dużo. Tak jakby popisywali się przed sobą nawzajem, kto w polskim obyczajowym ogródku lat dziewięćdziesiątych, w którym Kościół katolicki zaanektował już co bardziej strategiczne rabatki, bardziej nabroi. Jest więc ksiądz homoseksualista, jest wyjadanie mielonego z waginy i są szczury mielące się z mięsem w oślizgłej masarni. Plastikowy szaman sprzed tysięcy lat odkryty pod hutą i Paweł Deląg na rolkach handlujący uranem dziś mogą śmieszyć, a ogólna suma chorobliwości przybliżyć całość do wysokoartystycznej *Kłątwy Doliny Węży*. Ale jest to też film, który przy odrobinie realizacyjnego łutu szczęścia miał szansę być filmem bardzo ważnym. A tak czy siak, pozostał filmem odważnym. Dziwnym, poetyckim traktatem o seksie, o przenikającej się w nim zwierzęcości i duchowości, mistyce i religii. Także o opresyjnym kagańcu, który nakładał na te jego potencjały dominujący ówczesnie nad obyczajowością katolicyzm.

Nikt się takiej dyskusji już w polskim kinie nie podjął. I obawiam się, że takich drążących, filozoficznych pytań o seksualność może ono w najbliższym czasie nie zadać. A byłoby warto. Właśnie teraz, w 2016 roku, gdy seks, wybitnie niemistyczny i wybitnie niereligijny, za to o dużym potencjale marketingowo-komercyjnym, leje się na chybił trafił z reklam, mediów i internetu agresywnym strumieniem. A spocone piersi, uda i pośladki reklamują wszystko, od batonów po dachówki i traktory.

W tym świetle sceny miłosne z *Szamaneki*, spazmatyczne i fizjologicznie lepkie, opatrzone rytmiczną, szamańsko-pogańską muzyką Andrzeja Korzyńskiego (z nieodłączną nutką fascynacji Casio), już nie szokują. Nie są bardziej pornograficzne niż standardowy klip Miley Cyrus, oglądany przez dzieci przy lepieniu z ciastoliny. Dialogi perwersyjnych kochanków nie są wiele brudniejsze od tego, co krzyczą za przechodzącymi kobietami zrośnięte z iPhonami dwunastolatki pod pobliską podstawówką.

Jednocześnie po latach od premiery wyklętego thrillera, na której nie pojawili się ani Petry, ani Linda, znowu w jakimś paradoksalnym przetasowaniu historii, w polskich łóżkach i majtkach zjawia się Kościół katolicki. Niezreformowany, nadgryziony zębem czasu, w nieszczególnej formie, ale jak zawsze gotów do światopoglądowych porządków. Minister szkolnictwa nie przewiduje edukacji seksualnej, z aptek znika postinor, restrykcyjna i tak ustawa antyaborcyjna ma zostać zaostrożona. Patronką kobiet, i tych wierzących, i tych nie, znowu ma być Maryja Zawsze Dziewica ze szramami na twarzy. Jedyne błogosławione piersi to te, które ssął prezydent, a rzeczoznawcą w kwestii aborcji jest episkopat polski. Niedorzeczne? Schizofreniczne? A jednocześnie realne. „A wie pan, na co ja patrzę? – mówił Andrzej Żuławski w wywiadzie dla «Polska The Times» w 2014 roku. – Na to, jak oni są ubrani. Co to w ogóle są za ubiory, o co w nich chodzi? Wyobraża pan sobie, że facet w takich złocistych szatach i z pastorałem wyjdzie do sklepu, by kupić sobie bułeczkę?” „Tak! – chciałoby się odkrzyknąć mu w zaświaty. – Nie dość tego, po drodze wpadł do telewizji i wypowiada się o aborcji! O Boże, on wypowiada się też o wszystkim innym!” Oto prawdziwy thriller. Thriller od twórców „dobrej zmiany”. Zwanej coraz częściej „niezwykle złą zmianą, której jednak ostateczne wprowadzenie będzie wiązało się chyba z koniecznością wyłączenia w Polsce

internetu i przeniesienia jej terytorium w kosmos”.



Latem w mieście

Lata osiemdziesiąte w Polsce pamiętam wciąż jako Dni Wielkiej Szpetoty. Brudne kolory, betony, asfalty, smoły, wstrętne zapachy, złe smaki, brzydkie ubrania. A jednak mózg to sentymentalny fałszerz; z margaryny by zrobił magdalenkę. Ołowiane powidoki tracą kanty, szklą się i rozmazują w zażawionych oczach. Betonowe ugory ewoluują powoli w prześliczny ogród dzieciństwa. Mleczki i pokrzywy zamieniają się w prześliczne kwiaty, rzędy betonowych silosów w schludne, nie tak znowu brzydkie bloki; plamy benzyny na asfalcie w małe prywatne tęczki, a połamana szprycha w mądrą, rozwijającą wyobraźnię ekozabawkę. Zaraz będziemy za tym wszystkim płakać. Już nigdy nie będzie takich blokowisk, już nigdy nie będzie takich pawilonów.

Album Mikołaja Długosza z PRL-owską fotografią pocztówkową tylko nas w tym utwierdza, zabierając nas do harmonijnej, technicolorowej, zalanej słońcem Polski lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Polski, której może nigdy nie było. Zdjęcia, starannie wyselekcjonowane, konsekwentnie pogodne, zaludnione schludnymi statystami, przypominają trochę komputerowe symulacje grodzonych osiedli, którymi developerzy mają dziś potencjalnych nabywców. Bardzo zielona trawa, bardzo niebieskie niebo, żadnych majtasów wywieszonych na balkonie, żadnych swastyk na murze; osoby bez twarzy wyprowadzają psy bez rasy, spieszą się na autobus bez numeru.

Instrukcja, według której fotografowie państwowi robili zdjęcia na widokówki, przypominała właśnie analogowego Photoshopa, eliminującego z pejzażu wszelkie przejawy nieporządku, dysharmonii społecznych i meteorologicznych. Jej wytyczne były klarowne: „Ulice, osiedla zaludnione, ujęcia ruchliwe, słoneczne, kolorowe samochody; ludzie w miarę możliwości żywo, kolorowo ubrani; w zdjęciach ujmować kwietniki i zieleńce miejskie [...]. Nowe osiedla mieszkaniowe – zdjęcia powinny obrazować życie w osiedlach. Szerokie, rozległe ujęcia, pawilony handlowe, ładne sklepy

(wnętrza), uporządkowane otoczenie, zieleńce, kwiaty, place zabaw, ogródki jordanowskie, szkoły – koniecznie z dziećmi, młodzieżą”.

„Zdjęcia puste nie będą rozpatrywane – zastrzegano – Prosimy nie fotografować obiektów i zespołów niewykończonych, niezagospodarowanych, placów budowy, budynków z rusztowaniami i wszelkich nieporządków, bielizny na balkonach, haseł i napisów okolicznościowych”.

Oczywiście proto-Photoshop nie był nieomylny; nie miał mocy wywabienia wszystkich plam. To i owo przeoczono, i wpatrując się wnikliwie, można dopatrzeć się na bukolicznych scenkach drobnych pęknięć, zawirowań, absurdów. Dziwny stupor pań na kąpielisku, dziecko, które poszło pod wodę na osiedlowym basenie, para z wózkiem w zamyśleniu wpatrująca się w czołg, kloszardka pod sklepem czy aktor Krzysztof Stroiński niespodziewanie przesiadujący na schodach jednej z kawiarni. Ale tropienie tych mikrodysonansów, gdzie rzeczywistość wycieka przez nieszczelności propagandowych dyrektyw, to tylko jedna płaszczyzna, na której można album rozczytywać.

Zebrane w *Latem w mieście* widokówki ukazują miejsca; miejsce jest zjawiskiem dość jak na nasze czasy trwałym. Nie można go wywieźć, zdemontować czy sprzedać na Allegro powołującemu się na PRL-owskie nostalgii barowi z tanią wódką. Chociaż można je okaleczyć, obstyropianować, oblepić billboardami albo pozwolić mu zarosnąć krzakami. Te place, osiedla, pasáže, kąpieliska i skrzyżowania ciągle istnieją. Konfrontując idylliczne widoki z pocztówek ze współczesnymi ich obrazami z Google Street View, Mikołaj Długosz zadaje pytanie o ćwierćwiecze estetycznej i architektonicznej wolności (a raczej anarchii) i jego pokłosie dla polskiego krajobrazu. Dyskusja na temat tego ostatniego robi się coraz bardziej gorączkowa, a *Latem w mieście* to ważny w niej głos.

Polska brzydota staje się marką dużo pewniejszą i bardziej rozpoznawalną niż polskie drogi, a na pewno niż polska gościnność. Jej akcje świetnie radzą sobie na europejskich, a kto wie czy nie ogólnoswiatowych rynkach. Znakami rozpoznawczymi naszej architektury są pomalowany w różowe pasy zielony blok wyrastający z gotyckiej katedry, Biedronka w starożytniej świątyni, dziury po kulach w tynku i reklama

wielkoformatowa na tysiącletnim dębie, nierzadko przedstawiająca piersi. Lata traktowania przestrzeni publicznej jako przestrzeni niczyjej sprawiły, że wizualny chaos jest już nie do rozszyfrowania, palimpsest estetycznych wtop nie do rozwikłania, węzeł gordyjski chybionych, pozbawionych szerszego planu decyzji ani nie do przecięcia, ani nie do przyjęcia. Jak w lustrze odbija się w tym wszystkim polska schizofreniczna dusza, złamana przez wojnę i komunizm, zdemoralizowana przez strumień unijnych pieniędzy; chytra, obrotna, anarchiczna, a nade wszystko lubiąca przebudować ze szwagrem chlewik na piramidę, a piramidę na chlewik.

Album Mikołaja Długosza pokazuje polską brzydotę w jeszcze niezaawansowanym stadium rozwoju. Bo z jednej strony fala upiornego betonu zalewająca horyzont, wciskająca się między ocalone z wojennej apokalipsy gotyckie baszty. Z drugiej jakiś wzruszający z dzisiejszej perspektywy wizualny ład (nawet jeśli sfingowany), piękno funkcjonalnych, prostych pawilonów, z którymi tak zwana doba przemian obeszała się bezmyślnie i barbarzyńsko. Patrząc na ich aktualny stan, można dojść do wniosku, że na niektóre niepoprawne politycznie obiekty Polacy projektują nienawiść do poprzedniego systemu. Oblupane z neonów i zdobień, z oknami wymienionymi na plastikowe, obłożone pastelowym styropianem, oblepione kakofonią szyldów i reklam, wyglądają jak ofiary jakichś niewprawnych, zapalczywych egzorcyzmów. Ich efekty są często psychodeliczne, absurdalne, śmieszne, jak efekty rysowania z zamkniętymi oczami, jednak po śmiechu przychodzi płacz. Płacz za światem, gdzie estetyka miejsc publicznych była kwestią polityczną, więc odgórnie kontrolowaną; za światem bez billboardów i wizualnych śmieci, reklamowych szmat zasłaniających fronty budynków, wyskakujących zewsząd okienek.

Dostarcza więc *Latem w mieście* gros refleksji zupełnie niewesołych. Ale to fakultatywnie, dla chętnych, na szóstkę. Można po prostu potraktować tę książkę jako pocztówkę z przeszłości, pozdrowienia wysłane do nas z odpływającej coraz dalej, coraz bardziej niewyraźnej arkadii dzieciństwa. Nieprawdziwe i nieszczerze, jak to pozdrowienia, ale jakie słoneczne.

Bajm

Polski zespół wszech czasów na cztery litery? Pierwsza B, druga A, trzecia J, czwarta M? Niektórzy już zgadli, inni jeszcze się zastanawiają. Nie, głuptasy, nie Kult! Wiem, to nie jest łatwe. Szczególnie, gdy tak jak ja siedzi się oko w oko z najnowszą solową płytą Beaty Kozidrak *B3* i nie wiadomo, co optymalnie z nią zrobić. Czy używać jej jako podstawki pod herbatę, czy stabilizować nią drzwi, czy dociążyć nią makulaturę do skupu (bardzo trudne); czy używać jej jako dziwnej kasetki na dużą płaską biżuterię, niepraktycznego schowka na przeskalowane wizytówki, czy też wyjątkowo niebezpiecznego frisbee do krótkich, jednorzutowych rozgrywek z osobami, których nienawidzę... Zastosowań dla *B3* widzę wiele; jakkolwiek wielką fanką Beaty bym była, to ciągle nie dość wielką, by były one muzyczne. A jednak wystarczająco wielką, by nie mieć jej tego, co teraz robi, za całkiem zle.

B3 to pożyteczny pop. Zżymać się na jałowość tych piosenek, kwestionować je, to kwestionować całą muzykę gospodarczą z Radia Zet. A przecież ona też jest na świecie potrzebna. Jest potrzebna w korytarzach. Jest potrzebna w przedsionkach. W księgowościach. W warzywniakach i tym podobnych. W zakładach fryzjerskich, na zapleczach hurtowni i w kantorkach; jest potrzebna na działkach, w domkach letniskowych, potrzebna na grillach, potrzebna w kabinach tirów i w sercach, i wszędzie indziej, gdzie nie sposób od rana do wieczora słuchać Zeniała. Wreszcie – w taksówkach. Jeśli ktoś nie wie, o czym mówię, to nigdy chyba nie wracał nad ranem omamiony i obcy sam sobie, jak jakaś podszywająca się pod siebie kukła na tylnym siedzeniu dacji logan czy tam skody fabii.

Samochód pędzi przez czerń miasta; neony i światła ciągną się po szybie jak świetliste smarki. Trzymasz się kurczowo wzrokiem tęgiej, przypieczonej słońcem, składającej się z wielu nachodzących na siebie podszyj szyi taksówkarza, na której obok paru zmian łojotokowych przycupnął też na wieczność Mały Powstaniec. „Legia albo śmierć”

proponuje ci nalepka na desce rozdzielczej; co tu dużo mówić, i tak źle, i tak niedobrze. I tylko rycząca z głośników Budka Suflera czy Gabriel Fleszar sprowadza wszystko do właściwych proporcji; przypomina, że wszyscy jesteśmy przecież w jakiś sposób ludźmi.

Muzyka gospodarcza to rodzaj emitowanego przez komercyjne radia strumienia werbalno-dźwiękowego, programowo wysokoskrobiowego, przewidywalnego i chwytliwego. Uogólnione piosenki, pośrednie pomiędzy wszystkimi piosenkami, lepiące z gotowych fraz muzycznych i ogranych modułów słownych, tak by brzmiały możliwie znajomo, a jednocześnie mogły być nowością i piąć się w górę po liście.

B3 jest w swojej estetyce klasyką tego gatunku. Już sam tytuł utrzymany jest w poetyce obrazów olejnych „I love home” z Leroy Merlin, nie mówiąc o okładce. Tak jak promujące ją *Bingo* i *Upiłam się tobą*, tak i pozostałe *Nie kochaj mnie* czy *Niebiesko-zielone* to typowe przeboje użytkowe. A jednak nie jest to przecież muzyka w stu procentach syntetyczna.

Beata Kozidrak od początku swojej ścieżki artystycznej sama, co jest ewenementem, pisze sobie teksty i częściowo muzykę (tu wspomogła ją między innymi Ania Dąbrowska), nie korzystając z usług muzycznych inżynierów, w pocie czoła pitraszących przeboje w laboratoriach przebojów, dorzucających a to szczyptę elektronicznej trąbki, a to auto-tune’u. Choć w poetyce jej najnowszych utworów widać dużo lirycznych półfabrykatów („zamek z piasku”, „ogień pulsuje w nas”, „zabrakło dni pełnych łez”), to ze swoją fenomenalną smykalką do piosenek umie ciągle poskładać „bardzo tak” z „to fakt” i „czerwone wino” z „dni przeminą” w sposób na tyle umiejętny, że potem wszyscy nucimy je latami. I nie można nie docenić, że w branży, która od dawna nie wybacza kobietom powyżej dwudziestu trzech lat, ona ciągle jednym pewnym ruchem ręki wyciąga z kapelusza hity.



Zresztą treść piosenek z *B3*, zazwyczaj okołomiłosna, i tak nie ma szansy wybrzmieć: każde trzy słowa układające się na płycie w jakikolwiek konkret są wodą na młyn dla tabloidów, które czytają je kluczem życia prywatnego piosenkarki. Tych demonicznie inteligentnych, bystrych jak sto chujów podmiotów medialnych nie oszukasz: detale rozstania z wieloletnim mężem, a także współzałożycielem, klawiszowcem i producentem Bajmu, Andrzejem Pietrasem, które Kozidrak (myślała, że chytrze!) zawierzyła tekstom (tam ich nikt nie znajdzie) i opublikowała (najciemniej pod latarnią!), zostały natychmiastowo zdemistyfikowane. Korzystając z detektywistycznej passy, szmatławce rozwikłały też od razu arkana ustawiania przez nią parawanu na plaży, enigmę wsiadania przez nią do samochodu, a szczegóły jej zakupów w centrach handlowych stały się wreszcie przejrzyste. Są to bardzo dalekie bezdroża kultury masowej, gdzie artysta jest już tak bardzo własnością gawiedzi, że jego wizerunek sceniczny zlewa się z realnym, a akty twórcze są tożsame z osobistymi, dając w efekcie dziwną hybrydową prywatno-publiczną postać, którą można ganiać z aparatem po altankach śmietnikowych, pocztach i sądach. Pokłady ludzkiego zadziwienia, że ma dowód osobisty i korzysta czasem z łazienki, są złożami zaskakująco odnawialnymi; można je eksploatować bez końca.

Beata Kozidrak taką właśnie postacią pożytku publicznego niewątpliwie jest, a rozpad trzydziestosześcioletniego związku Pietrasów – prywatnego i zawodowego – dotknął wszystkich Polaków. Rozpoczęły się narodowe szacowania mitologicznego majątku, spekulacje co do dalszych losów prywatnego helikoptera, a przede wszystkim wielkiego przedsiębiorstwa muzyczno-koncertowego BAJM.

Bajm, który w czerwcu 1979 roku zadebiutował w Opolu ogniskowo-turystycznym przebojem *Piechotą do lata*, a potem zdominował polską scenę i fonosferę na prawie cztery dekady, to już dzisiaj zespół babcia. W show-biznesie mało komu służy czas; nawet najlepsza grupa, której muzycy w porę nie ulegną mniej lub bardziej spektakularnemu samounicestwieniu, staje się przedsiębiorstwem komunalnym, pomagającym miastom spożytkować nadmiar publicznych pieniędzy na dni patrona, festyny i sylwestry. Ale choć artystycznie ich twórczość trudno traktować poważnie powyżej płyty *Nagie skały* z 1988 roku, to dla mnie Beata pozostaje królową polskich scen, czy te pokryte są złotem, błotem czy deską barlinecką.

Ciągle gdzieś zresztą stoją mi w oczach jej zdjęcia z tych wszystkich miejskich sylwestrów i dni Wrocławia, jak nie szczędząc niebotycznych szpilek, szaleje w kaskadach swoich lwich loków, sadomasochistycznych sukniach moro, z rynkami i wieżami ratuszy w tle, w spienionych oceanach zziębniętych Polaków. Papieżycza polskiej piosenki; współpracownicy wspominają ją jako frontmenkę o niespożytej energii scenicznej, a przede wszystkim wokalne, która w okresach szczytowej popularności była w stanie zaśpiewać bez zajknięcia trzy koncerty dziennie.

Beata Kozidrak jest wokalnym samoukiem, chociaż dysponuje głosem o rzadkiej skali, mocy i niesamowitym spektrum środków wyrazu. Moim zdaniem najlepiej słycać to na drugiej płycie Bajmu, *Martwa woda*, z 1984 roku. Zapatrzona ówczasie w Ninę Hagen Beata wydaje z siebie na przemian małpie piski i lwie porykiwania, jej głos przybiera skrajne barwy: od intymnego, autystycznego wyznania w utworze *Małpa i ja* po psychopatyczny ton okrutnej treserki w cyrku życia w *Klatce lwa*. Już chwilę potem płynnie przechodzi w fałszywe operowe arie i egipskie wokalizy w *Piramidach na niby*, w sataniczne czkania w *Diabelskim kręgu*, w zimną, drapieżną narrację w *Martwej wodzie*, którą w radiach puszczano bez pierwszych słów: „wojna na czas, wojna na gaz”. Schizofreniczne linie wokalne, analogowe eksperymenty realizatora Kuby Nowakowskiego (echa, powtórzenia, efekty telefoniczne), zimnofalowe kompozycje Jarosława Kozidraaka i bardzo mroczna warstwa tekstowa, która psim śwędem przeszła przez cenzurę, ale potem była przez nią skutecznie blokowana (do szerszego obiegu przebiła się właściwie tylko półrealna *Małpa i ja*), sumują się w brzmieniu dalekim, toksycznym, zimnym.

Pod żadnym względem nie da się tej muzyki porównać z sympatycznym debiutanckim albumem *Bajm* z 1983 roku, który dawał pewne pojęcie o możliwościach Beaty i zespołu, ale mimo wszystko był dość chaotycznym przeglądem ich szuflady. Choć można znaleźć tam mroczne syntezatorowe, do dziś piłowane w dyskotekach *Co mi, Panie, dasz* i wywrotowe *Nie ma wody na pustyni*, lirycznych *Proroków świata* i prowokacyjnego *Józka* (w oryginalnej wersji *Wojtka*, dla osób urodzonych po roku dwutysięcznym: Jaruzelskiego), czy całkiem udatną literacko konfesję prostytutki *Okey, okey, nic nie wiem, nic nie wiem* (ta ostatnia zresztą momentalnie zinterpretowana została przez słuchaczy jako *coming out* Beaty w kwestii swojej prawdziwej profesji

i przysporzyła jej rodzicom sporych nieprzyjemności, a jej samej dużo sympatii ze strony prostytutek, które czekały na nią po koncertach w hotelu i odsprzedawały jej rarytasowe skórzane kurtki), to już milusie *W drodze do serca jej* ma się do piosenek z *Martwej wody* jak Alicja Majewska do Siouxsie and the Banshees (które zresztą *Martwa woda* w swoim brzmieniu dość przypomina). Tak czy siak, jest to pierwsza płyta Bajmu spójna w brzmieniu i przekazie; przekazie – jak na mainstreamowy, festiwalowy zespół – zaangażowanym i odważnym.

Witaj, mój drogi bałwanie,
Powiedz, kto zmienił cię tak,
Dzisiaj już dzieci nie bawisz,
Siejesz głupotę i strach.
Czaruj mnie,
Wierzę wtedy, kiedy boję się.

Albo:

Baw się zabawkami, lecz się pigułkami,
Pracuj po cichutku w maleńkim ogródku.
Nie przeklinaj losu, świat jest urządzony
Tak, by obserwować ciebie z każdej jego strony.

Te teksty to świetny epizod z twórczości Beaty Kozidrak. To niewątpliwie poezja: naiwna, instynktowna, czasem przekorna, ale przenikająca i mocna. Może nie otwarcie polityczna, ale gniewna, kontestująca rzeczywistość na osobistym poziomie. Konsekwentnie przez wszystkie utwory ukazująca klincz jednostki w opresyjnej rzeczywistości, codzienną schizofrenię, wewnętrzną emigrację i martwość, niemożliwość spełnienia. Trudno dziś oczywiście fantazjować o szczególnym potencjale subwersywnym Bajmu, skoro przy całej swojej buntowniczości był telewizyjną gwiazdą, w dodatku eksportową, jeżdżącą na trasy koncertowe do Wietnamu i ZSRR. Ale wydaje się, że jednocześnie twórczość Beaty Kozidrak była oryginalną emanacją ówczesnych apokaliptycznych nastrojów, zwłaszcza że niezwykle kobiecą

w obrazowaniu i ekspresji. Niezwykłym zapisem czarnego czasu, w którym niepokój, frustracja i obrazy życia na skraju szaleństwa przenikają się z występłą zmysłowością.

Trującej aury lat zimnej wojny nie czuć już tak bardzo na *Chroń mnie* z 1986 roku, tu piosenki są bardziej liryczne, subtelne, skupione na osobistych przeżyciach. Oprócz wojowniczego *Płynie w nas gorąca krew* są tu między innymi dwa utwory o doświadczeniu macierzyństwa; znane wszystkim prawdziwym Polakom *Dwa serca, dwa smutki* i psychodeliczne *Kaśka i ja*, przy którego słuchaniu zawsze muszę sprawdzić, czy przypadkiem nie wzięłam przed chwilą jakichś narkotyków, tylko o tym nie pamiętam. Dziwaczne, erotyczne, emocjonalne jak *Jeziro marzeń*, innym razem przebajerzone i manieryczne, te piosenki można kochać albo odrzucać, ale one jasno pokazują, że w całym swoim gwiazdorstwie Beata Kozidrak nie była figurantką, firmującą piękną twarzą i silnym głosem wytwory producentów wyjadaczy. Była oryginalną, wrażliwą, rezonującą z rzeczywistością artystką, dającą ekspresję swojemu istnieniu i czasom, w których żyła. Jej talenty wokalny i sceniczny umożliwiały jej robienie rzeczy masowych, stadionowych, a fantastyczny instynkt popowy tworzenie muzyki powszechnej, co nie znaczy, że pospolitej.

Dopiero w latach dziewięćdziesiątych jej flirt z popem zaczął przybierać bardziej jarmarczne oblicza, niepokojące w sposób, w jaki wcale nie chcielibyśmy być niepokojeni, ale kto wtedy ubierał się dobrze, niech pierwszy rzuci kamieniem, na pewno nie będę to ja.



W latach dwutysięcznych przeszła już do twardej komercji. Ale czy można jej to mieć za złe? Raczej nie; świetne rzeczy, które robiła wcześniej, pozostaną fundamentami polskiego popu.

Czy za początek grupy uznamy występ w Opolu, czy pierwsze dzemy rodzeństwa Kozidraków z Andrzejem Pietrasem w lubelskich domach kultury, niedługo Bajm będzie obchodził czterdziestolecie. W długiej, pełnej rozmachu historii zespołu odbił się właściwie cały proces przepoczwarzania Polski: od końcówki lat siedemdziesiątych, przez mroki lat osiemdziesiątych, kiczowate lawiny uniesień w latach dziewięćdziesiątych i mało sentymentalny komercjalizm lat dwutysięcznych. Niezwykle utalentowana kobieta w podartych rajstopach i dużo gości z niekorzystnymi

fryzurami; miłość, muzyka, sława, ambiwalentne splendory polskiego show-biznesu. Koncerty przerywane przez ZOMO, z drugiej strony Festiwal Piosenki Radzieckiej i występy w ZSRR, na których zespół przehandlował z lokalnymi fanami wszystkie ciuchy. Wyjazdy do Stanów i bankiety z Pink Floyd. Czy tylko ja widzę w tym gotowy materiał na dwunastoodcinkowy serial HBO albo Netfliksa?

PUA

Jest zima, wieczór, idę w ciemnościach Pasażem Wiecha. Idę czymś zupełnie przygnębiona, pogrążona w jakichś najgorszych myślach, z których nie ma wyjścia. Myślę o migdałach, ale nie o niebieskich; myślę o nieniebieskich migdałach, o gorzkich, trujących, czarnych migdałach, najtańszych migdałach z Tesco, skład: olej palmowy utwardzony (99,9%), aromat migdałowy. Myślę: uchodźcy, bombardowania, nowotwory; wszystko moja wina i wszystko na mojej głowie. Meksyk, Honduras, Sudan Południowy; głód, susza, dług państwa coraz większy, moich oszczędności wystarczy może na trzydzieści pięć sekund utrzymania tamtejszej administracji, zawsze to coś, ale co potem?? Z koła błędnych myśli wyrывa mnie dopiero miły młody człowiek, wyrastając przede mną niespodziewanie jak ludzki znak zapytania.

W uśmiechniętej twarzy nie znajduję niczego znajomego, jednak on łapie mnie za ramiona w zażyłym geście, wskazującym na to, że sraliśmy razem za stodołą. Cóż, nie mogę tego wykluczyć; nie mogę też od razu zupełnie go przekreślić, bo komplementuje mój płaszcz, jednocześnie badając jego fakturę dłońmi. Tępo patrzę na swój płaszcz; jako obywatelka pierwszego świata, mam dużo płaszczy, bardzo dużo płaszczy, na różne pogody, na okazje, na nastroje; mam też depresję, więc nie wiem, który z nich włożyłam. Ale jestem tylko jak obśliniony żółw, który wpadł do multimixera tej znajomości i wiruje, wiruje, wiruje, bo teraz już jest temat pójścia gdzieś razem, co zupełnie nie jest w moich planach, ale... „Ale chyba zgodzisz się ze mną, że masz czas na kawę?”

Nie wygłupiajmy się, nikt nie spieszy się aż tak bardzo, by nie móc wypić małej latte w Coście czy browarka w Sphinksie! Ciepłe, otwarte szeroko oczy studenta IT apelują do mojego rozsądku z neurolingwistyczną nieustępliwością. Nie ma w nich nieśmiałości, zażenowania ani tych innych zwyczajowych emocjonalnych perturbacji, towarzyszących nagabywaniu kogoś na ulicy, zabieraniu mu czasu, albo choćby ingerowania w jego przestrzeń osobistą bez wyraźnie wyartykułowanej prośby: „mów do mnie

z bardzo bliska” czy „kładź sobie ręce na moich ramionach”.

Ale co gdyby właśnie w tej złej chwili увидziało mi się, żeby z nim gdzieś pójść? Pójść gdziekolwiek, wykrzykując mu prosto w twarz: świat jest zły, ludzie są źli, ja jestem zła, rozumiesz, rozumiesz, rozumiesz?? Bić go maleńkimi piąstkami po gorsie skajowej kurtki z jesienno-zimowej kolekcji Lidla? Dwoje obcych sobie rozbitków w betonowej dżungli, spotykających się na chwilę, by wytrzeć o siebie tłuszcz swojej rozpaczy, wyrzeshzcze swój ból, a potem rozejść się równie nagle i nigdy więcej się nie zobaczyć!!! Przysięgam, gdyby nie ten irokez na żel, kurtka, głupia twarz, wysoki głos, adidas chlebki, marketingowe piramidki czynione dłońmi i różnica wieku około dwudziestu lat, być może bym to zrobiła. Życie to jednak nie komedia romantyczna; nie wszystkich tu gra Marcin Dorociński. Rozstajemy się w atmosferze lekkiego wzajemnego rozczarowania. Było blisko, ale tego o t w a r c i a nie można zaliczyć do udanych.

Młodociany Pick Up Artist oddała się macać inne płaszcze aż do skutku; nie może sobie wpisać mnie do swojej tabeli punktów. I ja też oddalam się w swój mrok; w całej swojej nieokazałości ta sytuacja przypomina mi się dopiero ostatnio, podczas lektury wydanego przez „Super Express” praktycznego almanachu „Manipulacja & Hipnoza”.

„Manipulację & Hipnozę” nabywam na Poczcie Polskiej. Chcę tylko wysłać list, ale baba z brwiami odmalowanymi od szklanki terroryzuje mnie litanią rekomendowanych usług dodatkowych. A więc priorytet... priorytet plus... zapowiedź listu, przedlist... sublist, zalist, potwierdzenie SMS-em... Obie nie rozumiemy tego nowego obrządku; obie dobrze wiemy, że gdyby zależało to od niej, zaproponowałyby mi najwyżej usunięcie gałek ocznych metodą mechaniczną paznokciową. Cóż, gdy w tym pojebanym teatrze nowych czasów musimy odgrywać marketingowe dusery. Ona recytuje, ja oczekuję na koniec jej melodeklamacji, zgodnie z założeniami projektanta poczty przeglądając ekspozycję.

A tam – źródło dobra wszelkiego, iście statoilowy róg obfitości. Wszystko, co najpotrzebniejsze, wszystko, co kończy się w najmniej odpowiedniej chwili. Czyli znicze. Trochę kuchni, trochę mody, trochę antysemityzmu. Pozytywne autoafirmacje na każdy dzień roku błogosławionej Faustyny i *Bikini Golgota* świętej Ewy Chodakowskiej. Przy magazynie „Historia

Prawdziwa. Numer specjalny. Niemcy, Ukraińcy, Żydzi. WBILI NAM NÓŻ W PLECY” jeszcze się opieram resztką silnej woli, ale „Manipulacji & Hipnozy”, dodatku „Super Expressu”, nie mogę już sobie odmówić. „PODWYŻKA, AWANS, MIŁOŚĆ. Jak uwodzić w biznesie i w miłości? Jak spowodować, żeby inni robili to, co chcesz?” „Ten poradnik nauczy cię stosowania niezwykłych umiejętności, które drzemią w tobie, choć wcześniej pewnie nie zdawałeś sobie z tego sprawy”. 14,99. „Typy osobowości, jak je rozpoznawać i jak nimi manipulować?” „Mowa ciała. Ważne, co mówią gesty, a nie słowa”. „Jak sprawić, by ktoś się w tobie zakochał”. „Jak sprawić, by ktoś się odkochał”. „Techniki sprzedawców, jak się przed TYM WSZYSTKIM bronić?”

W artykule *Ezomieszczenie* Jakub Bożek wykazywał, jak zawirowania historyczno-polityczne sprzęgają się z pobudzeniem ezoterycznym klasy średniej, która w okresach dziejowych turbulencji ochoczo zawiera swój los rozmaitym cudotwórcom, szamanom i tępicielom glutenu. „Manipulacja & Hipnoza” jest zjawiskiem w oczywisty sposób przynależnym do obrządku „jak trwoga, to do braku Boga”, choć stanowczo odcinającym się od konotacji ezoterycznych. Poradnik stylizuje się na publikację jeśli nie naukową, to przynajmniej popularnonaukową. „Magia? wcale nie!” „To umiejętności z pogranicza psychologii, manipulacji i hipnozy, które pozwalają wpływać na drugą osobę, wymóc na niej działania, których ty oczekujesz” – zapewnia nabywcę wstępniak, szermując słowami z sufiksem -logia i opiniami ekspertów z renomowanych szkół. Cóż jednak z tego, jeśli ludzkie potrzeby, które „Manipulacja & Hipnoza” próbuje zagospodarować, to potrzeby bardzo nielogiczne i bardzo nienaukowe (co nie znaczy, że niepoważne). Stoi za nimi myślenie ściśle magiczne; pragnienie uzyskania supermocy, które uodpornią nas na manipulację i uczynią innych ludzi nam powolnymi. Zabobonna wiara w istnienie zestawu psychotricków, psychopatentów, sekwencji słów i ruchów (oczywiście opracowanych przez amerykańskich naukowców na podstawie wieloletnich badań), które jak magiczne zaklęcia rozgonią zasłony dymne powszechnych ściem i oszustw, a może nawet pozwolą „wymóc działania, których ty oczekujesz”.



Wszystko to zaś zdaje się wynikać z dużo głębszego pomieszania i egzystencjalnej bezradności, której my, Polacy, wciąż doświadczamy ponad ćwierć wieku po przełomie. Z naszej bezbronności wobec siebie nawzajem w społeczeństwie opartym na modelu handlowo-usługowym; na kontrakcie, w którym najważniejsze passusy napisane są nierozczytywalnie małymi literkami, a anachroniczna figura „zwykłej ludzkiej przyzwoitości” dawno z niego wyleciała. Społeczeństwie, w którym politycy robią dłońmi piramidki, reklamy implikują treści podprogowe, z okładek patrzą komputerowo poczyzczone twarze, a na forach dyskutują podstawieni dyskutanci. Postsowiecka baba na poczcie chce roztrząsać głowę petenta o kontuar, a jednak deklamuje marketingową formułkę. Ostentacyjna martwota i monotonia jej głosu są ostatnim bastionem osobistego sprzeciwu wobec przymilnych wierszy, które kazano jej wygłaszać.

Życie społeczne ze swojej natury jest przedstawieniem, jednak jeszcze nie tak dawno podział na scenę i widownię, na kłamiących i okłamywanych był dużo prostszy. Jeszcze niedawno kłamali „oni”, czyli władza i jej współpracownicy, potem telewizja. W latach dziewięćdziesiątych kłamał – cytując Izrael – polityk i policjant, kłamał urzędnik i kłamał ksiądz. Może – idąc tym tropem – zostaliśmy sami, ale przynajmniej nie kłamaliśmy. Dziś, w pozornie okrzepłej gospodarce wolnorynkowej, sami kłamiemy. Internet i media społecznościowe wytworzyły zupełnie nowe możliwości i pola kreowania osobistych fikcji, a marketing przeniknął tkankę społeczną do najdrobniejszego włókna. Granica między prywatnym a publicznym zaciera się, a wraz z nią ta pomiędzy rzeczywistością a reklamą. Nawet rastaman ma więc kontrakt z firmą produkującą dredy i superduet w Play. Wszechkłamstwo zatruwa nasze życie ciągłym niepokojem, ciągłą podejrzliwością, metafizycznym stresem. Zmusza do permanentnej gardy, bo czy drugi człowiek, którego spotykamy na ulicy, w kasie, a nawet w łóżku, nie chce nas wykorzystać, oszukać, sprzedać nam czegoś w promocji 2+1=3 produkty w cenie jednego? Zwyczajne intuicje i „jak komu z oczu patrzy” nie mają już racji bytu. Czy trudno się dziwić, że mniej lub bardziej świadomie marzymy o magicznym odpromienniku, płynie Lugola, który pozwoli nam przejrzeć wszystko jednym rzutem oka? „Manipulacja & Hipnoza” wychodzi temu marzeniu naprzeciw. Oferuje zestaw tanich domowych sposobów,

dzięki którym nie tylko można przestać być Wielkiej Ściemy bierną ofiarą. Uczy też przejęcia inicjatywy, aktywnego w niej uczestnictwa. Czyli jak skutecznie ściemnić innych.

„Jak zdobyć przyjaciół?”

„Jak z wroga zrobić przyjaciela?”

„Jak namówić ludzi, by zrobili coś dla ciebie?”

„Jak zdobyć zaufanie?”

Te pytania ludzkość zadaje sobie od zawsze. W magazynie „Manipulacja & Hipnoza” brzmią jednak jak z poradnika dla osobników z innych cywilizacji, którzy chcą wkraść się między ludzi i podbić planetę Ziemię. Odpowiadają na nie superekspressowi e k s p e r c i, trenerzy uwodzenia, tak zwani PUM (Pick Up Masters), uczący na co dzień młodych mężczyzn technik podrywu.

I tu wracamy do młodzieńca, który mimo spowijających Pasaż Wiecha ciemności, dostrzegł urok mojego płaszcza.

PickUpArt to stosunkowo nowe w Polsce zjawisko, zrzeszające młodych heteroseksualnych mężczyzn pasjonujących się uwodzeniem. Uwodzeniem rozpoczynającym się o t w a r c i e m, kończącym d o m k n i ę c i e m, a w międzyczasie czerpiącym z repertuaru pomniejszych figur typu Neg, Chłodnik czy Trójkąt Bermudzki. Inspirowane amerykańskim ruchem z lat osiemdziesiątych, w 2016 roku w Polsce znalazło wspaniałe warunki do rozkwitu. Na seksualne łowy wyrusza całe pokolenie chłopców wychowanych na pornosach i strzelankach.

„Nikt wtedy w Polsce nie słyszał o czymś takim jak kurs uwodzenia – wspomina na swojej stronie internetowej pionierskie czasy polskiego PUA jeden z ekspertów, Maciej «Merlin» Moroz. – W swoich wysiłkach byłem sam jak palec. Było tylko kilka stron po angielsku, a dorwać jakiegokolwiek materiały to było jak zdobyć Świętego Graala. Musiałem sam do tego dotrzeć i dostosować amerykańskie uwodzenie do Polskich realiów [...] Cała teoria i praktyka, która zapoczątkowała uwodzenie kobiet, zaczęła powstawać w latach 80-tych i od tego czasu jest dalej rozwijana. W swojej pracy korzystam głównie z psychologii społecznej, socjologii i socjobiologii.

Oprócz tego dodaję jeszcze techniki Neuro-Lingwistycznego Programowania, triki wywierania wpływu, czy zasady stylizacji. Dużo czerpię także od zachodnich trenerów. Dzięki temu wiedza, którą ode mnie otrzymujesz, jest pewna i sprawdzona” (pisownia oryginalna).

W powyższym exposé widzimy, że podobnie jak „Manipulacja & Hipnoza”, U w o d z e n i e stoi na twardych naukowych podstawach (z drobną domieszką zasad stylizacji). Widzimy też, że jest to zjawisko na amerykańskim formacie, chałupniczo „dostosowane do polskich realiów” przez amatorów; widać to na wielu płaszczyznach.

Po pierwsze, wyrasta z kultury smalltalku, jałowych, nic nie znaczących rozmówek prowadzonych przez wszystkich ze wszystkimi, które w naszej kulturze, pielęgnującej dystans między jednostkami, nie występują. (Dlatego mężczyźni na siłę o t w i e r a j ą c y kobiety, czyli zagadujący je gotowymi formułkami na deptakach i w sklepach, ciągle sprawiają wrażenie nienaturalne i akwizycyjne).

Po drugie, polscy adeptci PUA posługują się językiem opartym w dużej mierze na angielskich modułach. FR (Field Report) to raport z podrywu, HB (Hot Babe) to niezła laska (przeważnie z numerem od 1 do 10, oznaczającym atrakcyjność), LTR (Long Term Relationship) oznacza długi związek z kobietą, a MLTR (Multiple Long Term Relationship) posiadanie kilku partnerek w tym samym czasie. Te nazwy przypominają skróty na komputerowej klawiaturze, kody graczy komputerowych, tajne i niezrozumiałe dla lamerów. Stechnicyzowany język konsoliduje i hermetyzuje grupę. Całemu zjawisku nadaje charakter subkultury, a używającemu go status „wtajemniczonego”. Jednocześnie dehumanizuje i depersonalizuje „uwodzone” kobiety (na przykład numerując je), ułatwiając traktowanie ich jako obiektu, sprowadzając je do poruszającej się przed (erotycznym) celownikiem postaci.

Jak już powoli widać, u w o d z e n i e to w tym wypadku zupełnie jak mówienie twaróg na gówno – nazwa wytworna, ale mocno życzeniowa względem desygnatu. W świecie PU nie oznacza żadnych tam uniesień, baśni o spotykających się połówkach pomarańczy. W świecie PU uwodzenie kobiet to komputerowa misja, której powodzenie związane jest z punktacją i wynikami (często publikowanymi na forum). Wymaga sprawności i taktyki: znajomości tricków, patentów, gotowych scenariuszy rozmów

i spotkań, mających doprowadzić do zbliżenia, nie muszę mówić, że raczej fizycznego. Nie jest to sztuka wytrawna i subtelna; raczej kartofle przez worek niż bułkę przez bibułkę. „Nie chodzi ci przecież – tłumaczy na swoim kanale youtubowym Krzysiek, jeden z trenerów – żeby rozmawiać, tylko chodzi ci, żeby uprawiać seks”. Problematyka jego kazań to jednocześnie wykaz największych wątpliwości trapiących jego uczniów, którzy młodość spędzili przed Counter-Strikiem i teraz desperacko szukają instrukcji obsługi kobiety.

„Dlaczego nie podobasz się dziewczynom?”

„Jak poderwać dziewczynę z małego miasta?”

„Jak zapobiec zdradzie przez kobietę?”

„Jak nakręcić seksualnie kobietę w rozmowie?”

„Czy warto brać ślub z dziewczyną? Cała prawda o stałych związkach”.

„Jak zwiększyć swoje poczucie wartości przy kobietach?”

„Jak być liderem wobec dziewczyn?”



Te i inne kwestie są tematami kursów, zjazdów, DVD z instruktażami, filmików kręconych ukrytą kamerą i przydługich youtubowych pogadań. Widać na nich PUM, czyli nauczycieli, często w swoim naturalnym otoczeniu. Szkoła ma charakter nieoficjalny, więc i jej mistrzowie są raczej

samozwańczy, a o uprawnieniach decyduje wyłącznie tupet. Nauczają prosto z domu, ze swoich rattanowych foteli, spośród pistacjowych ścian, meblościanek, obrazów z Nowym Jorkiem z Ikei. Po ich mimice widać bardzo dobrze, że „n a u c z a j ą c”, cały czas widzą na ekranie swoją twarz i nie jest im z tym bardzo źle. Generowane przez nich pogadanki są mocno skonwencjonalizowane i można w nich zauważyć powtarzające się motywy:

- Hierarchiczna struktura grupy. Nauczyciele zwracają się do ucznia na „ty”, podejmując często konwencję połajanki. Cytują pytania internautów (zwłaszcza te zaczynające się od „Mistrzu”), chętnie podkreślają swoje duże doświadczenie seksualne („powiem tak: w życiu miałem niemało kobiet”). Walczą o swój wizerunek mężczyzny sukcesu, na przykład tłumacząc przeżyczenia dużą ilością pracy.

- Starania, by mówić w sposób inteligentny. PUM używają ambitnego słownictwa („od razu eskaluj ją dotykiem”; „nastaw sobie tak mindset”), wplatając własnego wyrobu metafory („twoje gadki są nudne jak wydeptane laczki dla gości”), a nawet motywy biedafilozoficzne („spokojnie – lotos jest metaforą ludzkiego umysłu, który nawet z mułu jest w stanie wyrosnąć pięknym czystym kwiatem”).

- Bezustannie akcentowana tajemność przekazywanej wiedzy („chyba nie się nie stanie, jak udzielię tobie rombka tajemnicy”) i jej unikatowość („to moja autorska metoda, jak sprawić, by dziewczyna się w tobie trwale zakochała”; „powiem ci pewien sposób, jak zagadać do dziewczyny w lato – megaskuteczny”). Jednocześnie często uciekając się do taktyki „na Niemca”, który płakał, jak sprzedawał („nie powinienem ci mówić tą metodę, bo będzie wtedy mniej działać, ale już trudno. Niech stracę”).

- Wulgarność. Przekleństwa podkreślają emocjonalność przekazu, podkreślają motywację ucznia. Jednocześnie, w większości odnosząc się do narządów albo czynności seksualnych, eskalują jego podniecenie.

- Taką samą ekscytującą funkcję pełni weterynaryjność wyvodu. Podkreślana jest zwierzęca natura kobiet („mają chćicę”), ich bezradność wobec własnej biologii („Zwłaszcza przed okresem one mają dni płodne – prawi Krzysiek, ta nasza świątynia mądrości. – Tańczą w dyskotekach, skaczą jak małpy, gubią gdzieś przyjaciółki, by po co? By się pierdolić”).

- W niektórych nagraniach pojawiają się koleżanki PUM, często w roli

osób niemych, zgadzających się z przedmówcą. Czasem jako modelki w instruktażach, jak obmacywać kobietę (!).

Nie zdradzę wam tu wszystkich taktyk, patentów i tricków, jak poderwać dziewczynę w lato i w jesień, bo wtedy będzie mniej dla mnie działać. Ale podam wam – niech stracę – kilka faktów, które mogą posłużyć jako może chybotliwe, ale zawsze fundamenty pod budowę waszego seksualnego imperium:

– Podczas uwodzenia bardzo ważna jest s z c z e r o ś ć („Masz być szczery, ale to nie oznacza, że masz jej mówić wszystko, że masz być głupi. Szczerość oznacza, że jesteś konkretnym facetem i wiesz, czego chcesz”) oraz a u t e n t y c z n o ś ć („Jeśli nie wiesz, o czym rozmawiać, mów dziewczynom oczywiste prawdy, coś, co jest powszechnie znane jako truizmy. Powiedz na przykład... blondynki są głupie, co o tym myślisz? Jeśli mówisz coś, z czym powszechnie się ludzie zgadzają, jest szansa, że ona też się z tym zgodzi, a to pozwala odebrać cię jako normalną osobę”).

– Dominuj („Ty jesteś facetem, ty masz dominować, ty masz ją prowadzić”; „Pokazuj mocne męskie zachowania. Możesz ją nawet trochę ochrzaniać”; „Nie bądź ciotą przy laskach”; „Rozśmiesz ją, a potem ją opierdol”).

– Podstawa to dobre o t w a r c i e („Cokolwiek spodoba ci się u dziewczyny: nogi, pupa, piersi, tyłek... Już wiesz, od czego zacząć rozmowę. Ale powiedz jej to kobiecym językiem: «Przechodziłem teraz i pomyślałem, że masz zajebiste spodnie»”).

– „Emocjonalnie ją ripostuj. Ona mówi: nie mogę się spotkać. Ja pytam: czemu? Ona: bo wychodzę dziś z czterema kolegami. Ja mówię jej na to: no to ja z wami raczej nie pójdę, bo to są 2 pary geji, idźcie sami”.

– „Naucz się modulować swoim tonem głosu”.

– I najważniejsze: „Wiele facetów popełnia ten błąd, że rozmawia z kobietą w logiczny sposób”.

Śmieszne? Troszeczkę. Klasyk komedii, gdy głupi udaje mądrego, pieczołowicie ogrywając swój szemrany autorytet; gdy pierdel w dresie przyjmuje pozy i maniery retoryczne samca alfa, oczywiście tak, jak umie.

Śmiejemy się, gdy ociężały uczeń próbuje sam uczyć. Śmiejemy się, gdy upiera się, by być Don Juanem, bo nie wie (a my wiemy), że na zawsze będzie tylko Don Januszem. Trochę może śmiejemy się z siebie samych, bo „oczywiście, że nie ma miłości, nie ma i nigdy nie było”. Zdroworozsądkowe, posługujące się kategoriami administracji i zarządzania, a może nawet gospodarki i hodowli, wywody Sebków i Mateuszy nokautują wszystkie nasze metafizyczne, romantyczne i literackie fantazje o eksplozjach transcendencji między dwiema jednostkami. Tratują je, bez żenady nazywając to, co nienazywalne, i licząc to, co niepoliczalne, na swoich kulfoniastych paluchach. Jednak potencjał komiczny szybko się kończy. Zostaje tylko to, co straszne. Czyli seksualna gra miejska, łącząca elementy porno i strzelanki. Filmiki z galerii handlowych i placów przed nimi, na których PUA-s wymuszają od dziewczyn numery telefonów. Instruktaże, jak całując na powitanie koleżankę, w ostatnim momencie skręcić i ucałować ją w usta. Zarejestrowane ukrytą kamerą macanki. Film „motywujący przed podrywem albo grubą imprezą”, na którym wielki królik przewraca w parku przypadkowo poznane kobiety i pozoruje z nimi stosunek seksualny.

Być może da się na to wszystko machnąć ręką; polska szkoła PUA jest inicjatywą oddolną. Jej kadry i uczniowie werbują się z warstw społecznych, do których nie dotarła jeszcze moda na równouprawnieniowe fanaberie – wśród mężczyzn, wśród kobiet zaś ważne jest korzystne i szybkie przehandlowanie swojej atrakcyjności seksualnej (którą jakiegokolwiek aspiracje feministyczne znacząco obniżają) na awans społeczny. Szkoła podlega wyłącznie Ministerstwu Pogardy, Dyskryminacji i Szowinizmu; jej dyskurs jest tak jałowy, prostacki i wypięty na elementarne wartości moralne, że nie sposób nawet wchodzić z tym wszystkim w dyskusję.

Moim zdaniem jednak tajne komplety, na których młodzi mężczyźni nawzajem uczą się, jak manipulować kobietami i je wykorzystywać, to, co do siebie mówią, nie krępując się pozorami, a wręcz nakręcając się w ich dezawuowaniu, dają bardzo prawdziwy (bo niezakłócony polityczną poprawnością) obraz kondycji kobiet w tradycyjnej polskiej mentalności. W której kobiecość to nielogiczność, niezrównoważenie, nieopanowana biologia. Podrzędność – potrzeba mentora, patrona, lidera. Wreszcie: bezradność wobec instynktów własnego ciała. Można się pocieszać, że to nisza, strefa patologii. Ale przecież przez tych cynicznych

dwudziestoletnich nerdów ryczy coś niesamowicie uniwersalnego: katolicko-sarmacka wąsata mizoginia, osłodzona rajstopami na ósmego marca i soczystym całusem w rękę. Ta sama, która ryczy przez Pawła Kukiza, gdy w roku 2016, w kraju Unii Europejskiej, z mównicy sejmowej upomina kobiety, że „trzeba było uważać, komu się dawało i jak się dawało”. I ta sama, w której ramach PiS gargantuiczne demonstracje przeciwko zaostreniu ustawy antyaborcyjnej nazywa „wyprowadzeniem polskich kobiet na ulicę”. Jak olbrzymi, przemyślany, żmudny wysiłek edukacyjny musi zostać wykonany, by zacząć to zmieniać. Póki co jednak PiS-owska specjalistka od edukacji seksualnej ogłasza ścisły związek używania prezerwatyw z zachorowalnością na raka piersi.

Stay tuned.

Lata dwutysięczne

Jesień 2003 roku była jesienią tak niedawną, że widzę to wszystko jeszcze bardzo wyraźnie. Jednocześnie była jesienią tak bardzo dawną, że otwarto wtedy na Marszałkowskiej pierwszy w Polsce H&M. Więc stoją mi w oczach żywym ślepiącym blaskiem okna wystawowe Domów Centrum w tych pierwszych jesiennych mrokach i ludzie tłoczący się przy wieszakach, jakby chodziło o złoto i kamienie szlachetne. Widząc gorączkowość tego szabru, od razu się chciało dołączyć, by się nie sfrajerzyć: H&M na Marszałkowskiej pojawił się nagle i znikąd i mógł zniknąć w podobnie niezrozumiały sposób, dając przedsmak wszystkiego, a zostawiając z niczym. Ja również wchodziłam tam, by dać upust swojej rozbudzonej pazerności na niedrogą bawełnę.

Właśnie zamieszkałam w Warszawie, ściślej: na Powiślu. Nie było to tak wspaniałe i przeszklone miejsce jak teraz; żyłam tam w atmosferze seksu i przemocy. Moje okna wychodziły na ciemne podwórko studnię, do której wpadało wszystko, co akurat działo się w mieszkaniach, po czym jeszcze długo sprężynowało między jej ścianami, zwielokrotnione i spotworniałe. Niechciane życie obcych ludzi wpadało ciągle do mojego pokoju, jak odpryski bomby. Wieczorami były to wrzaski jakiejś baby z góry, która spazmowała tak, jakby zmarli w niebie i żywi na ziemi śmiali się z niej kiedyś, że ma anorgazmię, a ona teraz za wszelką cenę chciała im udowodnić, że to krzywdząca nieprawda. Czasem wlatywały też nietoperze. Jednak prawdziwie życie zatruwali mi sąsiedzi z boku, czyli niejaki pan Zbyszek z małżonką.

Był to człowiek głęboko sfrustrowany, swój gniew rozładowujący na spontaniczne, ale nie do końca dojrzałe sposoby, takie jak wyrzycanie swastyk na świeżo odmalowanych lamperkach czy otwieranie okna i wygłaszanie jakichś koszmarnych jeremiad, w których wykorzystując podwórko studnię jako naturalne nagłośnienie, demaskował spisak żydowski na naszej klatce schodowej, nie siląc się na oględność i kluczenie między faktami. Jego żona, z której twarzy ślady dawnej urody krzyczały

ostatnim desperackim krzykiem, zamieniającym się już w charkot i rżenie, pojawiała się rzadko, głównie w postaci odgłosu odbijania się od ścian podczas awantur. Jak czytamy w prowadzonym przeze mnie w latach 2003–2004 pamiętniku:

Z początku w ogóle myślałam, że są to wyłącznie elektryczne głosy na taśmie puszczane w celu zniszczenia mojej sytuacji nerwowej. Leżę w superpiękną niedzielę września. Nagle zza ściany, z brudnego łuszczącego się okna z wystającą przyciętą firanę jak z jakąś luzem latającą tkanką, na którym leżą zgnite chleby i kości od kurczaka, wyraźnie pozostawione dla bóstw chtonicznych, które przylatują nocą, rozlega się: brudasie, dlaczego tu jest pozalewane, kurwo. Świnio. Cała lodówka roztopiona, pozalewane jest. Świnio.

I (to już wiosna 2004):

Pan Zbyszek otworzył nam drzwi, w płaszczu na plecach miał 2 dziury, jego głowa z 3 kępami włosów jak bulwa na szyi kiwała się ze zmęczenia. Bardzo chciało mi się płakać, bo wisi nad nimi eksmizja a pan Zbyszek niszczy świeżo pomalowane ściany i raz było o to nawet zebranie mieszkańców na klatce. Wtedy jedyny raz widziałam wszystkich sąsiadów naraz, bo akurat przyszedł do mnie Sufin i musiałam po niego zejść (Sufin w brudnej od sosu marynarce w pepitkę, bez niczego tylko z wypitą do połowy butelką wina). Siedziały tam na schodach kurpiowskie staruszki na fotelach ortopedycznych, przyniesionych z mieszkań, jakieś młode kobiety w laczkach i dresach. Zastanawiałam się wtedy przez chwilę, która z nich tak wrzeszczy, kiedy się rucha, zatruwała mi tym każdą noc zimą, kiedy cierpiałam na bezsenność.

Rozgrywające się w mieszkaniu obok codzienne piekło powraca raz po raz w wymownych opisach o turpistycznym obrazowaniu i nowatorskiej interpunkcji. Co tu dużo mówić, w 2003 roku byłam już czynną pisarką, w dodatku studentką kulturoznawstwa w Instytucie Kultury Polskiej. Mimo że na zajęciach oddawałam się głównie rzucaniu papierami i komponowaniu debilnych krzyżówek, studia nie pozostawiały mnie z niczym. Mimowolnymi nabytkami umysłowymi konsekwentnie szpikowałam swój pamiętnik; rezonowały na jego kartach wspomniane już bóstwa chtoniczne i różne inne niejadalne bakalie, które do dziś kołaczą mi się po głowie („Hezjod urodził się w Beocji”; „mówi do mnie w konwencji mądrościowej – ojciec i synowie”; „dziś na ulicy – straszna miazma”). Wyimki z tego okropnego memuaru cytuję wam tu w konfidencji, wiedząc,

że nikomu ich nie pokażecie; ten lekko już pożółkły (naprawdę!) i wydrukowany w dużej mierze na odwrocie szczotek *Zakazane po legalu* Doroty Szczepańskiej materiał sprawił mi ogromną przykrość. Bliskość dawnych stadiów siebie ma w sobie coś kazirodczo obrzydliwego. Gdy jednak wyjść poza pierwszy dyskomfort, przeczekać dreszcze niesmaku, stanowi on ciekawy zapis ówczesnego życia obyczajowego. Oprócz zdeparowanych strzępów dyskursu antropologicznego powracają w nim różne rekwizyty i zjawiska, pozwalające spojrzeć na tamten czas z daleka. Wśród nich: mój nielekki, nieintuicyjny, niedotykowy telefon Nokia 1A i parówki w szlafroku ze sklepu Albert (dziś Carrefour). Karta do wypożyczalni wideo Hollywood i oglądany z powodu bezsenności kanał *sexycine.tv* z pornosami (których fabuły zresztą drobiazgowo przytaczam).

Spalone później przez developerów zagłębie Dobra, gdzie chodziliśmy na penne z groszkiem (do prowadzonej przez Zbigniewa Liberę Aurory!), księgarnia-kawiarnia Czuby Barbarzyńca, gdzie nabywaliśmy różne ambicjonalne lektury, czyniące potem mój styl tak gorączkowym, czkającym i ainterpunkcyjnym. Nieodżałowana Café Bajka, prawdziwa mekka ulicznych dziwadeł z Nowego Świata, prostytutek z rumieńcami wstydu nasmarowanymi burakiem i różnych frików szukających frajera, co ma dziesięć wolnych godzin, by słuchać historii ich życia. Obsługiwała tam śmieszna rodzinka: babcia, dziadek, szwagier, ciocia, wszyscy przemili, wąsaci i niezałujący bitej śmietany.

(A jak widziałyśmy tą kurwę w Bajce? Różne akcesoria zupełnie nieadekwatne, nieaktualne, tłuste spojrzenia, różne wyuczone gesty... Wielkie jak spalona stodoła włosy, wielkie wymalowane na czole brwi [...] była wielka jak budynek, jak spalony wieżowiec).

No i wreszcie Hoża 8/42, gdzie mieścił się Raster, a jedno z pomieszczeń zajęła redakcja magazynu „Lampa”.

Raster był na najwyższym piętrze starej kamienicy i strasznie trzeba było się najebać na tę górę, więc życie towarzyskie toczyło się już właściwie na schodach, gdzie mijano się, witano, pito, znoszono nawzajem albo samodzielnie staczano. Wchodziło się tam i pierwsze drzwi po prawej to była „Lampa”, a dalej była galeria. Galeria to były przestrzenie duże, rozświetlone, przewiewne, w których ciągle coś wystawiano i które

w związku z tym pozostawały w stałym procesie konstrukcyjno-dekonstrukcyjnym.

Choć mieszkanie sypało się w oczach, gospodarze potrafili nadać tej entropii seksapil; poprzez odpowiednie oświetlenie i narrację grzyb i robak wydawały się czymś fajnym i przywiezionym z Berlina. Natomiast „Lampa”, przycupnięta w progu, przeniosła się na Hożę z całym swoim piwniczno-pakamerycznym potencjałem, nawet na najwyższym piętrze tworząc naziemne podziemie. Grzyb i robak wracały tu do swoich dosłownych sensów, wpełzając na piętrzące się wszędzie książki, płyty i dosłowne góry niechcianej korespondencji, którą zwano zbiorczo „GRAFOMANAMI” (od osób, które po sukcesie *Wojny polsko-ruskiej* widziały w Duninie wydawcę, co z ich druków z ZUS-u zrobi bestseller). Chodziliśmy tam po zajęciach jak dzieciaki do rodziców do pracy i chodziliśmy tam w weekendy na premiery książek i wernisaże jakichś wystaw, które w ogóle nas nie obchodziły. Zawsze można było pogmerać w nowo przysyłanych książkach, pogrzać się przy farelce, napić jakichś skandalicznych win, a potem zjeść kebaba na dole. I choć jestem pierwsza, by przed wzruszeniami serca zasłaniać się ironią i podśmiejkami, to myślę, że w tej ubogiej, zabałaganionej, niespełniającej norm unijnych izbie buzował niesamowity ferment twórczy, którego wtedy nie doceniałam, a już później nie doświadczyłam.

Dyskutowano, kłócono się, unoszono, omawiano! Żyliśmy na permanentnym panelu. W przeświadczeniu, że książki są najważniejsze na świecie! Traktowaliśmy to na śmierć i życie, jakbyśmy przeczuwali, że wkrótce empiki zapełnią się dyfuzorami i zestawami potpourri. W ciemnej redakcji siedział sekretarz, Marek Włodarski, zwany Grzegorzem Gazą, najczęściej też świętej pamięci Stanisław Manturzewski, zwany Stanem Mantu, i cała plejada innych osób, w które dziś nie chce się wierzyć. Z dzisiejszej perspektywy dochodziło do konfiguracji towarzyskich zupełnie nierealnych, jak te, które przydarzają się w snach; na Hożej przecinały się nieprzecinające się raczej ścieżki artystów wizualnych (tak zwanych plastyków) i różnych literatów z koziej pałki, którzy koczowali w redakcji. Środowiska wężowały po osypujących się salach galerii w alkoholowym korowodzie; korowodzie oczywiście toksycznym, nieznośnie autotematycznym i kręcącym się w kółko.

Dokumentem tego samourzeczenia jest komiks *Świetlica* Poli Dwurnik,

dobrze pokazujący, że było to wszystko interesujące głównie dla zainteresowanych. Trzeba pamiętać, że były to też czasy stopniowego przenoszenia się życia towarzyskiego i uczuciowego do internetu. Protohejterzy szaleli na blogu Kumpie, popularny też był pre-Facebook Grono.net i komunikator Gadu-Gadu.

Ostatecznie, myśląc dziś o tamtych czasach, widzę właśnie, jak z Mirkiem Nahaczem, nudząc się, wkradamy się na Gadu-Gadu Dunina i bombardujemy Roberta Sankowskiego prośbami o „przepisanie wywiadu”. Drastycznie nieatrakcyjną propozycję, którą rozmówca jest bardzo zdziwiony, argumentujemy niedbale i mało przekonująco („no weź”, „Robert, plizz”, „no bądź kolegą”), wprawiając go w jeszcze większe osłupienie i zmartwienie kondycją psychologiczną Dunina.

Druga scena kompleksowo obrazująca klimat tamtych czasów to policja wezwana na Hożą z powodu głośnej imprezy i niesłusznie kierująca karcące kroki sprawiedliwości do redakcji „Lampy”. Do dziś twarze wychodzących z niej policjantów są dla mnie reprezentacją wizualną dysonansu poznawczego. Widzę, jak paralizatory i odbezpieczone karabiny maszynowe wędrują z powrotem do kabur. Ponieważ w środku panuje cisza, a wręcz dziwny stupor, w którym po obydwu stronach biurka zawiesili się jacyś alkoholowi pobratymcy. Pośrodku, jakby zadowolony z takiego obrotu spraw, że wreszcie wszyscy zostawili go w spokoju, leży Dunin na dywanie w pozycji wypoczynkowej, bocznej brzusznej, i puszcza w kółko swoją kolejkę. Pociąg pędzi po wykładzinie wśród stóp pijanych i przewróconych puszek, a każdy jego przejazd odbija się w twarzy redaktora błogim uśmiechem.

Maj 2004 roku. Polska wchodzi do Unii Europejskiej. Ja wyprowadzam się z Powiśla w zgoła przeciwnym kierunku, na Pragę; w pamiętniku entuzjastyczny wpis:

Wracając do sąsiadów, tutaj mamy mnóstwo sąsiadów. Robią wszystko, by wejść do nas do domu, my ich wpuszczamy i dajemy im różne rzeczy, które nie są nam potrzebne. Nie mogą w to uwierzyć, najchętniej wzięliby wszystko, ale potem porzucają to na schodach czy na podwórku.

Krótką ta notatka, wydrukowana na kserówkach z poetyki, zawiera ważną obserwację. Ówczesna Praga Północ była, jeśliby wierzyć mantrą agentów nieruchomości, „mekką artystów”, gdzie wkrótce miał się zacząć szalony renowacyjny i powstać drugi Berlin, a jeśli wierzyć oczom i uszom, raczej rokująca przestrzeń do paintballa. Kilometr od ścisłego centrum europejskiej stolicy jakieś nierealne chaszczki, zasrane wzdłuż i wszerz trawniki naszpikowane żelastwem, na wpół zburzone mury, gnijące płyty dykty, rusztowania nigdy niedokończonych inwestycji. Łąki, łopuchy, bezkresy. W tym wszystkim ludzie z twarzami jak pomidory, jak bakłażany. Od rana stali w bramach i pustostanach, wprowadzając do krwioobiegu pierwsze rozruchowe dozy piwa Książ i obrabiając jakieś tajemnicze łupy, odcepione, ukręcone, wyrwane, zajumane. Takie obowiązywało tam prawo materialne, że nic nie mogło być luzem. Każdy nieprzyczepiony łańcuchem obiekt ruchomy jakby krzyczał, prowokował: „weź mnie sobie!”, „zbiodegraduj mnie!”. Każdy element spuszczonego z oczu, choćby na kwadrans, momentalnie trafiał do zbioru elementów powszechnego dostępu i użytku i mógł zostać zabrany przez kogo bądź, choćby wyłącznie celem przeniesienia w inne miejsce. Przez to okolica pozostawała w ciągłym (dyskretnym) ruchu robaczkowym, ciągłej pokątnej gorączce, tajonej oczywiście przed odpowiednimi służbami.

Na tyłach (tak jakby zresztą były tam jakieś przody!) toczył się permanentny demontaż, rozkładanie na czynniki pierwsze; troskliwe skórowanie, drylowanie, skubanie. To, czego nie dało się rozmontować, sfermentować albo gdzieś opchnąć, było porzucane; z części klecono prowizoryczne pijalki: stoliki, krzesła. To krążenie po ulicach i podwórkach na wpół zbiodegradowanych przedmiotów nie miało żadnego kierunku ani sensu, było czystym krążeniem, temperaturą. Dlatego gdy zdecydowaliśmy się oddać zastane w mieszkaniu sypiące się mebelki, zniknęły one w dziesięć minut, jednak jeszcze wiele dni widywaliśmy je porzucone w całej okolicy.

Nędza i syf były u mnie straszne, chociaż było w tym coś ujmującego. Do dziś czuję to czasem na Pradze: na dworze zimno i wilki, a ty wchodzisz do rozświetlonej kuchni jak do łona Mamusi Muminka. Zazwyczaj gotuje się tam coś obrzydliwego, do picia tak zwana kadareczka, na pewno wiele osób wie, o czym mówię. Ponieważ Dunin niedaleko miał drukarnię, nieuchronnie wpadał ciągle do nas. Mogę śmiało powiedzieć, że jeśli

redakcja była na Hożej, to u mnie były pokoje gościnne „Lampy”. Ekumenizm był ogromny. Znałam meneli, znałam księży z kościoła, znałam świadków Jehowy, znałam wyznawców Kościoła Potwora Spaghetti. Jak bardzo otwarty był to dom, niech świadczy fakt, że któregoś niedzielnego poranka do mieszkania po prostu weszła z ulicy jakaś dziewczyna i przetoczywszy się przez cały korytarz, zamknęła się w łazience. Zamknęła to też szumnie powiedziane, bo była tam w drzwiach duża szpara umożliwiająca obserwowanie. Obudziłam ówczesnego partnera i staliśmy, patrząc na dziewczynę przez tę szparę. Jednak z czasem zaczęliśmy się niepokoić. Wysikanie wysikaniem, ale prawdziwym wyzwaniem bywa wstanie, gdy sobie człowiek już tak miło usiądzie, wymości, odpręży się, zacznie odpoczywać, a może nawet przysypiać... Po pewnym czasie jednak drzwi otworzyły się z hukiem. Oczy jej – cóż, z perspektywy czasu powiedziałabym, że miały czarne białka i białe źrenice, ale wiem, że to niemożliwe, więc powiem tylko, że nie były one zwierciadłem duszy. Spytaliśmy jej, jakiej słucha muzyki, a ona odpowiedziała, że i-o-pu. W dłoni trzymała majtki, a dupę miała gołą. Widziałam ją jeszcze potem przez okno, jak wariuje wśród blachy falistej, zaprzeczając starej maksymie, że bez gaci nie ma zabawy.

Jedno jest pewne: na Pradze Północ nie było H&M-u. Okolice – dziś schludnie połatana żółtym styropianem, zarastająca w oczach szklonymi neoblokami, pełna „klimatycznych knajpek” i sklepów z żywnością bio, znajdowała się w stanie śmierci klinicznej. Developerzy po drugiej stronie mostu Świętokrzyskiego już przebierali nogami, by wkroczyć, jednak tu ciągle bida i ciemność biły po oczach.

Był podły Wietnamczyk o charakterze loterii zatruciowej, a obok równie niewesoły sklep Alkohole Świata. W witrynach dawnych zakładów rzemieślniczych kisiły wśród pradawnych firanek jakieś tajemnicze, zdekompletowane artefakty, porzucone rekwizyty umarłych światów. To był magiczny moment, jakieś zawieszenie, urbanistyczny i cywilizacyjny suspens. W tej wypalanej, aunjnej rzeczywistości coś było bardzo poetycznego, wielomównego, coś, co mnie niesłychanie uruchamiało i czego sobie dzisiaj zazdroszczę. Potłuczone kulami, oszczane mury gadały, wygadywały świństwa, kleły przysłonięte kartonami okna i szalone

śmietniki; wszystko prosiło się o domysły, dopowiedzenia! Żyłam tam w jakimś uniesieniu, w ciągłej apologii rozpadu, demolki i bezsensu.

Moje tyrady o p r a w d z i e praskiej bardachy, która była dla mnie przeciwieństwem splendorów oferowanych przez Warszawę lewobrzeżną, nie są może bardzo mądre, za to pełne metafizycznego podminowania i wyjątkowo pozbawione przecinków. Wydrukowane z jakiegoś powodu na ksero opowiadania *Siostra Cora Cortázara* są ostatnimi zapiskami w moim pamiętniku. Zaś moja gawęda przerwana zostaje nie tylko poprzez wyczerpanie materiału faktograficznego, ale i przez niespodziewany telefon Pawła Dunina-Wąsowicza: „Doris, śniłaś mi się! Śniłaś mi się, że mnie opierdalasz, że wypilem pół litra wódki!”.



Azja Express

„Pijawki, chuby itp. egoistyczne ustawianie się w życiu żerując na innych, jednocześnie protekcyjnie traktując innych jak śmieci”.

Anonimowy Internauta

Poświęcenie dziesięciu godzin dobrego życia na obejrzenie programu *Azja Express* wywołało u mnie pewną moralną ambiwalencję, jednak mój spowiednik uspokoił mnie. Owszem, może i była to niegospodarność, szastanie na prawo i lewo czasem i komórkami nerwowymi, które mogły zostać spożytkowane na coś bardziej podobającego się Bogu. Z drugiej strony robiłam to w dobrej wierze, biorąc na siebie pewne brzemię, którego inni nie mają może woli i cierpliwości nieść. Tak więc obejrzałam *Azja Express*, byście wy już nie musieli go oglądać albo zasłaniać się nieprzydatnymi godności argumentami: „Nie widziałem, ale nie podoba mi się” i „Co to w ogóle za gówno?”, lądując poza nawiasem ogólnonarodowej hysterii. Z trzeciej, już poważniejszej strony: rozmiarów tej ostatniej nie doszacujemy.

Nie, nie można powiedzieć, że najnowsze TVN-owskie celebrity show, w którego ramach znani i (niekoniecznie) lubiani ścigają się po ubogich częściach Azji, jest programem mądrym i inspirującym, prowadzonym przez profesor Marię Janion i profesora Hausnera. O tym pisali już Paulina Młynarska i Filip Springer. Jednak bardziej statystycznym Polakom zdaje się to aż tak nie przeszkadzać – sycą się sensacyjną formułą i fizjologicznym upodleniem „pięknych i bogatych”. Bo to właśnie pot, krew i łzy tych medialnych pół-, no, ćwierćbogów... bóstw... bóstwek... podbóstw, przybóstw... nie wiem, jak to stopniować... są główną atrakcją show.

Co srodę losy uciemieżonych celebrytów śledzi półtora miliona osób (plus milion odsłon odcinków w internecie), zaś ich postawy są komentowane i analizowane w mediach społecznościowych z gorączką wartą lepszej sprawy. Serwisy plotkarskie poświęcają *Azji* co drugi post, próbując wyssać powstałe między gwiazdami kwasy i animozje do ostatniej molekuly.

Wyeliminowani zawodnicy niemalże stacjonują w telewizjach śniadaniowych, tłumacząc zawilości zatargów i psychologicznych wojen z poprzednich odcinków, z całkowitą powagą przyjmując pozy i intonacje profesorów doktorów habilitowanych azjoexpressologii.

Małgorzata Rozenek typuje już uczestników do kolejnej edycji („Są tacy ładni. Mogliby być d r u g i m i n a m i”). „Cała Polska czeka na to, co będzie” – stwierdza śmiało projektant mody Łukasz Jemioł, Przemysław Saleta uważa, że „Wiele osób żyje teraz od środy do środy”. Ale nawet jeśli ta cokolwiek autocentryczna, pokolonijna perspektywa jest odrealniona, to coś jest na rzeczy: *Azja Express* dostarcza Polakom wspólnotowych emocji i dreszczy na miarę pierwszej edycji *Big Brothera*.

Wokół niej w 2001 roku tak samo podniesiono obyczajowe larum; telewizja zdawała się zmierzać donikąd. Jak czytamy w kompendium *Obyczaje polskie. Wiek XX w krótkich hasłach*, jesteśmy przywiązani do idei przekazu mądrzejszego od widza, dydaktycznego, misyjnego, przynoszącego salon pod strzechy. *Big Brother* stanowczo pod strzechy przynosił inne strzechy. W naszpikowanym kamerami domu Wielkiego Brata kwitło dzień po dniu kilkunastu Polaków, powiedzmy sobie wprost, pozbawionych szczególnych właściwości. Elektryzującym widzów *novum* było przełamanie pewnego telewizyjnego tabu: idei programu jako skonwencjonalizowanego medialnego preparatu, silnie oczyszczonego ekstraktu. *Big Brother* był obietnicą audycji-życia, rozlanej poza godziny emisji, nieobranej z „prawdy”, plew rozmaitych codziennych nud, nieatrakcyjności i nieprzewidywalności. Stymulujący mózgowy ośrodek podglądactwa, codziennie gromadził przed odbiornikami cztery i pół miliona osób, w nadziei na zobaczenie w telewizji czegoś nietelewizyjnego: stosunku, kłótni, kąpieli, siku, a może nawet dwójki.

Nudni uczestnicy pierwszej edycji wszelkie tabu omijali jednak wstydliwym łukiem. Całymi dniami pokornie wykonywali nieinteresujące zadania, odbywali niepogłębione rozmowy, a na umysłowym bezrybiu każde zdanie zaczynające się od „Bo w życiu to jest tak...” urastało do rangi wiekopomnego „tekstu”. Beknięcie do dowcipu. Jednak mimo zupełnej bezbarwności, obserwowani w „pieleszach” i psychologicznych dezabilach, zyskiwali u oglądających status osób dobrze znanych, bliskich, budzących

zaufanie.

W łańcuchu skomplikowanych reakcji telewizyjno-socjo-chemicznych powstawała jakaś przedziwna zbiorowa fatamorgana pod tytułem „Bliscy znajomi nas wszystkich Polaków”, utrzymując się zresztą jeszcze wiele lat po zakończeniu edycji. Mimo że telewizję niemal natychmiast zalała fala mniej lub bardziej udanych klonów programu, tylko oni zostali rozpoznawalnymi figurami masowej wyobraźni. Sama pamiętam jak dziś: pociąg relacji Warszawa – Poznań, wagon Wars, Piotr „Gulczas” Gulczyński każdym swoim ruchem (popiskującej skórzanej kurtki) podnoszący kurzawę szeptów i spojrzeń.

Wyciągnięci za chabety z anonimowości big brotherowcy „otwarzowali” całą ramówkę TVN, wystąpili w filmie fabularnym i reklamowali paranoiczne gadzety w Mango Gdynia. Manuela Michalak prowadziła program satyryczny, Małgorzata Maier – o dekoracji wnętrz, Monika Sewioło wystąpiła na okładce „Playboya”, a ich nazwiska i twarze przywołuję piętnaście lat później z pamięci, nie musząc posiłkować się Encyklopedią Wiedzy Całkowicie Niepotrzebnej. Narysowani komiksową kreską (każdy posiadał maksymalnie jedną cechę: gruba, macho, sekutnica, blondynka), stanowili coś w rodzaju zestawu najczęstszych Polaków. Tworzyli rodzaj społecznej makiety, mini-Polski, platformy do spekulacji, dyskusji i negocjacji wartości.

Podobnie narracyjno- i wspólnototwórcze właściwości ma w moim odczuciu w roku 2016 *Azja Express*. Znowu przed ekrany przywodzi widzów nadzieja na zobaczenie treści przez media tabuizowanych, w tym wypadku: mizernej człowieczej kondycji jej gwiazd. To typowe telewizyjne igrzyska: odwrócona loteria, w której ramach tym na co dzień wywyższonym zostają skonfiskowane ich boskie atrybuty: pieniądze, samochody, makijaże, korzystne światła i rozpoznawalność. W wycieńczającej podróży po Tajlandii, Wietnamie, Laosie i Kambodży dysponują tylko swoimi elementami nieruchomymi, takimi jak implanty, operacje plastyczne i osobista obrotność. Tej ostatniej doprawdy im nie brakuje. Można z nimi konie kraść, ale wyłącznie upewniwszy się wcześniej, czy to przypadkiem nie nasze własne. Te sobaki są tak superskuteczne, że spotkawszy Jezusa Chrystusa dźwigającego krzyż, spytałyby, czy mogą u niego nocować,

a przynajmniej podrzuciłyby mu do noszenia swój plecak. „Nikt tu nie jest przypadkiem, to elitarny klub morderców” – mówi Małgorzata Rozenek (*Perfekcyjna pani domu, Projekt Lady*) w przeplatających sensacyjne przygody sekwencjach refleksyjnych.



Ta niewątpliwa cwaniackość i superskuteczność celebrytów, choć bardzo medialna, drastycznie obniża potencjał edukacyjno-podróżniczy show. Dynamicznie zmontowane, pełne landszaftowych widoków, od biedy mogłoby spełniać postulaty dydaktyczne: rozbudzać tęsknotę za egzotyczną awanturą, czy chociaż poszerzać horyzonty. A jednak pokazuje zetknięcie z obcą kulturą w najgorszym możliwym wydaniu – płytkim, wyższościowym, bezmyślnym. Zdeterminowani, by wygrać wyścig, uczestnicy nie mają czasu na polityczne poprawności: odnoszą się do tubylców użytkowo, a rzeczywistość, z całą jej zawieszistością historyczno-kulturową, traktują jako planszę nie zawsze mądrej gry. W przypadku Tajlandii jeszcze ujdzie, w przypadku Kambodży zaczyna się robić dziwnie. Z jednej strony tak właśnie wygląda popturystyka w dobie tanich biletów lotniczych, z drugiej bardzo źle, że ten przykry model utrwalają i promują osoby opiniotwórcze. Które a to mierzą babom włosy, a to grają z tubylcami w rattanową gumę, a to prowadzą lokalne dzieci na sznurku, konsekwentnie mówiąc do wszystkich po polsku. Jak śpiewał Andrzej Rosiewicz: „Mógłbym się tą Japoneczką nawet zauroczyć, ale jak tu takiej Chince spojrzeć prosto w oczy?”.

O wygraną (sto tysięcy złotych) walczy siedem par, złożonych z celebrytów i normalsów: Przemysław Saleta i Dariusz Kuźniak (którzy od razu przepuszczają swoje symboliczne dolary na imprezkę i odpadają na samym początku), sympatyczne, poruszające się siłą bezwładu i łutu szczęścia aktorki abnegatki Agnieszka Włodarczyk i Maria Konarowska, ponuro skuteczni, sumienni, niezabawni kucharze Pascal Brodnicki i Paweł Dobrzański, wyjadający sobie z dzióbków Małgorzata Rozenek i Radosław Majdan, pieczołowicie pracujący na potencjał medialny swojego związku. Wreszcie: filuterni, ale ambitni – aktor Michał Żurawski i Ludwik Borkowski (mogący budzić sympatię swoją ostentacyjną nietelewizyjnością), Hanna Smoktunowicz i slapstikowo zmanierowany projektant mody Łukasz Jemioł oraz para szczególnie, biblijna: dobra blondynka (Weronika Budziło) i zła brunetka (Renata Kaczoruk).

Choć z początku ciężko zaakceptować niepodważalną głupotę całego przedsięwzięcia, jak i jego uczestników, *Azja Express* oczywiście wciąga. Porywa serce awanturnicza eskapada, podkrecona montażem, dodanymi

w postprodukcji efektami, absurdalnie dramatyczną muzyką, nadającą zmaganiom bohaterów w gnojówce aspekty epickie. Działa też niewątpliwie *Schadenfreude* – miło w zaciszu domowego ogniska oglądać poniewierkę medialnych kokietów. Wreszcie – po paru odcinkach – człowiek się przywiązuje. Jakiegokolwiek kocopoły by bohaterowie prawili, jakie okropne epifanie z piekła książek Paula Coelho rodem by przeżywali, jakich głupich fum by się dopuszczali – w jakimś akcie prabezbronności mózg dodaje ich do znajomych. Ta irracjonalna jednostronna więź, a raczej przywiązanie oglądającego do oglądanych, to właśnie najmniejsza jednostka prowizoryczno-efemerycznej wspólnoty, która à propos reality show powstaje i której mimowolnie zostajemy członkami.

Oczywiście w ogólnym rozpadzie struktur społecznych zawsze to jakiś surogat przynależności: możemy losy oglądanych wspólnie interpretować, przewidywać, oceniać, możemy ich nie cierpieć, obrażać i lżyć na forach. Znowu – tak jak w *Big Brotherze* – mamy do czynienia z ułożoną z celebrytów makietą, asortymentem komiksowych figur współczesności. Są tu: „zakochana para”, „przyjaciel gej”, „szowinizujący samiec alfa”, „wyrachowana kobieta” czy „zwykły skromny gość”, w których możemy się przegłębiać i do których możemy się odnosić. Komplet Polaków, wzorów osób, w które dzieci bawiłyby się niewątpliwie na podwórkach, gdyby dzieci bawiły się jeszcze na podwórkach.

Wiele z tych ról zresztą instynktowni autokreatorzy umiejętnie podchwytują, kokietując potoczne gusta i przekonania. „Ja nie jestem za żadnym równouprawnieniem, prawda, Radziu?” – zapewnia Małgorzata Rozenek, robiąc wiatr rżęsami. „Kobiety, które na co dzień wydawają się twarde, też chcą, by czasem je przytulić” – mówi ciepło wytatuowany piłkarz. To wyjadacze, często zawodowi showmani, którzy dobrze wiedzą, jak działa towarzysząca im kamera; z robienia kanapki potrafią zrobić etiudę, z zatrucia pokarmowego – objawienie duchowe. Wiedzą, że ścigają się o dużo więcej niż sto tysięcy: o sympatię widzów. Czegóż innego jest program fabryką, jak nie n a s z y c h w s p ó l n y c h z n a j o m y c h, którzy poprowadzą nam programy, wystąpią nam w serialach i podpowiedzą, jaki jeść majonez?



Co ciekawe, czytając budującą się wokół programu na forach internetowych opowieść, można dostrzec, że widzowie na te role, zagrane albo spreparowane w montażu, jakby dobrowolnie się nabierają. I wierzą w nie, i dobrze wiedzą, że to wyreżyserowana podpucha. Biorąc do analizy dowolną garść komentarzy, znajdziemy zazwyczaj powtarzające się emocje

i postawy:

– widzowie notorycznie demaskują złudną naturę show i fałsz jego uczestników („nędzna ustawka, wszystko na pokaz, wszyscy uczestnicy azja express siebie warci, wiedzieli na co się piszą i wiedzieli że cały ich charakter wyjdzie na wierzch. sami są sobie winni”);

– piją do jego moralnej śliskości („gdybym była gwiazdą gdyby zaproponowano mi udział w tym programie – kategorycznie bym odmówiła i przelała moje pieniądze na konto fundacji działającej na rzecz biednych ludzi”);

– mają poczucie, że biorą udział w zbiorowym napadzie głupoty („Boże jacy my jesteśmy ubodzy umysłowo przez takie głupie portale”);

– jednocześnie nie są sobie w stanie odmówić paru przykrych szczerých refleksji o wiejskiej naturze celebrytów – obsesyjnie powracający motyw słomy z butów („Małgonia to cwana lisica! Miała pomysł na dalsze życie. Znaleźć sobie faceta, którego by miała pod pantoflem i wejść do wyższych swer. Pierwszy warunek ma już spełniony w postaci Radzia. Drugi pozyskać go przez panią Agnieszkę Szulim Badziak Woźniak-Starak. Tylko pani Małgoniu! Chociaż nie wiem jak by się pani starała i tak słoma z waszych butów będzie wychodzić!”);

– do celebrytów zwracają się bezpośrednio na „ty”, często po nazwiskach albo pobłażliwymi zdrobnieniami. Doradzają im („Majdan chłopie weź się ogarnij trochę przycisła cię pantoflem tylko uszy wystają”);

– martwią się o nich i ich bliskich („a kto został z dziećmi Rozenek Majdan??? bo ona ciągle albo na ściankach albo lata ćwiczyc”, „Na ch... jej te dzieci jak ona albo nagrywa programy albo lata po krajach! Do niani dzieci będą wołały mama”);

– czasem czują się zaproszeni do zawierzenia im (i szerszej publiczności) treści osobistych („Chłopie obyś tak jak mój inteligentny Przystojniak po ponad 20 latach małżeństwa wciąż tak kochał i przynosił różę swej lubej albo śniadanko do łóżka aby ją bolały z tej namiętnej Miłości piersi muszelka pupusia a kominek był porządnie orgastycznie wyczyszczony tu różnica kolosalna wy jesteście po wielu parneterach a My dla siebie PIERWSI i oby ostatni jak Bóg da więc jest to bez porównania najpiękniejsza Nasza Miłość na świecie”);

– a jednocześnie dobrze zdają sobie sprawę z prawideł gry, którą wiodą ludzie szarzy z ludźmi nieszarymi („ja mam 2 pary botków na całą jesien a ona ma inna pare botków do kazdej stylizacji”; „Nie przejmuj sie, jej za to nienawidzi co najmniej pare milionów ludzi”).

Niewątpliwie zasługującą na wnikliwszą analizę postacią jest Renata Kaczoruk. Największa *Azji Express* wizerunkowa bankrutka, superzdeterminowana, nieprzebierająca w środkach, nie tylko nie zdobyła serc publiczności, ale wręcz stała się obiektem namiętnego ogólnonarodowego linczu. Wydaje się, że polskie media nie miały takiego kobiecego szwarccharakteru od czasu tak zwanej „mamy Madzi”. Przedsiębiorcza, robotycznie miła, w swoich wynurzeniach mówi wiele o „osobistych granicach” i „strefie komfortu”, jakby przed wyjazdem naczytała się o nich w podręczniku *Jak zmyślnie udawać człowieka?*. Skojarzona w parze z łagodną, lubiącą zwierzęta blondynką, jest ucieleśnieniem baśniowej złej siostry. Trwa ogólnopolska dyskusja, czy czarny charakter to efekt montażu, czy osobistych właściwości bohaterki.

Ja gdybym pisała o Renacie Kaczoruk pracę magisterską, z pewnością przywołałabym film *Ex Machina* Aleksa Garlanda, w którym demoniczny informatyk konstruuje w swojej dalekogórskiej posiadłości inteligentne, ale nieszczególnie sentymentalne kobiety roboty. Renata zachowuje się, jakby jej się udało stamtąd uciec i znaleźć schronienie w TVN-ie. Przede wszystkim jednak przypomina mi ona doskonałą pannę Bobbit z opowiadania Trumana Capote’a:

„Jedyną osobą, którą Prymus oklaskiwał tego wieczora, była panna Bobbit. Nie ulega wątpliwości, że Szatan jej sprzyjał, ale zasługiwała na to. Wybiegła, kręcąc biodrami, potrząsając lokami i wywracając oczami”.

„Niedługo potem panna Bobbit złożyła nam wizytę:

– W kościele jest taki przykry zapach – powiedziała, pochylając się do przodu, z dłońmi splecionymi skromnie na brzuchu. – Nie chciałam, żeby pan sobie pomyślał, że jestem poganką, panie C. Doświadczyłam dosyć w życiu, żeby wiedzieć, że istnieje Bóg i istnieje Szatan. Ale to nie sposób na

poskromienie Szatana, by iść do kościoła i słuchać, jaki z niego występny, wredny głupiec. Nie, Szatana trzeba kochać, tak jak Kochamy Pana Jezusa, bo wiele może i gotów jest wyświadczyć nam dużo dobrego, jeśli wie, że mamy do niego zaufanie. Mnie często świadczył uprzejmości... Na przykład w szkole tańca w Memphis zawsze wzywałam Szatana, by mi pomógł uzyskać główną rolę w naszym dorocznym popisie. Po prostu zdrowy rozum. Rozumie pan, wiedziałam, że Pan Jezus nie będzie zawracał sobie głowy tańcem”^[1].



Gdy jednak wybrzmi w sercu naiwna antypatia do nieznannej, wytworzonej w procesie telewizyjnej produkcji postaci, przychodzi chwila refleksji i kaca. Zaraz więc potem zadałabym w mojej pracy pytania: Kogo tak nie cierpimy? Kogo tak nie chcemy widzieć, kogo chcemy wywieźć na gnoju za wieś? I czy gdyby Renata Kaczoruk była mężczyzną, to jej

przebiegłość i determinacja byłyby zaletami, a ekspansywność uchodziłaby za siłę? Kogo wypędzają ze swojej świątyni Polacy? Co tak zaciekle egzorcyzmują?

Emocje, które budzi program, komentarze, cała ta budująca się wokół niego wielogłosowa opowieść stanowią niewątpliwie niezwykle ciekawy materiał socjologiczny. Jego analiza wykracza już daleko poza rozmiary tego artykułu i moje nerwy, ale niewątpliwie jest to posiew z duszy Polaka A.D. 2016. A ta, jak zwykle, w zaawansowanym procesie gnilnym: tak samo barwna, jak niezbyt apetyczna.

[1] Przełożył Krzysztof Zarzecki.

Warszawa

1.

Black Friday. Nowe święto niczego, nowa gorąca data w ekumenicznym kalendarzu bezsensownych zakupów. Bóg, Zakupy, Ojczyzna! – chciałoby się zakrzyknąć, patrząc na morfujący z każdym rokiem kalendarz, choć może, bardziej realnie, Ojczyzna, Zakupy, Bóg! Czy też Zakupy, Zakupy, tatuaże z Ojczyzną, spuszczenie wpierdolu ciapatym i coś tam jeszcze...

Być może podświadomie podminowana ogromem zbliżających się rewelacji, być może z innych zupełnie powodów, leżę w środku nocy roztrzęsiona, trawiona wielką przeceną, poniżona o trzydzieści procent. Przypomina mi się wszystko po kolei, przypominają mi się różne chwile, gdy karma zabawiała się mną jak delfin piłką. Kataklizmy i nieszczęścia albo właśnie jeszcze gorzej: te momenty strasznej beztroski, kiedy śmiałam się głośno, prawie krzycząc, podczas gdy tuż za rogiem czekała już na mnie, zapraszając pałką do karetki, m i l i c j a s z c z ę ś c i a... Co (tego a tego dnia) mówiłam i co do mnie powiedziano, gdzie tkwił błąd. W co byłam ubrana i czy nie lepiej było inaczej, co mogłam powiedzieć i co by mi wtedy może odpowiedziano, a co ja na to, i nie wypadłoby tak żenująco. Co się stało, co się nie stało i jak n i e s t a n i e s i ę tym różnym rzeczom wcale się nie przysłużyło, a wręcz przeciwnie: tym bardziej wiodły teraz na lewo jakieś pokątne niezmaterializowane życie GDZIEŚ, i że właśnie w takich chwilach, w takie noce słyhać było spod rzeczywistości bardzo wyraźnie ich szmery, kotłowaniny, westchnienia, fermentacje...

...nie proście, bym to wytłumaczyła...

Skojarzenia, twarze i pokawałkowane gadki szmatki z przeszłości dwoiły się, troiły i kontaminowały, tworząc całe drzewa, superpłodne, superekspansywne plechy rozmyślań, niepokojów i spekulacji. Było ich tak wiele, że nabierałam poczucia wręcz fizycznej ich obecności, i raz po raz

ogarniało mnie niedowierzanie, że cały ten m o n s t r u a l n y bigos pitrasi się w naczyniu tak nieadekwatnie małym jak moja czaszka... Drzemałam płytko wśród bełkotliwych ruminacji albo wierciłam się toksycznie, wpatrując się we współspiącego i jak pies próbując obudzić go namolnym patrzyeniem... Jego twarz pozostawała jednak niezmacona. Mimicznie rozbrojona, rozmiędalona gdzieś tam w sobie, przeliczała jakieś własne sprawki, których byłam tylko siódmej wody statystką.

Czas upływał mi w postaci bardzo małych, dokuczliwych atomów, albo wręcz przeciwnie: nieogarnialnych, nieznośnie wielkich kawałów odrywających się od bryły nocy. W pewnej chwili nawet pomyślałam, żeby podejść do tego jakoś inaczej, odnaleźć w tym coś na *in plus*. Codziennosc pełna jest przecież rozmaitych mikrocudów, które my, zabiegani smartfoniarze, notorycznie olewamy. Może całymi nocami, gdy niczego nieświadoma śpię, omija mnie coś, czego mogę t e r a z dotknąć: jakieś tajemnice, sekretne życie ubrań, sejmiki rybików cukrowych... W mieszkaniu panowała jednak tylko wieloznaczna cisza, suma wielu cichych hałasów, na którą składały się potajemne krwiobiegi rur i przewodów, westchnienia mebli i szelesty pościeli, moszczenia i wygryzania sobie zwierząt, wreszcie: niecichnący nigdy ambient samochodów z trasy. Przez okno widziałam skażone świetlnym smogiem niebo, w tym niewytłumaczalnym granatowopomarańczowym kolorze, na który barwią je elektryczne wydzielniny Warszawy: neony, witryny, latarnie.

Cicha, ciemna ciemnością gawry czy łona kraina śpiących i ja, koczujący na jej brzegu banita. Uchodźca z głową pełną zaklinań i kontrargumentów, kiblujący pod zamkniętym na głucho urzędem. Gotów do okazania wszystkich niezbędnych skarg, odpisów i akt, nabuzowany, łasy na każdy szelest, brzęk kluczy, wpity uszami w każde zagęszczenie, szurnięcie, domniemany krok. Jedyny sprzedany bilet na nieznośnie długą symfonię rojącego się z ciszy poranka.

Wreszcie są – kontrolny ryk pierwszego metra, pomniejsze żelaziste czknięcia tramwajów. Stopniowo dołączające sprawy śmietnikowe: kontenery, zamiatania, śmieciarki. Trzaśnięcia drzwi, turkoczące na polbruku kółeczka walizek, stukające obcasy, policje, karetki. W ten sposób moja podróż do kresu nocy dobiega kresu; możemy nazwać to dniem.

2.

Półdnem. Prawiedniem, rodzajem nieco jaśniejszej nocy. W chaotycznej asyście zwierząt, podnieconych, obślinionych, antycypujących już poranne profity, łaski, deszcze chrupek, idę przez ciemny dom. W ciemnościach namacuję ekspres, po omacku biorę się do tych różnych porannych starań, kaw, nalewań, nasypywań, spraw jajek i chlebów. Dziecko – w ramach buntu przeciwko naszym wydumanym gustom – słucha od rana do wieczora jakiegoś Radia Zet czy innego RMF Nieclassic, które właśnie aktywowane, zalewa kuchnię rączymi kaskadami debilozy. To rzuca na sprawy zupełnie nowe, stroboskopiczne światło. Podekscytowane słowotoki spikerów buksują w nicości między pogodą, nieciekawymi ciekawostkami a szowinistycznymi sucharami. Nowatorskie rozwiązania językowe („procedować”, „robić dobrą robotę”, „najnowsza piosenka od Rihanna”, „ja tobie powiem”) i kompulsywnie wtrącane telemarketingowe blefy („nie ukrywam, że”, „szczerze”, „jak ja to mówię”) sprzęgają się z evergreenami polskiej jaźni, takimi jak Pudzian, Doda i Lewandowscy, dowcipasami o wrednych teściowych, 500 plus i cytatami z *Misia* i *Seksmisji*.

Odwołania do tego ubogiego, rzadko aktualizowanego imaginarium zawieszają to wszystko (razem ze mną) w jakimś dziwnym pozaczasie. Niedobory treści rekompensują sinusoidalne, wznosząco-opadające melodie głosów prowadzących. Mówię-mówię-mówię-mówię – zdają się ekscytować o poranku Aneta i Damian, afirmując cud ludzkiej mowy, jednocześnie nie bardzo wiedząc, co dalej z nim począć. Impas przerywają przebój, dzingle, dzwonki, monety sypiące się z jakichś wirtualnych kas, pohukiwania małpisonów, a potem znów wiadomości.

Oprócz standaryzowanych newsów o codziennych makabrach, gwałtach, pobiciach obcokrajowców i wielkim narodowym odkopywaniu zwłok, sensacją dnia są obniżki z okazji Black Friday. Więc wszystko jedną czcionką: zabili, zgwałcili i rozkopali groby, ale świat się na tym nie kończy, bo to i owo można dziś kupić naprawdę korzystnie („atrakcje! benefity!”), (tu zaczyna się wymienianie różnymi głosami, co można nabyć, ile procent zniżki), („Rwij, rwij, rwij, okazje!” na melodię *Jingle Bells* i tym podobne), (zaraz potem „Nietrzymania moczu mam już dość” na melodię *Przybieżeli do Betlejem*), („Boże, mam kolkę” na melodię *Boże coś Polskę*), („Ta ostatnia egzema”), (jelita, gazy, pochwy, zespół niespokojnych nóg), („moje życie było

koszmarem”), (halitoza oddechowa!), (dyskomfort).

Ubieram się, wychodzę. Plac stoi, jak zwykle o tej porze, w błękitnym oparze spalin. Przyłączam się do pospiesznych zatroskanych tabunów, milczących mrowi, zombicznych mas, przelewających się między przystankami a kosmodromem metra. Szybkim, nieznoszącym sprzeciwu krokiem osoby, która nie ma chwili do stracenia, osoby, na którą czekają klienci, petenci, referenci z referatami, idę NIGDZIE. Nie dam po sobie poznać, że jestem tylko nędzną pisarką, socjonautką bez misji wałęsającą się po przejściach, po peronach.

3.

„Czuję, że za to powinnam kochać cię bardziej!” – mówi baba na billboardzie w metrze, całując pluszową żabę (Złoty Kocopoł Myśli Developerskiej 2016). Chodzi o te rosnące w okolicy nowe wspaniałe światy, futurystyczne i martwe, częściowo jeszcze w montażu, wyglądające jak pełne gliczy komputerowe symulacje. Bez przechodniów, bez usług albo z ciągami: żywność bio – Biedronka – *la soupa* – atelier piwa – *fitness 24h* – Chleb i bułki *concept store*. Pracownia Sałatek – Fabryka Makaronów – Manufaktura Naleśników – Wytwórnia Kawy. Szklane domy, niesamowicie nowe, bez szewców, konfekcji „Judyta”, centrów zasłon, pomników ofiar, kościołów, „odkazania obuwia”, „usuwania odcisków”, pozostałości gett i lumpeksów. A co za tym idzie, bez staruszków, kibiców Legii, bab z siatami, wyrostków, pijaków, brzydkich, źle ubranych, jedzących gluten, najogólniej mówiąc – l u d z i...

(Swoją drogą, czyż nie są wielomówne te wysmażone w pocie czoła wypracowania developerów, starające się komunikować z marzeniami wielkomiejskich kredytobiorców, pracowników korporacji i sektora bankowego? Czy nie wprawnie żonglują wymacanyimi w badaniach fokusowych aspiracjami, tęsknotami mieszczańskiego serca, czyż nie upoetyzowują koszmarnych, wyabstrahowanych z tkanki miejskiej bloczków na Zielone Ogrody, Spokojne Przystanie i, uwaga, Żoliborz Artystyczny? Ten ostatni: „Przesycona sztuką aura”, zdaje się odwoływać nie tylko do

żoliborskich ikon kultury, lecz i do tej charakterystycznej, mieszczańskiej słabości do artysty. Ciągnie biały kołnierzyk do zwariowanych kolorowych ptaków, chodzących cały dzień nago po domu i kopulujących z kim popadnie! Pisarzy pochylonych w skupieniu nad maszyną! Wyrrywających z niej ledwie co zapisane kartki i mnących je w furii! Malarzy (tu ostatnie ruchy pędzla na filiżance cappuccino „TIME FOR COFFEE” – galeria Castorama, akwarela, za zgodą artysty).

(Nie mogę przesądzać, ale na widok wielu artystów mieszkańcy Żoliborza Artystycznego wezwaliby ochronę za samo stanie obok. Niedesignerskie ubranie, niebiałe zęby, niepochlebne maniery. Brak elementarnych kompetencji społecznych, ciągle pytanie, czy ktoś ma może sprzedać coś do palenia, uzależnieniowość, brak doniczek z bazylią. Artyści to jawne ludzkie piekło, zdawałoby się, kompletnie niezdatne do disneizacji; zaprzeczenie mieszczańskich ideałów; wszystko, co n i e j e s t skandynawskim designem. Ale ci marketingowcy, ci niestrudzeni prestidigitatorzy, wyciągnęliby potencjał lifestajlowy z Mariusza Trynkiewicza). (Chciałabym być na burzy mózgów, na której postanowiono zanęcać do kupna neo-M4 w Kolonii Jerzego Ficowskiego przymiotnikiem „artystyczny”. Chciałabym widzieć, jak szczęśliwi nabywcy wstawiają do „funkcjonalnych mieszkań w otoczeniu sztuki” swoje meble z Ikei, designerskie fotele i wazony Młodych Polskich Projektantów).

(Do każdego mieszkania w promocji niebrudzący n o r m a l n y artysta do celów statusowo-prestiżowych). (Przypomina mi się, jak dopiero co szukaliśmy mieszkania; oglądaliśmy jakąś mroczną, obboazeriowaną, papierosową pieczarę, i agent nieruchomości, widząc nasze nietęgę miny, poszukał ostatniego asa w rękawie – wskazując na ulicę, gdzie mieszkał Czesław Niemen, powiedział: to jest prestiżowa lokalizacja, nie wiem, czy państwo wiedzą, tu niedaleko mieszka Miłosz). (Tomejto, tomato).



time for coffee

4.

Plac Wilsona to stosunkowo ładna stacja, zadaszona perłową jakby mydelniczką czy pochwą. Na zewnątrz często śmierdzi tajemnicami kanalizacji, jednak w środku już pachnie syntetycznym masłem, spalonym serem i ciastkami. Tłoczy ten przymilny zapach na perony metra piekarenka ukryta w pokrytej ołowianymi płytami ścianie.

Więc nagle dziura w tym grobowym *Matriksie*, a w nim obrusiki w kratkę, sympatycznie tykający zegar i lampa z frędzlą, słodka kuchenka babuni! Starej, kochanej, globalnej panbabuni („Bake’n’Cake”), która w grobowcu napiekła wnuczętom zapiekane-kebab, hot-dogów i croissantów! Tylko przypadkiem sprzedają je młode, posępne, niezadające sobie trudu komunikacji z klientem Polki.

Jest też toaleta, do której krokiem biznesowym podążają lokalni włóczędzy, ewidentnie mający tam swoje biuro czy jakieś sharespace’y. Babiny sprzedają gałązki świerku, jajka i różne skromne imponderabilia; jehowi rozdają swoje informatory i formularze zbawieniowe. Z Kostki biją niewesoło dzwony; bywa, że ktoś gra na akordeonie czy skrzypcach, ale zawsze są to rzeczy do różańca raczej niż do tańca: *Salve Regina*, *O mój rozmarynie*, *Któryś za nas cierpiał rany* i inne piosenki przypominające, że zmarli też kiedyś byli żywi, d o c z a s u. Z kacem lepiej wtedy nie wchodzić, bo znajdą was po wielu dniach ssących palec pod gazetką z Rossmanna. Pada deszcz albo śnieg, jest lodowato, ciśnienie świruje; na tańczenie zorby się tu naturalnie jakoś nikomu nie zbiera. Wręcz przeciwnie: w ramach jakiejś niepisanej, ale dla wszystkich czytelnej metafizycznej umowy w mieście grobie ludzie zachowują się z funeralną kindersztubą, cmentarną powściągliwością, smoleńską rezerwą. Piszczące gimnazjalistki i głośno śmiejący się śmiałkowie szybko rezygnują pod presją karcących, urażonych spojrzeń. Między zakapturzonymi przechodniami przechadza się długowłosa, jezusoidalny bezdomny, stary i młody jednocześnie. Kroczy powoli i podniośle w swoich adidasach Nike pokrytych błotem i mchem, z których powoli zaczynają wyrajać się już jakieś trawy, drzewa, ryby, gady... Pradawny, przygarbiony, jest na Placu ambasadorem wieczności; lokalnym mesjaszem wystawionym przez uczniów. Nie domaga się pieniędzy, tylko żeby mu kupić kawę; to wszystkich oburza – kawy mu

się zachciało, patrzcie, jak wybrzydza, jak mu się zachciewa, jak wydziwia, jak mu się przewraca! Nie wiadomo w sumie, co bardziej nie uprawnia go do picia kawy: czy że Jezus, czy że bezdomny.

(P.W. to stosunkowo ładna stacja, czego nie można powiedzieć o reszcie. Pozbawione jakichkolwiek detali, zdobień, społecznie nieaktywne, bo oczyszczone z wlepek, graffiti i innych naturalnych miejskich osadów, postsowiecko ciche, czyste, obłożone technicznymi kaflami. Przypominają wielkie, niedokończone toalety publiczne, ubojnie, zacinające się plansze *Quake'a*. Tylko w przejściach ciągną się witryny pełne rajstop i biustów; co stoi za tymi związkami metra z bielizną? We wszystkich witrynach sekwencje rozczłonkowanych plastikowych ciał kobiecych, bezrękich korpusów, plastikowych giczy i torsów damskich w szalonym rozmnożeniu).

(Prócz tego rozwiązania różnorakich wielkomiejskich tarapatów. Dorabianie kluczy, zdejmowanie simlocków. Staniki dla biuściastych, artykuły do palenia marihuany, kradzież i naprawa telefonów).

(Sklepy z modą sprzed lat, z oksymoroniczną niemodną modą dla nauczycielek-tarocistek. Niewystępujące w przyrodzie kombinacje ezoterycznych kapot, kipiących sukienek sylwestrowych, filcowych kapelutków z dzwoneczkami, sweterków *bouclé*, kopertowych spódnic z Burdy, tartanowych rozet).

(Ani śladu Black Friday.) (Jest tylko Dzień Kota i Ta Ostatnia Niedziela).

5.

Poranny amok zagasa: tłumy rozlały się po ulicach, bramach i mordorach. W wagonie flauta, w wyniku czego zostają wciągnięta w sprawy dwóch młodych mężczyzn, żyjących najprawdopodobniej prawem wilka, wyglądających jak popisane bobasy, w kurtkach, stosownie, Stereo World i Cropp Futuristic Youth.

(To drugie szczególnie mnie niepokoi, gdyż widuję na mieście wiele Młodzieży Przyszłości Croppa i moim zdaniem to nie jest dobra przyszłość. Podkreślam: moim zdaniem).

Chodzi o dystrybucję pewnych towarów posiadanych przez niższego (dalej zwanego Stereo World) względem wyższego, ale z ubytkami na skórze

czaszki, znamionami jakiejś bójki, drapaniny czy, nie mogę też wykluczyć, wielkiej namiętności z osobą noszącą tipsy. Są to *boombox* (opchnie za bańkę) i kurtka zimowa (wartość 150) (za dużo, poza tym tamten ma już kurtkę), i smartfon. Mowa też jest o wypadku (auto do kasacji) (ale co, jak wjechał się po pijaku) (cały bok wgnieciony) (zawiasy).

Te nieinteresujące dane wyekstrahowałam na potrzeby niniejszego tekstu z gęstej mgły fatycznej, na którą składały się figury zarówno nieartykułowane (charchania, pohukiwania), jak i artykułowane („kurwa”, „buehehe”).

Długo miałam mrzonkę, że wagon metra to jakieś potencjały teatralne, filmowe. Że ze względu na to stłoczenie, na kumulację ludzkich wątków powstaje sytuacja nośna fabularnie co najmniej jak pociąg czy wigilia, na której jedna siostra jest zabieganą bizneswoman, druga instruktorką jogi w wiejskiej głuszy, co daje wszelkie prawdopodobieństwo perypetii, i że ktoś kogoś molestował seksualnie. Wagon metra jako scena całodobowej socjologicznej loterii; bęben wielkowiejskiej maszyny losującej, który bezustannie rzuca żebraka obok księcia, sanitariuszkę z Powstania obok grupki zahukanych turystów zagranicznych, legionistę sadza obok zakonnicy, zwolennika Partii Przyjaciół Piwa obok zagorzałego AWS-owca, Olgierda Łukaszewicza koło niesympatycznej, wyobcowanej, pokrytej liszajem dzieciobójczyni o roszczeniowo wysuniętym podbródku.



Jednak metro to nie kolebiący się przez pustkowiec opowieściogenny pociąg; to przestrzeń komunikacyjnej próżni, gdzie każdy jest tylko przelotem, już myślami w światach, których doświadczy za chwilę. Stąd to wrażenie pustki, powszechnej nieobecności mimo tłoku, ciszy mimo hałasu. Odruchowo też odłącza się tu zmysły, by nie doświadczać piekła innych; nie da się bezpiecznie uciec wzrokiem w przesuwany się za oknem krajobraz. Fizjologiczna dosłowność współludzi, ich aura albo, mniej ezoterycznie: zapach, mimowolne uwikłanie w cudze mikrokosmosy (łzy w oczach, iskry i wybuchy ze smarftonowej rąbanki; *never lose hope!* szwabachą na przedramieniu, „kup dentosept, bo mam wrzody” na wyświetlaczu pradawnej drewnianej nokii starszej pani) wpadają jednym okiem, a drugim wypadają.

To komunikacyjna próżnia; sytuacja stricte ekspozycyjna, przeglądowa; stopklatka; laboratoryjnie oświetlona *g a l e r i a* twarzy. Problem niebezpiecznie skróconego dystansu między jednostkami mają rozwiązywać ekrany City Info – zapewniające stałą podaż organizujących uwagę stockowych pierdonewsów („nowy hotel Hampton by Hilton powstanie na starym mieście w Oświęcimiu”, „co słyhać u członków Oasis?”); wiele osób

jednak w tym samym celu posługuje się własnymi smartfonami, w których gmera w intymnym skupieniu, tworząc figurę społecznie zamkniętą.

Potencjalne interakcje wyklucza też sci-fiowy wizg, apokaliptyczne dudnienie podziemnych maszyn, regularnie narastające i przepadające w tunelach. W chwilach gdy milknie, w warszawskim metrze panuje smoleńska cisza. Patrzą w dal smutne, zranione oczy saren, wdów, sierot, zmarzniętych hiszpańskich turystów i wypalonych zawodowo accountów. Tylko w piątki i w soboty perony zapełniają się pawianicznym piskiem i śmiechem studentów, dresów i erasmusów, okrzykami „Legia!” i pluskiem rzuconych paw.

6.

– Ma pani może ognia? – pytamy się przechodzącej kobiety. Przybliża do nas swoją czujną, wypastowaną podkładem (odcienie 004 Trump Smoky Orange) twarz bez uśmiechu.

– Ogień to mam w łóżku. Ale mogę dać zapalniczkę, bueheheh.

Zadziwieni patrzymy, jak zawiadaczka odchodzi, poluzowując sobie w pachwinach i pośladkach dzinsy, które mogą w każdej chwili wybuchnąć. Nie możemy przestać myśleć o ogniu w jej łóżku. Dziurach w tapczanie i popalonej pościeli z kory w pierrotty.

Patelnia jest dokładnie tyle samo kilometrów od Moskwy, co od Brukseli, jednak jakby trochę mniej tyle samo od Moskwy, a od Brukseli tyle samo, tylko trochę więcej. To dziwaczna betonowa zapadlina pod rondem Dmowskiego, w której przelewająca się między dworcem, metrem a Marszałkowską ludzka rzeka wpada w zawirowanie, pętli się i kotłuje, ulega fuzjom, dyfuzjom i konfuzjom. Jak wiele na siebie wzięła ta urbanistyczna prowizorka, jak złożone funkcje pełni w tym pozbawionym forum, niedemokratycznym, napędzanym na pieniądze mieście! Platforma wszelkiego nieporozumienia i żywe, czynne 24h muzeum niemogącej się dokonać transformacji. Obóz dla wygnańców ze szklonych, chronionych, perfumowanych światów Centrum; bieda-Hyde Park dla początkujących fanatyków. Scena występów artystycznych i świadectw nawrócenia, ubożuchny jarmark pełen odpowiednio niskobudżetowych cudów:

tańczących samodzielnie myszek, ujadających piesków na baterie i prawdziwych kobiet z brodą (i wąsami). Miejsce spotkań potencjalnych kochanków z Tindera. Miejskie zagłębienie sznurówek i tak samo szeroka oferta żebraków z ranami i odmrożeniami w różnych fazach niegojenia się, z ewidencjami osobistych nieszczęść na kartonie. Orkiestra staruszków i człowiek odtwarzający na krzesłach i półkotapczanach algorytm strzelającego popcornu. Krzaczory przy szybie wentylacyjnym metra, w których cały rok świrują ptaki; w nich bety i toboły bezdomnych. Hałdy wymiętych przemysłowych ciastek za złotówkę na stoiskach mafii drożdżówkowej, której dealerami są okutane, chuchające w dłonie rencistki (własny wypiek!); obok stoisko konkurencyjnej gomorry oscypkowomiodowej, na czatach chuda, przemarznięta papierosowa. Strażnicy miejscy między tym wszystkim zupełnie na wyrost, niedorzeczni, z góry przegrani wobec żywiołu Patelni, próbujący jakby dla formalności zawracać Wisłę kijem, wylewać sztorm miską.



ztm

Dorota
Masłowska

7.

Nie daje praca pisarza nie tylko ubezpieczenia, rent i emerytur ani zniżek na stołówce, ale i ulg bardziej metaforycznych: choćby tej od namolności własnego istnienia, ucieczki przed wstrętnym, bezustannym sobą. Skazuje na ciągle, żmudne, drobiazgowo bycie. Marzy sobie nieraz pisarz o różnych zbawiennych zajęciach: paczkach, pieczętkach, fakturach, excelach, briefach. Warzywach, w których mógłby przebierać cały dzień, widząc, jak rosną i maleją ich pryzmy, pustoszeją i zapełniają się skrzynki (tak to sobie wyobrażam), macać ich faktury i struktury, doświadczać krzepiącej materialności swych wysiłków i ich rezultatów. Tymczasem całymi dniami drepce po urojonym, wsobnym, męczybulskim ogródku, w którym wszystko więdnie i marnieje. Poniedziałek on, wtorek on. Środa Popielcowa, Czwartek Saturnowych Obniżek, Black Friday on. On niepracująca sobota. On pracująca niedziela. Wreszcie nie może wytrzymać, wychodzi i łązi, łązi, flanerystycznie łązi bez sensu, błąka się w kółko po mieście, próbując zgubić się, przepaść, wytrzeć siebie w innych ludzi.

Tak i ja teraz szłam przez wypolbrukowane wygony przy Pałacu Kultury, z ubogą burą pagodą Centralnego na horyzoncie. Obok pyszniły się Złote Tarasy, które może jeszcze rzucają ostatnie bliki swej bombastycznej nowoczesności, jednak tylko patrzeć dnia, gdy tak jak Arkadia i Blue City zamienią się w przestarzały statek kosmiczny, zbyt wielki, by kiedykolwiek gdzieś polecieć. Pospiesznym krokiem osoby, która idzie NIGDZIE, ale nie jest z tego szczególnie dumna, wręcz przeciwnie: jest zażenowana, że tam idzie, więc idzie szybko, skupiona, nieprzyjemna, roztrącająca tych różnych proroków („Przepraszam, czy zastanawiała się pani może nad tym, jaki będzie świat po śmierci?”), przedstawicieli urzędzeń do odkuleczkowania swetrów („A może pani ma chwilę czasu?”), wreszcie: Bogu ducha winnych, ale bardzo w takich chwilach niepożądanych greenpeaceowców („Hejka, mogę ci zająć chwilę?”), wskazując na nadgarstek (bez zegarka), co ma znaczyć, że się spieszy. Ile razy szłam tam tak, by po prostu zażyć chaosu, wykapać się w morzu niepokoju. Podwodne głosy z megafonów, panie w okienkach wciąż przekonane, że mówienie po polsku dostatecznie GŁOŚNO I WY-RAŻ-NIE sprawia, że obcokrajowcy zaczynają rozumieć

(oczywiście jeśli się dobrze przysłuchają). Pogłosy, echa, bulgoty, gwizdy, maszynerie. Zdejmowanie simlocków i nogi w rajstopach, wszędzie te plastikowe, oskarżycielsko wymierzone w kosmos nogi.

Odnowiona część Centralnego niemalże mnie nie obchodzi. Komfortowe dla podróżnego, jakże bezpłodne, nudne, septyczne z perspektywy socjonauty są te euroświaty; pasażer pełne Starbucksów i innych sformatowanych kawiarenek zdobnych w pastelowe poduchy i zdjęcia roześmianych rodzin ze stocków. Fasadowe dobrobyty pilnie strzeżone przez strażę przed zakusami nędzarzy. Zresztą: odprawiane nad Halą Główną od lat mycia, ozonowania i egzorcyzmy zdają się działalnością ciągle kosmetyczną i bezradną wobec immanentnej temu miejscu pokątności, odchodzących tu non stop potajemnych wałków i cinkciarstw, kantów i przemykań. Ostrzegawczych gwizdów, zaułków, w których tajniaczy się przed policją dziadek z wcinaną chciwie sałatką warzywną z Biedronki. Jakby ludzki występki, który miał tu przez lata swoje przytulisko, cały czas prątkował, nadkażając świeżo położone schludne panele i ledy. Wszystko wygląda niby normalnie, ale wystarczy chwila skupienia, by dojrzeć potajemne przemarsze i czaty dziwadła, przemykających między atrakcjami Disneylandu dworcoludzi, wykonujących swoje drobne cierpliwe prace przy niedojedzonych kebabach, zgubionych monetach i niepilnowanych torebkach, żerujących na opiłkach dobrobytu wyrzucanych przez Tarasy.

Ale i tak moim zdaniem kluczem do zrozumienia Centralnego jest jego podziemność, pomroczość, labirynt. Te części niezliftingowane, zostawione w bezradnym obwisie. Czyhają jakby na nie dość ważnych podróżnych, którzy zboczywszy tu z bezpiecznych, oficjalnych, uzdatnionych tras, zostają wciągnięci w zaułki, impasy, bezdroża, przechodzą na drugą stronę dworcowego lustra. W polski pozaczas, dziwny, metaforyczny, podświadomy.

Oszklone fronty sklepików ledwie trzymają się pod naporem przeterminowanych towarów: złotych kłapek, starych DVD, zeszłorocznych pism, zakurzonych odżywek dla kulturystów. Biedakasyna wydają wygrane w starych złotych, WC czynne są od dziesiątej do siedemnastej, piekarnie sprzedają ciasta z Wielkanocy, zabałaganione sex shopy oferują gadzety jakby już używane i lekko tylko przepłukane. Ani śladu szalejącego dosłownie parę metrów dalej, w Żółtych Tarasach, Black Friday; ostatnie

święto zarejestrowane w obowiązującym tu kalendarzu to Euro 2012. Zresztą po co tu Black Friday? Tu wszystko jest w permanentnej promocji, obniżce, outlecie, wyprze- i rozprzedaży; wieczna przecena to racja bytu tych nędznych, ujemnej wartości, nienaturalnie namnożonych przedmiotów; jednostką ilości nie jest sztuka, ale hałda, kupa, sterta, wór, kłęb.

W tym świetle podziemia Centralnego wydają się stanowić kiszki miasta w wielkiej obstrukcji, niemogące (albo i niechące) ani wydalić, ani strawić wieloletnich złogów badziewia. Może to zresztą akt jakiejś naszej jako społeczeństwa podświadomej gospodarności, „to się wszystko jeszcze nada”. Kiedy przyjdzie, jak to tutaj ma w zwyczaju, wojna, jeszcze wszyscy będą zabijać się o te klapki, oglądać serial *Dom* na DVD i zabawiać się wyslizganymi dildo, aż będzie huczało.

Idę i idę, podążając za jakimś swoim dworcowym fatum. Wiją się bez końca niskie korytarze, bałamutne, niezrozumiałe, niedoświetlone. Zresztą gubię się niemalże natychmiast, tak jakby ten zapach żelastwa i szczyn aktywizował w moim mózgu ośrodek dezorientacji i błędnych wyborów. Łażę w kółko, łącząc się metafizycznie z czasem, gdy przyjeżdżałam na początku do Warszawy i mogłam kręcić się po tych pasażach jak gównu w przeręblu, nie potrafiąc znaleźć właściwego wyjścia, dosłownie kwadransami. Odwiedzam wszystkie swoje tamte nieszczęścia i żalości, przedstawiam im te obecne. Tak, na własny sposób, obchodzę tu sobie wielkie święto niczego.



171

PODZIĘKOWANIA

Nieważnym interesowałam się właściwie zawsze, ale potrafię sobie postwyobrazić różne niekorzystne scenariusze, w których to zainteresowanie mogło zagasnąć; konteksty i towarzystwa, w których nie znalazłabym mistrzów, inspiratorów, muz i współadeptów Wiedzy o Nieważnym.

Na pewno chciałabym podziękować tu Instytutowi Kultury Polskiej, a zwłaszcza prof. Małgorzacie Szpakowskiej, której zajęcia zmieniły na trwałe mój sposób myślenia o świecie i które ciągle, mimo że upłynęły już setki lat, są dla mnie inspiracją. Drugim zasłużonym jest tu Paweł Dunin-Wąsowicz i jego nieodżałowana „Lampa”, gdzie w rubryce *Jeźdźcowie apokalipsy* zaczęłam swoją przygodę z pisaniem o kulturze okropnej. Wreszcie – chcę podziękować „Dwutygodnikowi” nie tylko za zaproszenie mnie na swoje łamy i cierpliwość dla mojego trybu pracy (który często był trybem niepracy), ale też za tworzenie arcyciekawego pisma, które w nieciekawych czasach stanowi azyl od powszechnego zmacierewiczenia.

Ta książka cała jest moim podziękowaniem i hołdem dla Maćka, w którym znalazłam wielkiego sprzymierzeńca, wielkiego współpasjonata, wytrawnego konesera i perwersa Wiedzy o Nieważnym i Okropnym.

I bardzo, bardzo dziękuję też Stachowi za wsparcie, inspiracje, 24h omówienia wszystkiego i dzielne oglądanie ze mną TVN-ów.

Dorota Masłowska

Teksty zawarte w książce były publikowane w latach 2013–2016 jako cykl felietonów pod tym samym tytułem w magazynie o kulturze dwutygodnik.com.